DIDIER DECOIN

POKOJÓWKA Z TITANICA

Przekład z francuskiego KRZYSZTOF KOWALSKI

OFICYNA WYDAWNICZA „KALLIOPE” WARSZAWA

Szedł aż do końca za swoim niezwykłym przeznaczeniem.

Czy wolno przypuszczać, że sam się oszukiwał,

aby coraz bardziej za nim podążać?

Yasunari Kawabata

TLR

TLR

Jean-Marc Robertsowi

TLR

TLR

BIEGNIE z młodym cielakiem zarzuconym na barki.

Zanim ruszył, spętał zwierzęciu nogi konopnym sznurem. Jeśli wiązanie jest źle wykonane, cielak się rusza. Jego podskoki sprawiają, że człowiek, który go dźwiga, chwieje się. Niekiedy upada. Przewraca się na nabrzeże w kałuże stojącej wody. Tarza się u stóp kobiet, a one śmieją się zasłaniając usta dłońmi.

Kobiety armatorów nie są szczególnie okrutne, ale upadek mężczyzny z cielakiem jest taki zabawny... Chociaż konkurs rzadko trwa dłużej niż niespełna godzinę, wliczając w to przygotowania, one i tak uważają, że jest to za długo. Trzeba przyznać, że co roku bywa tak samo i co roku o wiele za wcześnie. Przy końcu marca jest w porcie jeszcze zimno. Czasami pada. Wtedy deszcz filcuje kapelusze, rozmiękcza woalki i plami długie, szare albo koloru malwy suknie.

Horty czuje na karku parzące ciepło zwierzęcego ciała i urynę ściekającą po plecach, która miesza się z potem i zalewa białą koszulę. Odkąd uczestniczy w konkursach, usiłuje znaleźć sposób, aby uniemożliwić cielakowi sikanie ze strachu. Kiedyś nawet próbował zawiązywać mu członek, ale ból spowodowany węzłem podnieca zwierzę i sprawia, że wierzga jeszcze bardziej. Usiłował również zmusić cielaka, by wysikał się tuż przedtem, zanim zarzuci go sobie na barki. Jednak do znudzenia można mu naciskać podbrzusze, jest zbyt zatrwożony, żeby oddać mocz. A jeśli nawet zechce to zrobić, nigdy nie wypróżnia się całkowicie.

Dwa, trzy lata temu Horty i inni dokerzy prosili armatorów, żeby zastąpić cielaka odpowiednim ciężarem, tyle że nieruchomym, na przykład workami z piaskiem. Armatorzy zachowali się jak należy. Zwołali walne zgromadzenie i przestudiowali propozycję, a o godzinie osiemnastej zebrali wszystkich na nabrzeżu, gdzie wyjaśnili, że nie może być mowy o zlikwidowaniu cielaka, ponieważ fundator konkursu absolutnie życzył sobie, żeby to był właśnie cielak. Jeszcze raz odczytano jego testament: klauzula jest formalna. Tak czy inaczej zabawa z cielakiem jest bardziej widowiskowa. Porykiwania oszalałego zwierzęcia stanowią część święta, podobnie jak aplauz kobiet klaszczących małymi dłońmi w rękawiczkach, krzyki mew, muzyka, wiatr, dzwony miejskie i syreny statków pozdrawiające zwycięzcę.

Gdy Horty pojawia się koło estrady, gdzie gra orkiestra, mija już ósma minuta jego biegu.

Uryna cielaka na skórze dokera stała się chłodna. Przestał już czuć amoniakalny odór, zostawił go za sobą - w swoim „kilwaterze".

Horty nigdy dotąd nie biegł tak szybko. I nigdy dotąd nie cierpiał tak bardzo. Ma wrażenie, że w gardle tkwi mu ogień, coś w rodzaju połkniętej plwociny, której nie potrafi się pozbyć. Wszystkie narządy w piersi i w brzuchu powiększyły się do ogromnych rozmiarów. Nabrzmiałe uciskają na żebra i omal ich nie rozsadzą, żeby sobie utorować przejście i wytrysnąć na zewnątrz przez rozdartą skórę. Chwilami dokerowi krew napływa do mózgu tak gwałtownie, że czerwona mgła przesłania wzrok. Z góry spada na niego przelotna, lodowata i szponiasta noc. Przestaje wyczuwać bruk pod stopami. Przez chwilę biegnie w tumanie. Taka chwila powinna być przyjemnym wytchnieniem, ale nie jest, ponieważ mgła jest wydrążona dziurami wychodzącymi w nicość.

Horty widzi pałeczki wściekle bijące w bębny, ale nie słyszy ich warkotu. Nie słyszy też trąbek, które tam się znajdują, ani dopingu armatorów wrzeszczących i wymachujących przed nim czarnymi kapeluszami. Chociaż jest to oficjalnie zabronione, tego roku robią zakłady, czy padnie nowy rekord. Horty biegnie teraz w świecie ciszy. Nie czuje już niczego więcej oprócz bólu - i czasami - echa bólu cielaka.

Jeszcze około dwóch minut wyścigu i osiągnie najniebezpieczniejszą fazę konkursu, w której co roku wydaje mu się, że zaraz umrze. Zresztą być może naprawdę umrze. Biegnie nieprzytomny. Nogi same go niosą. To one znęcają się nad nim i to one przeprowadzą go przez śmierć pod warunkiem, że się nie potknie.

Jeśli upadnie podczas omdlenia w biegu, nie wstanie. Jednakże jest w nim zbyt wiele samozaparcia.

Zwykle odzyskuje przytomność jakieś sto metrów przed trapem łączącym nabrzeże z pokładem frachtowca.

Błogosławi nogi, że doniosły go aż tutaj. Potrząsa głową i zrzuca z siebie ciemność i śmierć. Zmoczone kosmyki zraszają nabrzeże deszczem potu mieszającego się niekiedy z krwią sączącą się z nozdrzy i z uszu. Gryząc język, żeby nie krzyczeć, odzyskuje kontrolę nad ciałem i zmysłami. Zbliża się finał.

Trap jest wąski i tak śliski, jakby pociągnięto go szarym mydłem. Rano padało, a wiatr nie dął wystarczająco silnie, żeby go osuszyć. Najsłabsze wierzgnięcie cielaka, najmniejszy fałszywy krok i Horty ześlizgnie się pomiędzy nabrzeże a burtę statku. Nagłe zanurzenie w zimnej wodzie ciała rozpalonego bólem spowoduje zatrzymanie oddechu. Pogrąży się w otłchań morza z otwartymi ustami. Cielak będzie mu ciążył na ramionach i wepchnie go jeszcze głębiej. Horty zostanie wessany pod kadłub frachtowca albo ukrzyżowany, gdy koszula zaczepi się o łopaty śruby.

Aby przejść po trapie bez upadku, doker powinien wstąpić na niego prawą stopą, gdyż na tej nodze lepiej utrzymuje równowagę. Następnie musi dostawić lewą stopę i pozostać chwilkę na lekko ugiętych nogach, by minęło kołysanie trapu. Jeśli tego nie uczyni, długa deska zadziała jak trampolina i wyrzuci go do wody. Trudność polega na tym, aby w odpowiednim momencie zwolnić wchodząc na trap. Naturalnie, że jest to chwila, w której każdy ma ochotę przyspieszyć kroku trochę dla fasonu, a może głównie dlatego, że meta jest już blisko i niedługo skończy się ta cała udręka.

W tym roku Horty nie jest pewien, czy zdoła opanować się na tyle, żeby zwolnić. Dlatego woli zupełnie przystanąć. Słyszy, jak za nim tłum krzyczy i gwiżdże. Ludzie myślą zapewne, że zaraz zrezygnuje. Doker zmusza się i liczy w myślach do trzech. Trap przestaje wibrować. Horty wbija paznokcie w cielaka. Rusza.

A potem wszystko idzie bardzo szybko. Horty'emu pozostaje tylko przejść między dwoma wywietrznikami i okrążyć parową wciągarkę. Zaraz za nią, przy dźwigu już na pokładzie frachtowca, znajduje się wyraźnie zaznaczony czerwony krąg. Doker przegina się w biodrach i zrzuca cielaka w środek czerwonego kręgu. Zwierzę ryczy. Ciskając go, Horty widocznie coś mu złamał. Nie lubi męczyć zwierząt, ale przydźwigany cielak nie jest zwierzęciem. To dwunastominutowa agonia trwająca nieskończenie, to upokorzenie mężczyzny i zmoczonego szczynami torsu, to ładunek nienawiści. Niech zdechnie - myśli Horty. Spogląda na niego jeszcze raz. Cielak usiłuje wyciągnąć związane nogi. Coś w rodzaju posoki oblepia jego długie rzęsy. Gubi łajno, wypróżniając się na pokład. Kopie burtę. Potem uspokaja się i zdycha. Mdły smród owiewa dokera, więc odchodzi kilka kroków i spogląda na redę. Cienkie smużki drżącej pary wydobywają się z wyjących syren. Kilka statków zdobi wielka gala flagowa. Horty czepia się relingów frachtowca jak bokser lin wokół ringu. Widzi mężczyzn w szapoklakach biegną-

cych w jego stronę, a za nimi kobiety unoszące suknie. Na zakotwiczonych statkach marynarze wspinają się na nadbudówki i machając czapkami, pozdrawiają Horty'ego.

Pozostali konkurenci zatrzymali się na nabrzeżu. Niektórzy siłą rozpędu przebiegli jeszcze z dziesięć metrów. Ale teraz wszyscy są nieruchomi. Składają swoje cielaki i uwalniają im nogi z pęt jednym cięciem noża.

W konkursie na najlepszego dokera portów północnych jest tylko jeden zwycięzca. Nie ma zaszczytnych miejsc.

Mężczyźni wchodzą na pokład. Jak każe tradycja, przekraczając otwór do spuszczania trapu zdejmują czarne kapelusze. Ich kobiety pozostają przed statkiem. Wydają lekkie okrzyki przestrachu, gdy jakaś fala, popchnięta kadłubem, bryzga na nabrzeże.

Horty'emu podobałoby się, gdyby one także weszły tutaj, aby mu pogratulować. Pomiędzy nimi trafiają się też ładniutkie. Sprawiłoby mu ogromną przyjemność patrzenie, jak z zakłopotanymi minami oblizują świeże wargi, gdy im muskać dłoń. Ale doker czuł się teraz tak źle, że prawdopodobnie byłoby o wiele lepiej, gdyby damy pozostały rozsądnie na nabrzeżu, z daleka od niego. Zobaczy je przecież wieczorem, na balu, jak już wymyje się w morzu i zmieni ubranie. Kobiety również będą piękniejsze. Zawsze stroją się na bal dokerów. Mówi się, że tańczą tylko ze swoimi małżonkami albo z ich przyjaciółmi, czyli wyłącznie z armatorami, z ludźmi ze swojego świata. Jednak Horty dawno już zdążył zauważyć, że zawsze znajdą się jakieś, które chętnie się puszczają.

Mimo że zawód postarzył dokera, a ładunki dziwnie wysunęły jego barki przed tors, które wyglądają teraz trochę jak kikuty skrzydeł, mimo że skończył pięćdziesiąt dwa lata i miał twarz pobrużdżoną, był zwycięzcą konkursu już piąty rok z rzędu. To chyba zasługuje na taniec z wyperfumowaną kobietą, oczywiście oprócz zwykłej nagrody, czyli cielaka, którego pierwszy rzucił w środek czerwonego kręgu. Wkrótce całą procesją pomogą mu odnieść go do domu.

Horty czuje się dzisiaj bardzo źle, dużo gorzej niż poprzednio. Nie spodziewał się, że ból może wniknąć tak głęboko w ciało człowieka.

Powinien teraz być szczęśliwy, a jednak ciągle czuje w sobie, głęboko, ten przenikliwy ból. Zaledwie jego wspomnienie. Coś raniącego nie przestaje w nim krążyć, zdając się szukać najlepszego miejsca, żeby się w nim zagnieździć. A

gdy już tam będzie, pożreć go. Wstrząsnął się nie tylko dlatego, że było mu zimno na pokładzie wystawionym na powiew wiatru z pełnego morza, nadlatującego wraz z falami, wirującego na redzie i wywołującego głuchy chlupot spienionych fal. Horty wyciągnął rękę do pozostałych dokerów wspinających się na frachtowiec.

— To ostatni raz. W przyszłym roku wasza kolej poznać smak cielaka i tego, jak to jest, gdy człowiek omal nie zdechnie... Mięso zwierzęcia jest białe jak wątłuszcz, a poza tym suche. Trzeba, żeby puściło sok. A do tego potrzebny jest zwłaszcza tłuszcz, do którego dolewa się wina.

Większość dokerów mieszkała w Dolnym Mieście, trochę podobnym do dzielnicy górniczej. Ich ceglane domy stały po obu stronach opadającej w dół ulicy. Dawniej nazywała się Patna, a teraz ulica La Villemarque, od nazwiska młodego, wykształconego wicehrabiego, pasjonata legend, który odgrzebał mit o zaginionym mieście Ys.

Drzwi i okna wykonali i osadzili cieśle okrętowi, toteż były wystarczająco masywne, w sam raz na podmuchy północno-zachodniego wiatru wiejącego wzdłuż ulicy. Czasami wiatr niósł ogromną ilość piany, która osiadała na szybach zabrudzonym śniegiem.

Okiennice malowano z reguły na niebiesko. Latem kobiety zawieszały tam żelazne podstawki i umieszczały w nich naczynia z kwiatami. Podlewały je rano, a wieczorem zabierały niczym domowe zwierzęta. Wbrew tym wszystkim staraniom i zabiegom rośliny zawsze więdły przed jesienią, spalone jak na pustyni podmuchami wiatru niosącego sól.

Miejsce to było spokojne i pachniało schnącym morszczynem oraz cienką kawą. Zawsze kręciło się tam wiele ptaków, a to dzięki dokerom, którzy rozwłóczyli pod podeszwami i w fałdach ubrań ziarna manioku.

Ulica urywała się nagle. Dochodziło się do piaszczystego wybrzeża. To miejsce nazywali „babski port”, ponieważ podczas odpływu przychodziły tam kobiety, aby zobaczyć, czy fale nie wyrzuciły czegoś na brzeg. Zgięte wpół nad piaskiem, z biodrami okrągłymi jak dobrze uszczelnione kadłuby, z szalami wydętymi wiatrem wyglądały z daleka jak flotylla rybackich łodzi.

Tylko kobiety i dzieci chodziły zbierać. Dokerzy zachęcali je do tego, ale sami gardzili tym zajęciem. Oni mieli bezpośredni dostęp do ładowni okręto-

wych. Towary były tam lepszej jakości, nie rozmoczone długim pływaniem i nie uszkodzone uderzeniami fal.

Podczas odpływu piaszczyste wybrzeże rysowało się na kształt księżycowego rogala. W perłowym pyle sproszkowanych muszelek światło migotało to szarą, to białawą barwą jak księżyc.

O godzinie jedenastej Zoe Horty usłyszała bicie dzwonów na wieży Świętego Andrzeja. Wyprostowała się, ale to niewiele dodało jej wzrostu. Zoe przestała rosnąć mając piętnaście lat. Wkrótce stuknie jej czterdzieści pięć, a wciąż zachowała delikatną postać. Ruchy miała krótkie i trochę porywcze jak u dziewczyny. Twarz otaczały niesforne i spadające blond włosy, które z wiekiem stawały się rudawe. Te suche i cienkie włosy, dotąd nie szczotkowane, nigdy nie mogły utrzymać się na swoim miejscu bez wstążki. Można by pomyśleć, że Zoe była córką Batyldy Buren, stojącej teraz obok niej dobrze zbudowanej, masywnej dziewczyny z grubymi ustami i strzechą włosów, która nie miała jeszcze osiemnastu lat.

Batylda wyciągnęła z rękawa chusteczkę i wystawiła na wiatr, żeby ją rozwinął, bo była leniwa. W chusteczce znajdowało się małe metalowe pudełko. Okręciła powoli pokrywkę, przechyliła pudełko i wysypała miałki, brunatny proszek na wierzch dłoni, chroniąc go przed wiatrem drugą ręką. Pochyliła twarz, zacisnęła wargi i pociągnęła. Skupiła się całkowicie na wdechu nozdrzami. Zoe spoglądała na nią z zainteresowaniem. Też miała ochotę spróbować.

— Chcesz? - zapytała Batylda, odrzucając głowę do tyłu.

— Turecka tabaka. Pachnie miodem i jeszcze czymś, czego nie znam.

Zoe poczęstowała się. Śmiejąc się, obie zaczęły kichać. Ocierały nosy palcami, ponieważ nie należało zabrudzić chusteczki. Chusteczka powinna służyć do wytarcia jakiegoś kosztownego przedmiotu albo zwyczajnie czegoś do zjedzenia, jeśli zdarzyło się wygrzebać na piaszczystym wybrzeżu.

— Dzwony - powiedziała Zoe. - A teraz syreny. Konkurs się skończył. Muszę się przygotować, gdy Horty przyniesie cielaka.

— A spodziewasz się? - zapytała Batylda.

— A spodziewam się! - przytaknęła Zoe.

— Obiecałaś, że mi pokażesz - powiedziała Batylda.

W lipcu Batylda ma poślubić Jean-Marie Steuze'a. W przyszłym roku Steuze mógłby wreszcie wziąć udział w konkursie, w którym mogą uczestniczyć wyłącznie żonaci mężczyźni. Fundator pomyślał o wszystkim. Bo czy kawaler zdołałby dobrze przyrządzić cielaka?... Na ulicy La Villemarque wszyscy wiedzą, że Steuze będzie następnym zwycięzcą. Został do tego dobrze przygotowany. Na nabrzeżu pracuje w ekipie Horty'ego dlatego, żeby ewentualne zwycięstwo Steuze'a wyglądało jak przekazanie władzy i legalna sukcesja. Horty ćwiczył go, jak gdyby był jego własnym synem, i zrobił z niego zwycięzcę.

Ale mieć mężczyznę, który ci przyniesie cielaka, to nie wszystko - myśli Batylda. Trzeba jeszcze umieć przyrządzić zwierzaka, żeby całe to mięso nie zgniło, zanim się je zje.

— Chodź do nas - zaproponowała Zoe - zaraz się do tego zabiorę. To nie jest takie trudne. Będziesz się tylko przyglądała.

Opuszczają „babski port" wspinając się po dnie statku i po pochyłej ścianie burty zniszczonej przypływami. Fale zostawiają tu tylko morszczyny, ale tutaj właśnie spacerowiczki z bogatych dzielnic Górnego Miasta włóczą się w niedzielę, żeby patrzeć na morze. To właśnie tu Zoe znalazła już dwa klejnoty, które migotały w brunatnych algach. Pierwszy odniosła na policję. Agenci długo ją wówczas przetrzymywali i zadawali pytania, jak gdyby przypuszczali, że go ukradła. Miało się już ku zachodowi, gdy wreszcie mogła opuścić posterunek. Toteż drugi klejnot — małą srebrną broszkę - zatrzymała przy sobie.

Wiadomo powszechnie, że Zoe nie zwierza się łatwo, ale Batylda i tak zamierzała wypytać ją o miłość przy okazji ćwiartowania cielaka, ponieważ Zoe miała spokojne spojrzenie kobiety kochanej. Mówiły coś o tym jej jasne tęczówki, ale nie tylko. Sąsiadki Zoe opowiadały, że czasami słyszą, jak śpiewa. A przecież rzadko spotyka się żony dokerów, które podśpiewują sobie jeszcze po dwudziestu pięciu latach małżeństwa.

— Z Hortym jest łatwo - odezwała się Zoe - bo on lubi żyć. On jest taki jak zwierzęta. Nie wie, że umrze. Kiedy to nadejdzie i jeśli będę przy tym, nie będzie na mnie spoglądał z trwogą w oczach. Będzie wyglądał na bardzo zdziwionego. W ten sam sposób patrzy na mnie również wtedy, gdy czuje rozkosz.

— To go dziwi, że czuje rozkosz? - spytała Batylda.

— Tak, chyba tak.

— Czy wtedy krzyczy?

— Nie, nie krzyczy. Wymawia tylko moje imię. Mówi: Zoe, Zoe. To wszystko. Tak jest od pierwszego razu. Później przeprasza mnie, że ja nie czułam rozkoszy.

— Ty nie czujesz rozkoszy? Dlaczego?

— Nie wiem - odparła Zoe. - Nie mamy dzieci, a może dlatego, że nie jestem zbudowana tak jak inne.

— Ależ tak - przytaknęła Batylda. - Ja też nie czuję rozkoszy. Jeśli sobie dobrze przypominam, nigdy nie słyszałam, by jakaś kobieta z naszej ulicy mówiła, że czuje przyjemność, gdy to robi.

— No dobrze! Na pewno czujemy przyjemność, ale nie wiemy, że to jest to. Może to jest tak jak z tym, o czym mówiłam przed chwilę - z uczuciem śmierci u Horty'ego. Umierając nie będzie wiedział, że umiera. Myślisz, że wszystko trzeba wiedzieć? Idziesz ulicą, a życie polega na tym, by iść tą ulicą aż do końca. Ale idąc i tak nie wejdziesz do wszystkich domów, żeby zobaczyć, jak są urządzone w środku.

— Zastanawiam się, co jest na końcu ulicy - powiedziała Batylda.

— Morze. Coś w rodzaju morza. Utopimy się w nim.

— Boję się.

— Masz czas - stwierdziła Zoe. - Nie myśl o tym.

Ulica La Villemarque była pusta. Prawie wszyscy musieli pobiec aż do nabrzeży, aby zobaczyć, kto zwyciężył w tym roku.

— Nie powinno się rozmawiać o tych sprawach - oświadczyła Batylda.

— Nie - przytaknęła Zoe.

— Ale się o tym rozmawia - zauważyła Batylda.

— W dniu konkursu nie jesteśmy takie jak w inne dni. Jesteśmy oszalałe. Jest ta historia z cielakiem. No i jest bal.

— Lubię bal - stwierdziła Batylda.

— Ja nie - odparła Zoe.

Batylda zaczęła wirować na ulicy, jak gdyby już miała na sobie piękną suknię. Żeby nie zgasić jej dziecięcej radości, Zoe przyznała się, że ona także lubiła tańczyć, ale to było dawno. Była wtedy taka mała, a dokerzy tacy wielcy. Nigdy zresztą nie była dobrą tancerką. Musiała więc wspinać się na palce, a to nie jest najwygodniejsze przy tańczeniu na przykład polki.

Teraz woli zostać u siebie z Hortym, pozmywać bez pośpiechu naczynia, przypatrzeć się każdej rzeczy z osobna i spróbować przypomnieć sobie, w jakich okolicznościach ją kupiła.

Przeważnie zaopatruje się u handlarza z wraków. On przyjeżdża do Dolnego Miasta raz w miesiącu wózkiem, którego jeden bok można opuścić lub oprzeć na szczudłach i zrobić z niego ladę. Handlarz z wraków wie, że kobiety są bardzo przesądne. Dlatego twierdzi, że nigdy nie sprzedaje niczego, co pochodzi z rozbitych statków, na których zginęli ludzie. Równie dobrze mógłby opowiadać, co mu ślina przyniesie na język. Na przykład trudno uwierzyć, że wszystkie jego kryształowe serwisy pochodzą z jadalni luksusowych statków pasażerskich. Dużo statków pasażerskich musiałoby iść na dno. Ale jakie to ma znaczenie? Oczywiście, że zdekompletowane i niekiedy wyszczerbione fajansy stołowe były grube, często pięknie zdobione kotwicami, marynarskimi węzłami, egzotycznymi ptakami albo widokami Valparaiso. Sztućce natomiast nie przedstawiały większej wartości. Lśniły w momencie kupna, lecz wkrótce matowiały. Musiały przebywać zbyt długo w morzu.

Zoe zastanawiała się przez moment, jak Batylda zorganizuje gospodarstwo właśnie teraz, gdy zniknął handlarz z wraków.

Jej dom był jedynym, przed którym, na ubitej ziemi, przykucnęły dzieciaki w pomarszczonych marynarskich bluzach. Burczały i przepychały się. Z daleka wyglądały jak rojowisko much. Zoe nie potrzebowała niczego innego, żeby zrozumieć, że Horty wygrał. Dobrze wiedziała, dlaczego dzieciaki tu były: z powodu cielaka, niepotrzebnych kawałków kości, które wyrzuci przez okno. Znowu ubawi ją widok dzieciarni sprzeczającej się jak małe psiaki.

Odsunęła się, pozwalając wejść Batyldzie. Zamiast wytrzeć buty, Batylda zdjęła zabłocone saboty i zostawiła przy progu, rozejrzała się wokół i powiedziała, że ładnie tu. Szczególnie spodobała się jej serwantka przykryta serwetkami, no i żyrandol.

— Ten żyrandol to nie jakaś tam byle jaka lampa okrętowa -oznajmiła z dumą Zoe. - Pochodzi z polskiego trójmasztowca. Wisiał w kapitańskiej kajucie, a czyściła go żona kapitana. Wiadomo nawet, jak się nazywała. Na imię miała Henryka.

— Jesteś pewna? - na Batyldzie wywarło to wrażenie.

— Wszystko, co tutaj się znajduje ma swoje dzieje. Czasami piękne dzieje. Musiałabym ci opowiadać całą noc. Ale ty przecież dziś w nocy tańczysz.

— Aż do upadłego - odpowiedziała Batylda i znowu zaczęła wirować. - Wrócę któregoś wieczoru i opowiesz mi te twoje historie.

Dziewczyna zbliżyła się do pieca królującego na środku izby. Podniosła płytę i prychnęła ze wstrętem na szczypiący swąd bijący z wygasłego paleniska.

— Palisz węglem?

— Tego w porcie nie brakuje - wyjaśniła Zoe. - Jest wygodniejszy do wynoszenia niż drewno. Codziennie dwa, trzy kilogramy... Flota od tego nie zbiednieje, a stosik szybko rośnie.

Podała Batyldzie długą, niebieską ścierkę.

— Załóż to, żebyś się nie zachlapała. Mam tylko jeden fartuch i nie umiem obejść się bez niego. Naostrzę noże, a ty poszukaj i wyciągnij wszystkie naczynia, jakie znajdziesz. Do jednych wrzuć sól, a do innych wlej trochę wody.

Zoe stanęła za Batyldą i wsunęła obie dłonie pod ciężkie włosy dziewczyny. Uniosła je i związała w zaimprowizowany kok. Batylda przejrzała się w lustrze nad zlewem i uśmiechnęła się:

— O Boże! Zostanę tak uczesana na bal! Powinnaś mieć córkę.

— Tak - przytaknęła Zoe. - Bardzo bym ją kochała. Wiem, jak to jest z dziewczynami - dodała, odwzajemniając uśmiech.

Pomyślała, że gdyby była matką Batyldy Buren, zaczęłaby od dokładnego jej wymycia. Za karę, że jest taka brudna, kazałaby jej już za chwilę, przy patroszeniu wnętrzności, oczyścić nerki cielaka. No, chyba że Batylda straciła węch i nozdrza ma znieczulone tą turecką tabaką.

Zoe wyszła krok przed drzwi. Dzieciaki wciąż tu były. Wiatr od morza postrzępił chmury. Pokazały się długie, jeszcze blade prześwity błękitu. Ale dalej, co najmniej o kilometr, nad Górnym Miastem, już lało.

— Kiedy tak się robi - powiedział jakiś dzieciak - to diabeł bije swoją żonę.

— Diabeł już nie ma żony - odpowiedziała Zoe - za bardzo ją bił. Zostały mu tylko dzieci. Wydaje mi się, że kilkoro z nich znam.

Uklękła przed granitowym kamieniem służącym jako stopień do domu i ostrzyła noże. Dochodziło południe. Była taka szczęśliwa i chciałaby wytłumaczyć to Batyldzie. Pomyślała jednak, że dziewczyna tak niecierpliwa jak ona, może nawet nie wie, że szczęście naprawdę istnieje. Upłynęły lata, zanim Zoe zdała sobie z tego sprawę. Teraz wiedziała już, gdzie go szukać. Szła po nie prosto, bez wahania, tak jak wtedy, gdy była małą dziewczynką i właziła z braćmi na drzewa w poszukiwaniu ptasich gniazd. Ona pierwsza znalazła gniazdo. W tamtych czasach była jeszcze zbyt wielką egoistką i usiadła na gnieździe. Schowała je pod sukienką i powiedziała: „Nie, nie, szukajcie gdzie indziej, tu nie ma nic”. Czuła, jak skrzydełka piskląt łaskoczą jej uda. To było dziwne, a zarazem irytujące i słodkie uczucie. Na początku małżeństwa próbowała skłonić Horty’ego, żeby darzył ją trochę podobną pieszczotą, na przykład przesuwając paznokciami po wewnętrznej stronie ud. Ale nie bardzo mu się to udawało. Za bardzo się spieszył, żby samemu zaznać rozkoszy. No więc Zoe już więcej o tym nie mówiła. Batylda byłaby z pewnością bardzo zdziwiona, gdyby się dowiedziała, że to nie przeszkadzało jej być szczęśliwą. Ta dziewczyna przywiązuje o wiele za dużo wagi do swojego ciała... - pomyślała Zoe, popluwając obficie na rozgrzane ostrzeniem noże, żeby je ochłodzić. I Zoe pomyślała jeszcze o Batyldzie, a zwłaszcza o jej ciele, które nie jest znów takie wspaniałe. Większe od mojego, ale do czego jej to służy? Żeby tańczyć lepiej niż ja? Tutaj przecież tańczy się tylko raz do roku. A są jeszcze wszystkie pozostałe dnie.

Zaśmiała się do siebie. Ciężka ręka spoczęła na jej ramieniu.

W tej samej chwili słońce wyjrzało zza chmur. Cień padł na granit i załamywał się na niebieskich drzwiach. Zoe rozpoznała Horty'ego.

Wstała i przytuliła się do niego, zostawiając przedtem noże z obawy, żeby go nie zranić.

— Cuchnę, moja mała - powiedział doker.

— Batylda Buren jest u nas. Wstawiła wodę, więc będziesz mógł się wymyć. Znajdziesz czystą koszulę na łóżku. Wyprasowałam ją dziś rano. Widzisz, byłam pewna.

Nim weszła do domu, Zoe zerknęła w górę ulicy, w stronę Świętego Andrzeja, zdziwiona, że nie słyszy śpiewu kumpli Horty'ego i turkotu wózka, na którym - jak co roku - podwożą cielaka aż pod próg zwycięzcy.

— To dziwna sprawa - wyjaśnił Horty. - W tym roku nie ma cielaka. Armatorzy odesłali go do przytułku.

— Nie ma mięsa? - zdziwiła się Zoe. - Dali ci pieniądze, czy tak?

Horty usiadł przy stole. Odsunął naczynie z parującą wodą.

— Wygrałem podróż - powiedział.

Batylda zaczęła się śmiać, odsłaniając długie, kwadratowe zęby, na krawędziach żłobione jak małe piłki. Zoe wzruszyła ramionami rozdrażniona:

— Dzisiaj nie nauczysz się, jak ćwiartować cielaka, ale przynajmniej pokażę ci, jak zadbać o mężczyznę. Zdejmij mu buty i spodnie. Przysuń miednicę ze słoną wodą i umyj mu nogi.

— E! - odpowiedziała Batylda. - E! Spokojnie...

— Nikogo nie zmuszam - oznajmiła Zoe. Jeśli ci się nie podoba, wiesz, gdzie są drzwi.

Batylda uklękła, a Horty w roztargnieniu przesuwał palcami po jej włosach i niechcący rozsupłał prowizoryczny kok, zbyt szybko upięty przed chwilą przez Zoe. Czarne pukle opadły Batyldzie na policzki. W ten sposób nie było widać, jak mocno się zaczerwieniła. Muskała stopy Horty'ego najpierw nieśmiało, a potem mocniej. To ona łaskocze i to ona się śmieje. Ma delikatne dłonie.

— Podróż? - spytała Zoe. - Co to znaczy konkretnie podróż?

— To znaczy, że wyjeżdżam stąd, moja mała. Wsiądę do pociągu, przepłynę morze i przybędę do Southampton. - Po słowie Southampton zrobił pauzę, żeby wydobyć cały efekt, a potem dodał: - To jest w Anglii.

— A co nas obchodzi Anglia i Southampton? Od kiedy to lubimy Anglików?

— Daj mi kawy - poprosił Horty.

Nalała mu, nie spuszczając z niego wzroku, jak gdyby czatowała na znak, że pił albo zwariował.

Zdarzało się już, iż dokerom dźwigającym zbyt wielkie ciężary pękało coś w głowie. Zoe nie bardzo się orientowała, co im się tam przerywało pod czaszkami, ale słyszała, jak opowiadają, że niektórzy z tych ludzi pozostają ogłupiali i potem trzeba się nimi opiekować jak małymi dziećmi.

— Southampton - wyjaśnił Horty - jest tam, skąd odpłynie „Titanic" w drogę do Nowego Jorku. Największy na świecie statek pasażerski. Jeśli się go nie widziało, nie można o nim rozmawiać. A jeśli się go widziało, tym bardziej nie można o nim rozmawiać, ponieważ brakuje słów. Tak mi powiedzieli ci panowie. Niektórzy z nich zwiedzali go w stoczni w Harland i Wolff w Belfaście. A teraz „Titanic" wypływa w dziewiczy rejs i ja jestem zaproszony na uroczyste odcumowanie. Na 10 kwietnia w samo południe.

Zoe popatrzyła na swojego męża z politowaniem:

— Przez całe swoje życie nie dość się napatrzyłeś na statki?

Horty nie odpowiedział. Nie było żadnego porównania

między transatlantykiem „Titanic" w Southampton a frachtowcami tutaj. „Titanic" został zbudowany, żeby uhonorować wszystkich pasażerów wstępujących na jego pokład, nawet emigrantów, którzy tysiącami wsiądą na redzie w Queenstown, porzucając swoją Irlandię z jej baranami. Natomiast statki towarowe to tylko mroczne piwnice, dźwięczące, wilgotne i uciążliwe. Przybijają i odpływają, a dokerzy zwykle nawet nie mają czasu odczytać ich nazwy wymalowanej na rufie, wyzierającej spod warstwy rdzy.

Batylda skończyła wycierać stopy gospodarza. Przez chwilę zatrzymała je na swoich kolanach owinięte w ścierkę. Potem wstała i usadowiła się na ławce na-

przeciw niego. Słuchała, przygryzając wargę jak mała dziewczynka. Dziś wieczorem na balu będzie się mówić tylko o podróży Horty'ego. Jeśli Batylda dobrze zapamięta to, o czym opowiada doker, Będzie najlepiej i najwcześniej poinformowaną osobą. Mężczyźni będą się wokół niej tłoczyć, żeby dowiedzieć się jak najwięcej. Będą patrzyli na jej usta, i to będzie dla Batyldy najprzyjemniejsze.

— Nocuję w hotelu - odezwał się Horty do Zoe. - Ci panowie zarezerwowali dla mnie pokój w hotelu w Southampton, w prawdziwym hotelu, a nie w schronisku dla robotników. A wieczorem, przed odpłynięciem „Titanica", zjem kolację w jadalni tego hotelu. Zapytają mnie, co sobie życzę, i podadzą mi do stołu. Możesz to sobie wyobrazić, moja mała?

— Nie mówisz po angielsku - zauważyła Zoe.

— W takich przypadkach - wtrąciła się Batylda - kładzie się palec na menu i mówi się: „To, a potem to i jeszcze to!" Na pewno to są rzeczy do jedzenia. Chciałabym tam być - dodała, przymykając oczy.

— Wszyscy chcieliby tam być - powiedział Horty. - I w pewien sposób wszyscy tam będą. Ostatecznie wszyscy, których świat zalicza do ważnych osobistości.

— Macie go! To znaczy, że ty jesteś ważną osobistością?

— spytała wesoło Zoe. - Dwadzieścia pięć lat żyję z ważną osobistością i nie wiedziałam o tym. A ty, Horty, z jakim rodzajem osobistości ty żyjesz, jak ci się wydaje?

— Przestań z tym - spokojnie rzekł Horty. - Przestań. Kocham cię, moja mała.

— Jej jest przykro - powiedziała Batylda i wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać Zoe i uspokoić ją. - Ona boi się, że stanie ci się coś złego. To tak daleko, to Southampton!

— Zjeżdżaj stąd - stanowczo rzekła Zoe. Schwyciła rękę dziewczyny i ciągnęła ją do drzwi. - Wyjdź z mojego domu. To jest sprawa między Hortym a mną. Tylko między nami.

Na zewnątrz, żeby nie stracić twarzy przed dzieciakami skupionymi przed domem, Batylda krzyknęła, aby wracały do siebie:

— Zoe kazała wam to powiedzieć. W tym roku nie będzie dla was miała ochłapów cielęciny. Ale za to doker na pewno przywiezie wam cukierków z Anglii.

Po przypływie wiatr ucichł i pozostawił nieruchome chmury nad Dolnym Miastem. Zaczęło padać. Ulica La Villemarque zamieniła się w bajoro. Batyida odeszła pomszczona. Zoe, idąc na bal, upapra się błotem po kolana, a Batyida każe narzeczonemu zanieść się na rękach. Horty także zdołałby przenieść swoją żonę na rękach przez to okropne błoto, ale Zoe tak go rozdrażni, że nawet mu to nie przyjdzie do głowy.

Horty wstał. Przez okno spoglądał za dziewczyną idącą ulicą w doł. Zapomniał jej podziękować za tak dobre umycie nóg. To musiało być dla niej trochę krępujące. No, ale mimo wszystko zrobiła to i nauczyła się. Oczywiście, spodziewała się dowiedzieć jak najwięcej o „Titanicu" i o tym, jak dobrze obchodzono się z gośćmi w hotelach w Southampton. Ale Zoe wyrzuciła ją za drzwi, zanim Horty opowiedział połowę z tego, co wiedział.

Armatorzy opisali mu wielki angielski port i ulicę przy nabrzeżach transatlantyków, przy której mieści się jego hotel. Ma on duży hall z obrotowymi drzwiami i schody ze stopniami lakierowanymi na biało. Po obu stronach długiego korytarza znajdują się pokoje jak na statku pasażerskim. Wszędzie są kobierce, a w każdym zakątku rośliny w donicach. Palarnia, której ściany wyłożono boazerią, udekorowana jest portretami statków, a wstęp do niej mają wyłącznie mężczyźni.

Jednak Horty'emu niełatwo zaimponować. Ostatni raz wpadł w zachwyt w dniu ślubu z Zoe. Śnieg padał wtedy od poprzedniego dnia. I, o dziwo, ten śnieg utrzymał się jeszcze długo. Od tamtej pory więcej się to nie powtórzyło, ponieważ w rejonach nadmorskich roztapiają go natychmiast słone mgły, gdy tylko osiądzie na ziemi. To było tak nieoczekiwane, że nawet dzieci unikały zabawy na śniegu. Chciały, żeby pozostał czysty, żeby można go było dłużej podziwiać. Widząc, jak śnieg otula Dolne Miasto, Horty pomyślał, że ogląda absolutną biel. I wtedy na końcu ulicy ukazała się Zoe z rodzicami, z przyjaciółmi, ze swoim orszakiem. Skierowali się do kościoła Świętego Andrzeja. Wówczas Horty zobaczył, że suknia Zoe była jeszcze bielsza niż śnieg. I nagle osłupiał.

„Osłupieć” - dokładnie tego słowa używali armatorzy w związku z „Titanikiem”. „Osłupiejesz Horty”. Czyż to nie brzmi jak słowo wyjęte z Biblii? Czy nie było w tym czegoś ogromnego, jeszcze zanim stało się rzeczywistością? A może Zoe jest zbyt mała, żeby dostrzegać taki ogrom? I na tym właśnie polega cały problem?

Doker chciał objąć żonę i pocieszyć ją, ale odsunęła się od niego, fucząc jak kotka. Czyściła, wycierała i układała wszystko, co już zdążyła przygotować do ćwiartowania cielaka, z nadąsaną i zaciętą miną kogoś już tak znudzonego, kogo zmuszają tylko do bezużytecznej pracy.

— Wiesz - powiedział - mogę zwrócić moją podróż. Ktoś inny skorzysta. Poza tym przecież nie mam walizki.

— To ci ją kupię - odparła Zoe. - Idę do Górnego Miasta. Chyba powinnam ją znaleźć na bazarze, no nie? Nie wiem, ile to może kosztować, ale już chyba czas, żeby ruszyć nasze oszczędności. Nie po to nadwerężałeś krzyż przez te wszystkie lata, żeby położyć pieniądze na stole, przebierać je paluchami i wzdychać. Mozę ja też kupię coś dla siebie. Sukienkę albo kapelusz. Czemu nie? Oczywiście nie wiem, po co kapelusz z woalką kobiecie takiej jak ja. Ale tym bardziej nie wiem, po co mężczyźnie takiemu jak ty noc w Southampton.

Zoe usiadła na krześle, rozłożyła na kolanach ścierkę i bez słowa, machinalnie zaczęła ją prasować płaską dłonią.

— Wieczorem - stwierdziła - idę na bal armatorów.

— Przecież nie lubisz tańczyć - zauważył Horty.

Zoe potrząsnęła rudymi włosami i zaczęła cicho płakać.

— Nie powinienem wygrywać - powiedział Horty. - Gdybym nie zdobył tej nagrody, bylibyśmy szczęśliwi.

— Jesteśmy szczęśliwi - odpowiedziała Zoe pociągając nosem. - A teraz trzeba, żebyś poszedł do Burenów. Wytłumaczysz mnie przed Batyldą, że wyrzuciłam ją za drzwi. Zapytasz, czy nie ma czegoś z ubrania, żeby mi pożyczyć na dzisiejszy wieczór. Tak, Batylda jest duża, ja wiem. Ale tak niedawno była dziewczynką, a jej matka nie jest z tych, co wyrzucają ubrania.

Bal odbywał się w długim, drewnianym hangarze Kompanii Korzennej. To był pomysł kobiet. Odurzające opary wydobywały się z pak cynamonu, goździków, szafranu i curry i zagłuszały kwaśny zapach spoconych ciał, rozlanego wina i uryny mężczyzn sprawiających sobie ulgę pod ścianami między iedr polką a drugą. Żeby zmniejszyć ryzyko pożaru, lampy naftowi zawieszono całkiem wysoko, przy belkowaniu dachu. W ten sposób dawały mniej światła, ale nie dosięgały ich czapki, które podnieceni dokerzy rzucali w powietrze na cześć ładnych dziewczyn ruszających do tańca albo kolejnego naczynia z kruszonem.

Armatorzy pozostawali zbici w gromadę koło długiego, przykrytego białym obrusem stołu z porozstawianymi na nim dzbanami wina. Oni nie tańczyli. Rozmawiali półgłosem o ruchach swoich statków, o umowach czarterowych, wymieniali się oficerami. W ciągu tej zimnej marcowej nocy w następstwie cichej szeptaniny zostaną powierzone nowe dowództwa, a inne będą odebrane. Pomiędzy bawiącymi się gośćmi prześlizgiwały się dzieci, łowiąc okruchy informacji, a potem rzucały się av stronę budynków na nabrzeżu, żeby wszystkim oznajmić zmiany.

Od czasu do czasu armatorzy milkli. Odwracali się twarzami do środka hangaru i patrzyli na kobiety dokerów. A one tańczyły ze sobą, czekając na swoich mężczyzn, aż wypiją dostatecznie dużo, żeby nabrać ochoty do trzęsienia się z nimi i podskakiwania w rytm muzyki.

Tego roku muzyka była piękna. Oprócz trzech akordeonistów grał skrzypek. Zoe i Batylda znowu były najlepszymi przyjaciółkami na świecie. Tańczyły ze sobą walca. Batylda wpięła w czarne włosy motyla wyciętego z białego tiulu. Gdy pochylała twarz na bok, skrzydła motyla powoli się zamykały. Zoe ubrana była w czerwonę suknię, którą Batylda wkładała na zabawy, gdy miała trzynaście lat.

— Ten człowiek - mówi Zoe i wskazuje na Julesa Simeona, wybranego po południu - jest od dziś przewodniczącym zgromadzenia armatorów. Nienawidzę tego człowieka. Jest mi winien cielaka i drogo mi zapłaci za niego. Nie wiem jeszcze, jak to zrobię, ale dopnę swego.

Mówi głośno. Kobiety trzymają jej stronę. To nic, że to nie dotyczy ich bezpośrednio. Nie podoba im się ta afera z podróżą do Southampton. Owszem, najpierw śmiały się z rozczarowania Zoe, która musiała opróżniać naczynia i schować noże. Jednak później zastanowiły się. Kto wie, czy Jules Simeon i jego lu-

dzie nie przygotowują w ten sposób gruntu do zlikwidowania w przyszłości konkursu.

To nie cielak kosztował drogo zgromadzenie armatorów, ale nieprzepracowany dzień, a zwłaszcza organizacja balu. No, ale jeśli już nie będzie konkursu, to i balu też. Nie będzie wydatków na muzykę, na oświetlenie ani na wino. „Przed nami poważne problemy" - tak wyraził się Simeon rano na pokładzie frachtowca, wykrzykując na wietrze słowa gratulacji dla zwycięzcy.

Przewodniczący zgromadzenia armatorów przemawiał wobec tłumu dokerów. Niektórzy nosili na szyi czerwone chustki, ale zdejmowali je i chowali do kieszeni w miarę, jak mówił Simeon. On zaś przypomniał, że nie wszyscy emigranci z Europy Centralnej udają się do Ameryki. Niektórzy zatrzymują się tutaj, nad morzem. Tym ludziom wystarczy kilka dni odpoczynku, żeby odzyskali wigor. Zgodzą się na niskie zarobki, faktycznie nieomal na jałmużnę. Są gotowi wykonywać najcięższe, najbardziej odpychające prace jedynie w zamian za prawo pozostania jeszcze trochę tutaj, we Francji. Nie będą domagali się świąt. Przeciwnie, będą gotowi pracować nocami, a nawet w niedziele. Mimo że są wieśniakami, bardzo prędko zrozumieją morską ekonomię. Statki są coraz większe. Żeby przynosiły dochód, wymagają coraz szybszej rotacji, a więc lepszego wykorzystania maszyn lub bardziej wydajnych dokerów podczas przeładunków. „Mechanizacja albo Węgrzy" - wyraził się żartobliwie przewodniczący, a potem skonkludował: „No więc, bawmy się wszyscy razem dopóty, dopóki jest na to jeszcze czas".

Zoe zostawiła Batyldę i skręciła w stronę długiego stołu. Kobiety przestały tańczyć, odsuwały się, robiąc jej przejście. Długa suknia Zoe rozszerzała się powyżej kostek jak polny mak rozwarty i przytrzymany paznokciami.

— Monsieur - powiedziała Zoe i stanęła przed przewodniczącym - wyrazy szacunku. Jestem Zoe Horty, monsieur.

Przewodniczący nachylił się. Ujął małą dłoń Zoe i powoli podniósł do ust.

— Monsieur - powtórzyła Zoe i żwawo cofnęła rękę, ostentacyjnie wycierając o czerwoną suknię - musimy porozmawiać.

— Później - odpowiedział przewodniczący.

— O nie - sprzeciwiła się Zoe - natychmiast, monsieur.

Kobiety śmieją się. Tylko Zoe Horty mogła się na to odważyć. Toż to prawdziwa zuchwałość! Małe kobiety są jak niska trawa - myśli Batylda z zazdrością. Nic nie jest w stanie rzucić wystarczającego cienia, żeby przeszkodzić jej zielenić się. Miejsce do tańca pustoszeje. Muzykanci grają w pustkę. Nawet mężczyźni podeszli bliżej. Horty był w pierwszym szeregu. Z rękami groźnie zaciśniętymi, w czapce nasuniętej nisko na oczy wyglądał jak przywódcy strajku. Spoglądał na swoją kobietę i marszczył brwi:

— Wystarczy. Nie przyszłaś tu po to, żeby dawać przedstawienie.

— To nie ja zaczęłam - wyjaśniła Zoe, patrząc przewodniczącemu prosto w oczy.

— Widziałem panią przed chwilę, jak pani tańczyła - rzekł przewodniczący. - Obserwowałem panią i pomyślałem: z przyjemnością zatańczyłbym z tą damą. Czy pani pozwoli?

Zoe zawahała się. Po raz pierwszy czuła się potraktowana jak dama. Nie wie, czy to naprawdę sprawiło jej przyjemność.

Przewodniczący pochylił się lekko, żeby znowu ująć dłoń Zoe. Tym razem jej nie wyrwała, więc poprowadził ją na środek hangaru.

— Monsieur - powiedziała Zoe - przed chwilą mój mąż przytoczył cyfry, w które trudno mi uwierzyć. Dowiedział się ich od pana. Chodzi o to wszystko, co załadują na ten statek, na „Titanic”. Podobno sto sześćdziesiąt ton świeżego mięsa.

— Sto siedemdziesiąt - poprawił z uśmiechem Simeon.

— Tak. A Horty pojedzie oglądać, jak wielki statek wszystko to pochłania. Czy my nie dostaniemy z tego ani kawałka? Oczywiście, że to jest angielskie mięso, ale mimo wszystko!

— Zrozumiałem - powiedział Simeon.

— Mam nadzieję - odparła Zoe.

— Może pani być pewna - potwierdził Simeon. - A co powiedziałaby pani na prosiaka?

— Jest bardziej smakowity niż cielak - zauważyła Zoe. - No i jest z niego więcej pożytku.

— Dołączę do niego kilka worków młodych ziemniaków.

— Merci - podziękowała Zoe. - Niech Bóg pana wynagrodzi.

— Tego nie jestem pewien. Wątpię, czy Pan Bóg prowadzi tego rodzaju rachunki. Zresztą będę z panią całkiem szczery. Sądzę, że Bóg nie istnieje.

Powiedział to, żeby pokazać, że nie jest ani taki burżuj ski, ani tak potulny, na jakiego wygląda. Dawniej był przystojny i szarmancki, ale teraz zgarbił się, a pod czarnym surdutem sterczały kości. Skropił się wodą lawendową, lecz czuć go było wilgotną flanelą, nagarem fajczanym, krochmalem, wodą do płukania ust i ziemią. Słowem - był to starzec. Nie pozostało mu nic innego, jak uchodzić za postępowego republikanina i wolnomyśliciela. Myślał, że taka sama powinna być kobieta dokera w prostackiej sukni, mała kobieta z Północy, przytupująca w tańcu piętami jak Hiszpanka.

— Ach! Jestem tego samego zdania co pan! - wykrzyknęła Zoe.

Rozejrzała się wokół siebie i dodała parskając śmiechem:

— To znaczy, że wierzę, że nie wierzę.

— Madame Horty - szepnął przewodniczący - musimy wrócić do naszej rozmowy i omówić to wszystko dokładniej. Chodzi o poważne sprawy, które wymagają, aby wspólnie poświęcić im kilka godzin refleksji. Tak więc prosiaka i kartofle dostarczę pani osobiście, prawda? Przyjdę, że tak powiem, jedynie w towarzystwie zalakowanej butelki wina. Pani pozostanie tylko ustawić na stole dwie szklaneczki.

— Oui monsieur - odpowiedziała Zoe pojętnym tonem - spędzimy przyjemne chwile. Może będzie ładna pogoda, gdy pan przyjdzie. Jak wypijemy, poszlibyśmy na spacer na piaszczyste wybrzeże.

Przewodniczący nie zrobi jej wielkiej krzywdy. Z pewnością trochę ją pomaca, ale nie on pierwszy. A zresztą porządna kobieta nigdy od tego nie umarła. Jeśli będzie chciał posunąć się dalej, Zoe przywoła go do porządku. Na ulicy La Villemarque w jednym domu słychać wszystko, co dzieje się w drugim.

Zoe uśmiechnęła się. Mam go - pomyślała. Wyciągnę od niego dużo więcej niż prosiak i kartofle. Awans dla Horty'ego, może przydział na dźwigowego na te ostatnie lata pracy na nabrzeżu, jakie mu pozostały. Niech jeszcze Horty przywiezie mi z Southampton parę sznurowanych żółtych bucików, a spełni się marzenie. Nie mam zresztą w co się ubrać, co by pasowało do żółtych sznurowanych bucików. Ale kogo to obchodzi?

Zoe tańczyła teraz coraz szybciej. Zamknęła oczy. Jej głowa wymyślała muzykę, a nogi kroki. Orkiestrze i przewodniczącemu pozostało jedynie podążać za nią. Kobiety stanęły kołem wokół miejsca do tańca i klaskały w dłonie, skandując: Zoe, Zoe, Zoe. Wydawało się, jakby morskie ptaki wtargnęły chmarą do hangaru Kompanii Korzennej i szybowały hałaśliwie w dymie naftowych lamp. Zoe Horty po prostu zachwyciła Batyldę Buren i innych młodych na balu w 1912.

Przewodniczący uwolnił ją, bo kręciło mu się w głowie. Założył ręce do tyłu. Musiał zadowolić się tym, że odprowadza Zoe wzrokiem. Odczuwał zawód, że przestał czuć piersi kobiety przyciśnięte do jego gorsu, unoszące się w zziajanym rytmie jej oddechu. Gdy Zoe wirowała, jej włosy fruwały i zasłaniały twarz, że nie widać było drobnych zmarszczek w kącikach ust i oczu. Była tak delikatna i energiczna, że można by jej dać trzynaście lat. Gdzież tam, może nawet i tyle nie! - myślał przewodniczący.

Horty patrzał bez słowa. Tej nocy był z niej dumny. Nie była taka jak poprzednio, gdy siedziała na ławce i nie chciała pić ani tańczyć. Bez przerwy pytała przechodzące obok pary, która godzina, i szukała wzroku męża, żeby mu dać znać, że chce wracać. No więc teraz jednym prztyczkiem przesunął do tyłu sukienną czapkę. Rozpychając kobiety zagrzewające Zoe, dołączył do niej.

— Niech ją pan zostawi - powiedział przewodniczący. - Ona jest gdzieś daleko stąd. Marzy.

— Wiem - odparł Horty - robimy tak samo, zawsze robimy tak samo, Zoe i ja.

Zdarzało im się, że budziły ich w środku nocy podmuchy wiatru, stukot okiennicy lub gwizd syreny. Uśmiechali się do ciebie w ciemności: „Dobrze się czujesz? - Bardzo dobrze, a ty?

— Śniło mi się, że mamy starego konia z kopalni, zbiega, który nie wiadomo, jak wydostał się na powierzchnię i przyszedł ocierać się o nasze drzwi. - Był szary, tak? - Tak, skąd wiesz? - Bo był także w moim śnie. Miał spuchnięte boki, to był pobity koń.

— Tak. Zostawiamy ten sam sen, żeby usnąć, czy zmieniamy? — Powinniśmy zostawić, żeby zobaczyć, co się stanie z tym zatraconym koniem".

Zoe otworzyła oczy. Nie przestając tańczyć, wyciągnęła przed siebie ręce. Horty pochwycił je. Wirowali razem.

Potem nagle dwaj mężczyźni rzucili się na siebie z nożami. A jeszcze później młoda dziewczyna, Marta Gillard straciła przytomność. Osunęła się tak łagodnie, że w pierwszej chwili nikt tego nie zauważył i tłum tańczących trochę ją przydeptał. Miała złamany lewy nadgarstek. Całą resztę wieczoru przesiedziała płacząc i spoglądając zbaraniała na rękę, która w mgnieniu oka stała się ogromna. Skrzypek próbował grać na akordeonie, ale nie bardzo mu wychodziło. Batylda zgubiła motyla z białego tiulu. Znaleziono go utopionego w dzbanie wina. Nagle rozpętała się burza. Deszcz bębnił tak mocno o dach hangaru, że wszystkie twarze uniosły się. Wydawało się, że to stuka anioł apokalipsy we własnej osobie. Naturalnie, że pod koniec zabrakło wiktuałów. Ktoś więc musiał pobiec do hali rybnej po baryłki fląder.

Mimo że w zasadzie szant pokładowych nie intonuje się na lądzie, marynarze z „Souvenir d'Amour" zaśpiewali:

Ocet, musztarda, kapelusz rogacza,

nos oraz broda, wrzuć wszystko do sracza,

Zamiąchaj zygiem, oj dana dana,

zamiąchaj zygiem, oj dana da...

Śpiewali, żeby pocieszyć Martę Gillard. Wszyscy się nad nią litowali. I faktycznie mała w końcu zaczęła się śmiać. Przybłąkał się jakiś bezdomny pies. Łaził, ale nikogo nie ugryzł. Miał takie wielkie oczy. Jeden z marynarzy kwestował wśród tańczących.

Józef Barthome wlazł na ławę, żeby ogłosić swoje zaręczyny z Coralie Dzuc, wyjątkowo jasną blondynką. Miała ona szyję bardzo dziwnie wyciągniętą do przodu, jak ktoś, kto zaraz zwymiotuje. Trochę przed północą wszyscy się uciszyli, aby posłuchać syreny jakiegoś statku wychodzącego w morze. Usiłowano zgadnąć, o jaki statek chodzi. Zakładano się nawet o jego nazwę. Czyjś dzieciak pobiegł na główkę falochronu, żeby to sprawdzić. Nie wrócił, bo zapewne gdzieś przysnął zwinięty w kłębek. Tak późno w nocy dzieci nie nadają się już do niczego.

A teraz Horty i Zoe schodzili w stronę Dolnego Miasta wzdłuż nabrzeża handlowego. Przeszli obok trzech frachtowców amerykańskich, które zawinęły tutaj poprzedniego dnia. Ich kadłuby były jeszcze pełne, więc zanurzone dużo powyżej linii wodnej. Wielcy Murzyni stali na straży. Palili cygara sprężyste i ciemne jak oni sami. Zdjęli czapki, pozdrawiając dokera i jego żonę. Byli poważni, ale ich oczy śmiały się. Amerykańscy Murzyni jeszcze nic nie widzieli we Francji, oprócz długiej szarej linii nabrzeży i kilku zielonkawych świateł w deszczu, lecz już wiedzieli, że to będzie ich najpiękniejsza podróż. Większość z nich przybywała z tłustego i cuchnącego piekła statków wielorybniczych w Nantucket. W swoich workach marynarskich mieli pełno rzeźbionych końcem noża zębów kaszalotów. Rzeźbione zęby tańczyły w zagłębieniach ich rąk: *Look, man, look. Pretty thing for your girl. Not expensive. Nice zvork**[1]

Inne statki wyglądały jak opuszczone. Pachniały żelastwem, zimnym olejem i zupą. Kiwały się na falach. Obierki wrzucone do morza uderzały o nabrzeża i przylepiały się do dyżurnych szalup spuszczonych ze statków moknących na redzie.

W miarę jak oddalali się od hangaru Kompanii Korzennej, odgłosy muzyki roztapiały się w mroku nocy. Tutaj słychać było już tylko chrapanie mężczyzn spoza półprzymkniętych bulajów i od czasu do czasu ukradkowe plusnięcie szczura.

— To był bardzo udany bal - powiedziała Zoe. - Może nawet najlepszy bal ze wszystkich, na jakich byłam.

---

[1] Spójrz człowieku, spójrz. Cacko dla twojej dziewczyny - niedrogie i ładnie zrobione.

Horty objął żonę w talii. Lubiła ten gest. Odezwał się łagodnym tonem:

—Mówią, że miałaś swoją godzinę chwały, moja mała. Tańczyć z przewodniczącym, stawiać mu warunki... Nie tracę mojej podróży, a i tak, mimo wszystko, będziemy mieć całego prosiaka... Moja mała Zoe, kompletna wariatka! Ale masz rację, to była moja noc. A jeśli zwycięzca ma jakieś prawa, myślę, że jego małżonka też. Tak sobie to wymyśliłaś, co, Zoe? Dobra jesteś.

Tymczasem ona wyglądała jak zmokła kura. Jej czerwona suknia była upstrzona plamami potu, włosy zlepione, a wargi opuchnięte, bo tak bardzo je przygryzała. W jednym z bucików odpadł obcas.

Zoe spojrzała do góry na gigantyczne dźwigi rozkraczone na szynach. To był najważniejszy punkt tego dnia. Gwałtowna ulewa odeszła w morze, zasnuwając horyzont bardzo długą, zasłonę pyłu wodnego. Ale z belek nadal kapały grube,rdzawe krople i niczym rude ulotne plamy rozgniatały się na policzkach Zoe.

— Dostanę dla ciebie pracę tam na górze - powiedziała do Horty'ego, pokazując mu małą kabinę dźwigu tuż za ramieniem.

— Jak wrócisz z Southampton, już będzie załatwione.

— Ciekawe jak - powiedział Horty.

— Bardzo prosto - zaśmiała się cicho Zoe - nie pytaj mnie o to.

Horty patrzał na dźwigi i widział ponad nimi gwiazdy. Wydawało mu się, że są na niebie wyżej niż zwykle. Lśniły lodowatym blaskiem, bez halo. Wiosna nad Atlantykiem Północnym będzie spokojna i chłodna - pomyślał doker.

MĘŻCZYZNA, który nigdy w życiu nie wystawił nosa poza nabrzeża portowe, teraz jedzie do Southampton na dwa dni i jedną noc, mając pięćdziesiąt dwa lata. Potrzebuje oczywiście całej masy rzeczy, ale Zoe nie wiedziała jakich.

Czy w pociągu dają jeść? Czy to prawda, że od pędu zasycha w gardle i ktoś wsiada do pociągu, by zaproponować coś do picia? Jeśli to prawda, jak sobie radzi ten sprzedawca wody z przechodzeniem z wagonu do wagonu podczas jazdy. A może koleje zaangażowały akrobatów - myśli Zoe. Zastanawia się także, jak Horty powinien się ubrać wieczorem w angielskim hotelu. Czy nocą będzie spał nago, tak jak przywykł tutaj, u siebie? Czy raczej potrzebna mu długa koszula? Co powinien włożyć rano, żeby oglądać odcumowanie „Titanica"? Są w życiu takie sytuacje, w których jedynie czapka na porządnie uczesanej głowie prawdopodobnie nie wystarczy.

Ostatniego wieczoru Batylda i inne kobiety przyniosły do Zoe ciemne surduty, które ich ojcowie i mężowie przywdziewali w dniu swojego ślubu. Rozłożyły je na stole razem z potrzebnymi akcesoriami: białymi koszulami, krawatami, spinkami i fiszbinami do kołnierzyków. Wszystko to było poukładane w pudełkach po specyfikach i przesypane grubą solą i ryżem, aby zapobiec wilgoci. Te ciężkie i czarne tkaniny nadawały stołowi wygląd katafalku. Od surdutów zalatywało saletrą i piwnicą. Każda z kobiet stosowała jakiś wypróbowany przepis, żeby zachować je jak nowe, wiedząc bardzo dobrze, że te ubrania nie będą więcej używane, chyba że umrą prędzej niż ich mężczyźni, wtedy oni założą je w charakterze ubrań żałobnych. Niektóre kobiety wypychały kieszenie suszonymi ziołami, jakby je balsamowały- Inne zawijały surduty w paski woskowanego papieru. Teraz rozkładały przed Zoe ciężkie ubrania. Poruszały nimi, wsuwając ręce do środka, aby wydawało się, iż jest w nich ktoś żywy.

Zoe wybrała surdut należący niegdyś do Jana Risskena. Nie był najświeższy, ale od spodu obszyty cienką wstążką z bardzo starym wzorem z okresu cesarstwa.

Poprosiła Batyldę, żeby zrobiła dla wszystkich kawę i wyjęła butelkę wódki oraz biały cukier. W tym czasie przeszła do pokoju i sprawdzała czerwoną suknię pożyczoną od Batyldy na bal armatorów.

Na łóżku, po tej stronie, gdzie spał Horty, leżała jego waliza, jeszcze otwarta. Była o wiele za duża jak na to, co ostatecznie Zoe znalazła, żeby do niej włożyć. Przynajmniej nie będzie ciężka do niesienia. Na dworze dudnił o ubitą ziemię grad niesiony wiatrem od morza. Szybciej niż zwykle zapadła noc. Wściekle ujadały psy. Marzec to najbardziej niespokojny miesiąc. Tego wieczoru Horty miał wrócić późno, bo pracował dodatkowo przy rozładunku niemieckich statków oczekujących od Wielkiego Piątku na redzie. Horty'ego wzywali czasami jak do połogu. Zoe prosiła, żeby spędził z nią ten ostatni wieczór, ale żachnął się: „Jaki ostatni wieczór? Wyjeżdżam we wtorek, a w czwartek rano będę z powrotem. Nawet nie zdążysz zauważyć, że mnie nie ma". Nie sprawiał wrażenia człowieka, który myśli o wyjeździe. Jak gdyby tylko trochę miało go nie być. Ot,'wyskoczy na kawę — na kawę do Southampton. No więc dobrze, po drugiej stronie morza...

— Batylda! - zawołała Zoe - mam tutaj twoją suknię.

Weszła Batylda. Boso. Było w niej coś ze zwierzęcia. Zoe nie wiedziała co, ale na pewno było to zwierzę ciepłe i brudne.

—Zastanawiam się - powiedziała Zoe - czy mogłabym jeszcze trochę zatrzymać twoją suknię.

Wyciągnęła dłoń i pokazała Batyldzie małą broszkę. Znalazła ją między algami w „babskim porcie".

— W zamian pożyczę ci to. Ale noś ją tylko u siebie, gdy jesteś sama. Mój Boże, nie waż się paradować z tym klejnotem. Tak naprawdę nie jest mój!

— Możesz zatrzymać suknię, ile tylko zechcesz - powiedziała Batylda i żywo schwyciła broszkę. - Nikt jej w domu nie nosi, bo wszystkie dziewczyny już z niej wyrosły.

— Batylda - zaproponowała Zoe - jutro rano, jak Horty będzie wychodził, chciałabym go pocałować. Ale tak inaczej pocałować. Ty to znasz?

— Tak - odpowiedziała śmiejąc się Batylda. - W usta, głęboko, aż do gardła, to chcesz powiedzieć?

— Tak - potwierdziła Zoe. - Pokaż mi, jak to trzeba robić.

— Nigdy tak nie całowałaś? - spytała Batylda.

— Nie.

— Nie do wiary! Naprawdę nie do wiary, jacy wy potraficie być tchórzliwi, wy wszyscy! Myślałaś, że to źle?

— Nie—odparła Zoe — ale nam tutaj usta służą do jedzenia i do gadania.

— No tak - zaśmiała się Batylda - ale można nimi robić jeszcze inne rzeczy. Możesz mi wierzyć! To dziwne, że nie całowałaś się przez cały ten czas. Horty też nie. Pierwszy pocałunek w wieku sześćdziesięciu lat!

— Horty ma tylko pięćdziesiąt dwa.

— Przestać opowiadać bajki - szczebiotała dalej Batylda.

— Albo bawimy się w ciuciubabkę, albo pokażę ci, jak należy całować. Zamknę tylko drzwi. A teraz przybliż się trochę. Zoe, jeśli chcesz się naprawdę nauczyć, to dlaczego uciekasz ode mnie? Będzie lepiej, jak usiądziesz na łóżku, a ja obok ciebie. Na stojąco jest niewygodnie. Chyba zapomniałaś, że jesteś niziutka, a ja wysoka.

W izbie obok było słychać kobiety grzebiące w piecu. Rozgarniały węgle, aby podgrzać żelazną płytę, gdyż chciały wyprasować koszulę i surdut Jana Risskena. Rozmawiały półgłosem. Podziwiały lub krytykowały pogańskie przedmioty, jakimi Zoe umeblowała dom. Dlaczego na ścianie w głębi, na tej, którą widzi się najpierw wchodząc do pokoju, zamiast krucyfiksu wiszą te wypchane samogłowy? Przecież Horty ich nie złowił.

Kobiety już zapomniały, że handlarz z wraków sprzedawał czasami samogłowy, ale nigdy krucyfiksy. Batylda pochyliła się przycisnęła do siebie Zoe. Szerokimi i wilgotnymi dłońmi gładziła potargane włosy małej kobiety. Potem chciała przytrzymać jej twarz, ale Zoe trochę się wzbraniała Być w ten sposób całowaną to było dla niej nowym przeżyciem. Kobiety z ulicy La Villemarque, z wyjątkiem spryciary Batyldy, z reguły bały się tego, czego jeszcze nie znały. Obawiały się na przykład korzystać z samochodów z rzadka przejeżdżających Dolnym Miastem, chyba że w razie porodu albo śmierci.

— Siedź spokojnie - szepnęła Batylda. - Nic złego ci nie zrobię. Przecież cię nie ugryzę.

Dziewczyna otworzyła usta i położyła je na wąskich wargach Zoe. Zoe poczuła, jak język Batyldy przesuwa się i wślizguje pod zęby. Batylda miała smak letniej i trochę mdłej morskiej wody.

Zoe pozwoliła jej to robić przez chwilę, potem odepchnęła.

Przyciągnęła do siebie czerwoną suknię i wytarła się nią. Cóż, mogła już uznać, że teraz ta suknia należy do niej, gdy wymieniła ją za broszkę.

— To nie jest wcale takie nadzwyczajne - powiedziała Zoe.

— W każdym razie teraz wiesz, jak to smakuje. Ale proszę cię, nie opowiadaj o tym księżom od Świętego Andrzeja. Wiesz, że nie chcą dać Steuze'owi i mnie ślubu?

— Nic nie powiem - obiecała Zoe.

Wciąż wycierała wargi. Nie mogła zetrzeć obcego, kwaśnego zapachu pozostawionego przez usta wysokiej dziewczyny.

Tej nocy działo semafora wystrzeliło dwa razy, wzywając na wybrzeże dwunastu ochotników stanowiących załogę łodzi ratunkowej. Zoe i Horty słyszeli głuchy turkot wózka. To dwa muły ciągnęły nad brzeg długą, białą szalupę, aż cały dom się trząsł. Mężczyźni w długich kaloszach chodzili wokół szalupy. Zazwyczaj Horty towarzyszył im do brzegu i pomagał spuszczać łódź na wodę. Żelazne koła wózka grzęzły w piasku. Trzeba było zepchnąć łódź do morza, tocząc po dylach pokrytych morskimi Porostami. Mężczyźni popychali rufę i podpierali burty, a kobiety ciągnęły za grubą linę przechodzącą na dziobie przez kluzę. W czasie odpływu pchali i ciągnęli w ten sposób przez kilkaset metrów.

Tym razem Horty został w łóżku. Zoe go całowała.

Nie minęła jeszcze szósta, gdy Horty wyruszył na dworzec. Przewodniczący Simeon obiecywał, że przyśle po niego swój samochód. Pogoda była wciąż tak nieprzyjemna. Plandeki automobilów darły się na strzępy na wielkim wietrze, a motory dusiły od wilgoci. Tylko kilkoro dzieciaków wstało wcześniej, żeby odprowadzić Horty'ego. Sprzeczały się, kto będzie niósł jego walizę. Wszystkie marzyły o tym, żeby być kiedyś takim jak on dokerem potrafiącym biec szybko ze skrępowanym cielakiem zarzuconym na ramiona i żeby potem wsiąść do pociągu, następnie o świcie na statek i wyjechać do Anglii, a tam spać w hotelu i być obsługiwanym w sali jadalnej.

Zoe powiedziała: „Uważaj na wszystko Horty”. I jeszcze raz go pocałowała. Teraz już wiedziała, jak to się robi. Wyglądało na to, że Horty lubi się całować. Jej wąskie wargi nabrzmiały od mocnego przyciskania prawie przez całą noc do ust mężczyzny. Były tak czerwone, że Zoe nie musiała ich szminkować.

Na dworcu, na peronie grali trzej akordeoniści z balu. Tłumaczono Horty’emu, że skrzypek też tu powinien być, ale ma kłopoty. O świcie przyszli po niego agenci i chyba jest w więzieniu. Niestety!

Morze smagane deszczem, który lunął nagle, natychmiast zbielało. Pasażerowie tłoczyli się, śpiesząc do salonu, żeby się schować przed ulewą. W oczekiwaniu, aż można będzie schronić się w salonie, jedna z pasażerek popełniła tę nieostrożność, że otworzyła parasolkę, którą wiatr wyrwał z jej rąk. Pasażerka wydając krótkie okrzyki pobiegła za nią na pokład parowca. Parasolka była w kolorze fuksji. Kobieta miała na sobie suknię barwy bardzo jasnozielonych migdałów. Można by pomyśleć, że to sytuacja z akwareli, na której malarz nie potrafił się zdecydować, kiedy zakończyć kompozycję, i próbował kolejno wielu różnorodnych póz kobiety z parasolką.

—Założę się, że ją złapie - powiedział jakiś fajczarz, trącając łokciem Horty’ego.

— Nie, nie złapie - zaprzeczył Horty. - Nie chcę zakładać się z panem, bo nie mam na to pieniędzy.

parasolka drżąc znieruchomiała koło parowej windy kotwicznej. Wydawało się, że dalej już nie poleci, gdy gwałtowny przechył statku wyrzucił ją do morza. Płynęła chwilę wzdłuż burty, tracąc piękny kolor fuksji. W końcu zanurzyła się w kilwaterze parowca.

— Miał pan rację - powiedział fajczarz.

— Ja już straciłem parę rzeczy w morzu - stwierdził Horty. — I nigdy niczego nie odzyskałem.

Parowiec do Southampton opuścił Cherbourg wschodnim torem wodnym. Wziął kurs na pełne morze, żeby uniknąć zawirowań koło Barfleur. Ich działanie czuło się przez wiele mil, szczególnie gdy wiatr wiał pod prąd.

Horty aż do ostatniej chwili obserwował, jak maleje i niknie w oddali nowy dworzec morski Cherbourga. Teraz był już prawie ukończony, ale oficjalna inauguracja miała odbyć się dopiero w lipcu.

Jutro wieczorem przeładunkowce: „White Star", „Nomadic" i „Traffic", będą krążyły bez przerwy pomiędzy promem wiozącym pociąg z Paryża a „Titanikiem" przybyłym z Southampton i moknącym kilka godzin na redzie przed odpłynięciem do Queenstown i Nowego Jorku.

Kobieta, która straciła parasolkę, siedziała teraz obok Horty'ego na ławce osłoniętej bębnami kół przed bryzgami fal. Nie miała jeszcze dwudziestu pięciu lat. Uporczywie spoglądała w stronę, gdzie utonęła jej parasolka. Pasażerka wyglądała na zdeprymowaną, ale było jej z tym do twarzy. Używała perfum pachnących wanilią. Przestało padać, ale wciąż wiało. Nad Hortym i jego sąsiadką nisko sunęły kłęby czarnego dymu.

— Nie tylko pani parasolka spoczywa na dnie - powiedział Horty, żeby pocieszyć młodą kobietę. - Nie licząc ryb, pełno tu wraków. Jest nawet jeden okręt wojenny z czasów wo,: , secesyjnej. Południowiec. Spoczywa dokładnie pod nami. W każdym razie niedaleko stąd.

Kobieta zrobiła ruch, jakby zamierzała przechylić się przez reling i - być może - zobaczyć pod falami niewyraźną sylwetkę okrętu południowców. Horty przytrzymał ją, obejmując w talii. Po raz piewszy jego palce dotykały tak delikatnej tkaniny. Może zostanie mu tyle pieniędzy, żeby przywieźć Zoe podobną suknię, oczywiście jeśli znajdzie taką w Southampton.

— Och, nic nie widać - powiedziała kobieta.

Zanim się wyprostowała, Horty poczuł, jak jej talia drży w jego dłoniach. Kobietę przeniknęły dreszcze wywołane być może chłodnym wiatrem albo myślą o okręcie południowców, albo dotykiem dłoni Horty'ego, ale doker wolał o tym nie myśleć. Dla niego było to uczucie raczej przyjemne, tak jakby ściskał gładkie zwierzę lub mewę, która się boi. Z wnętrza statkuj doleciał dźwięk fortepianu.

— Będzie pani lepiej w salonie — stwierdził Horty, — Zaraz podadzą herbatę.

— Czy płaci się za nią? Nie mam czym zapłacić. Na statkach wszystko jest takie drogie.

— Niech pani idzie - zaproponował. - Zafunduję pani— ponaglał widząc jej wahanie, które było urocze i oznaczało, żel umiera z chęci wypicia herbaty.

Nie miał wrażenia, że robi coś, co mogłoby nie podobać się Zoe. Zoe zresztą też była hojna.

Horty i młoda kobieta mieli trudności z dostaniem się doi wnętrza statku. Wejście blokowali ludzie nie znoszący ani atmosfery salonu, ani wiatru hulającego po pokładzie. Nie-] szczęśnicy tkwili tam, trzymając się jedni blisko drugich i wydając wystraszone okrzyki, gdy statek kładł się na burtę. Hortyj zastanawiał się, czy niektórzy z tych pobladłych biedaków udawali się do Southampton, żeby wsiąść na „Titanica".! Z pewnością pożałują decyzji i zrezygnują z przepłynięcia! oceanu. Rozważał, ilu z nich spróbuje odprzedać swoje kabiny. Dobry sposób, żeby łatwo zarobić pieniądze. A może zapropować im, że zajmie się tym zamiast nich, a prowizję włożyć do kieszeni. Jednak rnłoda kobieta w sukni koloru zielonych migdałów miała coraz większą ochotę na herbatę. Pośpieszała Hortygo' żeby torował drogę w małym, wystraszonym tłumku.

Salon znajdował się w punkcie ciężkości parowca, przez co kołysanie było tam najmniejsze. Przez okna ozdobione kotarami z czerwonymi frędzlami widać było, jak unoszą się i zanurzają łopaty kół. Wynurzały się z morza i przesuwały przed szybami, ochlapując je. Ściany były wyłożone boazerią. Na każdym stole stał wazon z krótko uciętym tulipanem. Na fortepianie młoda dziewczyna grała jakiś romans, wpatrując się uporczywie w mały metronom.

— Jakiś poemat Wordswortha - szepnęła towarzyszka dokera. - Sądzę, że to „Description du paysage des lacs".

Można było pomyśleć, że jest się w jakimś młynie w Anglii.

Horty zamówił herbatę dla kobiety w zieleni, a dla siebie wódkę. Steward postawił na obrusie pękaty, srebrny imbryk owinięty nakrochmaloną serwetką, zeby utrzymać go w cieple. Do herbaty podał długie tartinki z opiekanego chleba, na których roztapiały się strużyny masła. Horty trochę żałował, że wziął wódkę, bo podano ją bez zakąski. Może kobieta schrupie tylko koniuszek tartinki i będzie mógł dokończyć te grzanki. Horty nie spuszczał z nich wzroku, czekając, na co ona się zdecyduje. Im dłużej to trwało, tym bardziej masło stawało się płynne

i wsiąkało w chleb. Byłoby najlepiej, gdyby doker mógł je ugryźć teraz albo za chwilę.

Kobieta w zieleni siedziała bez ruchu. Nie tknęła swoich tartinek, a nawet nie piła herbaty. Zbladła prawie tak samo jako ludzie zbici przy wejściu. Jej dłonie drżały. Może ona jest chora — pomyślał Horty. Nachylił się do niej i zapytał, czy coś jest nie w porządku.

— Trzeba będzie zapłacić za herbatę. Mam wrażenie, że pan nie ma dużo pieniędzy.

Doker potwierdził, że owszem, nie ma dużo pieniędzy, ale jednak wystarczy, żeby zapłacić za herbatę.

— Ach, pieniądze - powiedziała kobieta. - Wszystkim nam lch brakuje. Takie czasy. Mimo wszystko przydałoby się mieć trochę więcej. Może w Ameryce. Tam właśnie jedziemy, Duncan i ja.

Wyjaśniła, że Duncan to nikt inny tylko ten fajczarz, który próbował naciągnąć dokera na zakład.

— To pani mąż? - zapytał Horty.

Co za pytanie? Młoda kobieta pachnąca tak ładnie wanilią nie mogła oczywiście sama płynąć na parowcu przez La Manche. Trzeba było o tym pomyśleć przed zaproszeniem jej na herbatę. Horty uczepił się nadziei, że Duncan leży gdzieś w kącie chory jak pies. Miał wystarczająco dużo krzepy, żeby szurnąć fajczarza z jednej burty na drugą, ale nie żywił takich zamiarów.

— Duncan jest tylko baronem - powiedziała kobieta.

Wytłumaczyła, że baron był kimś w rodzaju wspólnika.

W poczekalniach dworców morskich kobieta w zieleni proponowała pasażerkom, że nauczy je gry w karty, w którą grywa się w Anglii i w Stanach Zjednoczonych. Mówiła, że to się im przyda na statku pasażerskim dla zabicia nudy podczas podróży. Przez większosc czasu pasażerki miały trudności ze zrozumie- i niem reguł wista. Wtedy kobieta w zieleni tasowała karty i rozkładała na ławkach dworca morskiego, mówiąc: „Dobrze, widzę, że to dla pani zbyt trudne. Nie ma czasu, by przerobić z panią całego kursu, bo statek zaraz zatrąbi i odpływamy. Mamy akurat tyle czasu, ile potrzeba na małą partyjkę pokera, moja droga.

No, a to jest łatwe. Wprawdzie nie jest to gra dla dam, ale jakaż zabawa!" W tym momencie wkraczał Duncan. Zresztą nie zawsze nazywał się Duncanem. Czasami był Edmundem, Helmutem albo Gemmo. Ustawiał się blisko ławek z miną człowieka ubawionego widokiem porządnych kobiet grających w pokera. Przymykając oczy, skręcając w szczególny sposób uszy i przesuwając dłonią po włosach, wskazywał kobiecie w zieleni, jakie karty trzyma w ręku pasażerka z naprzeciwka.

W momencie wsiadania na statek pasażerki były podenerwowane. Obawiały się o bagaże i o to, że morze będzie niespokojne, a na pokładzie znajdzie się inna kobieta nosząca taką samą toaletę. Rzadko zwracały należytą uwagę na grę. I przegrywały.

— Oszuści - powiedział Horty. - Jesteście oszustami.

Zastanawiał się teraz, czy kobieta specjalnie nie pozwoliła parasolce pofrunąć z wiatrem, żeby Duncan mógł trącić łokciem Hrortv'ego: „Założę się, że..." Oczywiście, mała była gotowa złapać parasolkę, co pozwoliłoby Duncanowi wygrać zakład. Musiała mieć dużo parasolek i robić taki sam numer za każdym razem, gdy wiał wystarczająco silny wiatr.

— Tak - przyznała kobieta w zieleni. - Oszukujemy, ale wygrywamy mało. Pasażerki nigdy nie mają przy sobie dużo pieniędzy. Akurat wystarcza im na napiwki dla tragarzy i dla boyów rozlokowujących je na statku. Porzucamy dworce morskie. Kiedy będziemy w Nowym Jorku, zajmiemy się wielkimi hotelami, a może również pociągami. Trzeba paru dni, żeby przejechać z jednego wybrzeża na drugie. Będzie wówczas dużo czasu, by oskubać sporo osób. Zastanawiam się tylko, czy wciąż jeszcze mam ochotę płynąć do Ameryki. Oni są tam tacy surowi. Co będzie, jak capnie nas policja?

— Wolę o tym nie myśleć - powiedział Horty.

— Jeżeli mnie aresztują w stanie, w którym pada śnieg, zdechnę z zimna w celi. A jeśli to będzie w stanie, gdzie jest pustynia, umrę z gorąca.

Była rzeczywiście rozdarta.

— Są tam także stany o umiarkowanym klimacie - przypomniał Horty.

— Tak, ale nie wybiera się kamienia, żeby się na nim potknąć, no nie? Southampton wygląda na duże miasto. Mogłabym odłączyć się od Duncana. Niech mi pan tylko da na omnibus, to prysnę stąd.

Horty nie miał pojęcia, ile może kosztować miejsce na platformie w omnibusie do Southampton. Wyciągał monety i kładł je przed sobą. Kobieta w zieleni brała je w miarę, jak je wyjmował, i toczyła je tak, żeby wpadały do małej sakiewki. Miała ładny uśmiech.

— To wszystko - stwierdził w końcu Horty. - Resztę muszę zatrzymać.

Powiedziała, że rozumie. Wstała. Wyciągnęła do Horty'ego obie dłonie, tak jak to robią światowe damy rozstając się z przyjacielem. Doker pomyślał, że prawdopodobnie równie elegancko wyciągnie je do glin amerykańskich, którzy prędzej czy później przyskrzynią ją i założą kajdanki. Horty jednak nigdy się o tym nie dowie. Jego życie potoczy się dalej i tylko od czasu do czasu powie sobie: złapali w końcu tę kobietę w zieleni czy nadal kursuje? A potem całkiem o niej zapomni. Może tylko raz, ten ostatni raz pomyśli jeszcze o niej, gdy zobaczy pluszową tkaninę koloru zielonych migdałów rozwieszoną u sprzedawcy owoców.

Spoglądał za nią, jak się oddala i muska inne stoły łowiąc okruchy rozmów, które mogły się przydać jej i Duncanowi. W końcu usiadła obok jakiegoś starszego pana pod lustrem w głębi salonu. Znowu przybrała zdeprymowany wygląd. Zaraz dostanie na bilet - pomyślał Horty.

Wyspa Wight została za lewą burtą. Parowiec wpłynął do ujścia rzeki Test i zmierzał do nabrzeży Southampton. Pasażerowie zgromadzili się wzdłuż relingu w nadziei ujrzenia przynajmniej sylwetki „Titanica". Kobieta w zieleni i Duncan byli wśród nich i posyłali Horty'emu mały przyjazny znak.

Ponad miastem unosiło się coś szarego i wilgotnego. To coś chciało być deszczem, ale nie potrafiło.

Gdy do Southampton nadciąga wiosna, niebo podnosi się dychawicznie jak stara winda. Wiadomo wtedy, że to już koniec zimy, ponieważ trzeba podnieść nos wyżej. I to wszystko. Poza tym chmury są takie same posiniałe, porozciągane i pomieszane z dymami fabryk. Miasto wyłania się z wolna. Ceglane fasady ociekają kroplami, a ulice lśnią, mimo że nie pada. Cudzoziemcy wychodzą bez płaszczy przeciwdeszczowych i są bardzo zdziwieni, że przemokli.

Wilgoć zawieszona w powietrzu tworzyła gęstą mgłę, bardziej zwodniczą, niż mogłoby się wydawać. Toteż ci, którzy sądzili, że rozpoznają „Titanica" wśród wielkich ciemnych widm majaczących wzdłuż rzeki i przed urządzeniami portowymi, mówili faktycznie głupstwa.

A jednak, mimo że nie było go widać, o obecności transatlantyku w Southampton świadczyło niebywałe ożywienie panujące na rzece. Bez przerwy pośpiesznie przemykały stateczki portowe. Z oddalonych jeszcze nabrzeży, mimo ścielącej się gęsto mgły, dolatywały warkoty i sapania maszyn, odgłosy przetaczania wagonów, przenikliwe zgrzyty przeplatane niekiedy chrapliwymi krzykami. Tłum ludzi i koni krążył tam i z powrotem.

Prom z Southampton dał sygnał syreną pozdrawiając niewidzialny statek pasażerski i wywiesił wielką galę flagową. Pasażerowie zaczęli bić brawo, gdy różnokolorowe chorągiewki rozwijały się na wietrze. W porównaniu z nimi wiele sukien wyglądało bezbarwnie, ale toaleta koloru zielonych migdałów wspólniczki Duncana pozostała wyrazista.

Ciasnota wagonu, a potem ścisk na parowcu sprawiły na Hortym wrażenie, że znajduje się jak gdyby na przedłużeniu ulicy La Villemarque. To bezpieczne uczucie prysnęło, gdy statek przybił do nabrzeża, a marynarze zaczęli kierować pasażerów do wyjścia z nagłą niecierpliwością owczarków. Popychali ich w stronę nieco chwiejnego trapu, gdzie groomi hotelowi oczekiwali gości. Ale, rzecz jasna, hotel, do którego Horty posiadał bon noclegowy, był zbyt skromny, by pozwolić sobie na usługi grooma.

Drgania i kołysanie statku ustały. Doker był już na miejscu. Doznał dziwnego uczucia zawrotu głowy i ssania w żołądku. Zobaczył, jak znoszą jego walizę razem z setkami innych i kładą na nabrzeżu, gdzie ich właściciele próbują je rozpoznać i zabrać. Dotąd Horty był skazany na pociąg, który nie mógł zboczyć z torów, i na parowiec płynący wytyczonym kursem. Teraz nic już nim nie kierowało w żadną stronę.

Ulice wychodzące z doków zagłębiały się w miasto. Najpierw mijały składy towarowe. Potem wiły się pomiędzy siecią ceglanych domów z oknami powybijanymi albo zaślepionymi deskami przybitymi na krzyż. Horty mógł równie dobrze wybrać dowolną ulicę.

Zdał sobie sprawę, że jest w obcym mieście, poczerniałym od dymów statków i lokomotyw portowych. Po raz pierwszy od chwili wyjazdu uświadomił sobie dystans dzielący go od Zoe. Był daleko od domu. Zamiast poczuć egzaltację, jak się tego spodziewał, doświadczył uczucia przykrości. Pomysł asystowania przy odcumowaniu „Titanica" wypływającego w dziewiczy rejs nie wydawał mu się już taki interesujący. Zresztą, jeśli ta parszywa mgła utrzyma się, być może w ogóle niczego nie będzie widać.

Tabliczka przyczepiona do kraty zapowiadała, że prom z Southampton odpływa dziś wieczorem do Cherbourga podczas przypływu. Horty mógłby spróbować dostać się na pokład. Przypomniał sobie jednak, że nagroda za zwycięstwo obejmuje również jedną noc i jedną kolację w porządnym hotelu. Głównie ta właśnie perspektywa skłoniła go do odbycia podróży. Taka okazja na pewno więcej się już nie powtórzy. Przetłumaczył sobie, że ostatecznie wieczór w Southampton będzie miłym wspomnieniem. Chwycił mocno walizę i poszedł.

Gdy mijał bezładną strefę dzielącą port od właściwego miasta, wyprzedził go omnibus ciągniony przez dwa szare konie. Na pomoście siedzieli Duncan i kobieta w zieleni. Doker uśmiechnął się do młodej kobiety, ale ona go nie zauważyła. Była bardzo zajęta przytrzymywaniem swego ślicznego kapelusza, żeby nie porwał go wiatr.

HORTY długo błądził, zanim - prawie przypadkiem - natknął się na hotel Reda Spithead. Dzień miał się ku końcowi. Woźnice zatrzymywali dorożki wzdłuż mokrych trotuarów i wysiadali, żeby pozapalać latarnie.

Biały budynek hotelu, z rynnami i okapami lakierowanymi na czarno, stał wciśnięty między dwie wysokie fabryki najeżone żelaznymi schodami. Oczywiście były tu jedne obrotowe drzwi, ale z jakiegoś powodu pozostawały unieruchomione. Ktoś zastukał palcem w szybę i dał znak Horty'emu, żeby wszedł mniejszymi drzwiami znajdującymi się na rogu ulicy.

Zanim Horty wszedł, przyjrzał się fasadzie hotelu. Wszystkie okna lśniły ciepłym blaskiem, a łagodne światło sączyło się przez delikatne, białe zasłony. Przez moment zastanawiał się, które z tych okien będzie jego. Zaczął padać deszcz. Pomyślał, że mimo to otworzy okno i oprze się łokciami o poręcz balkonu, aby popatrzeć, jak nad tym płaskim i rozległym miastem zapada noc.

Właścicielka hotelu Reda Spithead, blondynka, Missis Chancellor, była prawie tak samo wysoka jak Batylda Buren. Horty zdziwił się, że mówi dobrze po francusku. Powiedziała mu, że na imię ma Yvonne i urodziła się we Francji w Hazeb- rouck, koło dawnego klasztoru Augustynów.

Dodała, że zawrą bliższą znajomość przy kolacji, którą podadzą dokładnie o godzinie dziewiętnastej. A teraz ma tylko tyle czasu, żeby zaprowadzić Horty'ego do pokoju. Z powodu pierwszego rejsu wielkiego statku pasażerskiego nastąpił szturm na wszystkie hotele w Southampton, więc nie wie dosłownie, w co wsadzić ręce:

— Wieczorem mamy wielu Amerykaninów, głównie pasażerów drugiej klasy. Niektórzy przybyli specjalnie z Nowego Jorku, żeby jutro odpłynąć na „Titanicu". Niewiele zobaczą w Southampton, ale oczywiście nie po to są tutaj.

Rzeczywiście na korytarzu tłoczyli się grubi, rozradowani mężczyźni, paradując w prążkowanych skarpetkach, z kuflami piwa w ręku. Missis Chancellor beształa ich: jeżeli chcą pić, regulamin wymaga, żeby robili to w barze. Policja w Southampton żąda, aby nikt, nawet obywatel amerykański, nie spożywał alkoholu poza miejscami przeznaczonymi do tego rodzaju rozrywek. Przypomina o tym

jako właścicielka hotelu, a gani takie postępowanie jako kobieta. Uwzięła się zwłaszcza na niejakiego Cheapmana z Thedford ze stanu Nebraska, szczególnie niezdyscyplinowanego i uciążliwego. Był jedynym nieżonatym pasażerem amerykańskim zakwaterowanym w Redzie Spithead:

— Wydaje mu się, że po przepłynięciu oceanu będą się z nim obchodzili jak z Panem Bogiem i wystawią mu kościół albo nie wiem co jeszcze. Oczywiście, że nie wierzę w ani jedno jego słowo. Pan jest rozsądny, panie Horty. Czy zgodziłby się pan, żebym go posadziła przy pana stole do kolacji?

— Nie.

— Nie? - powtórzyła niedowierzająco Mrs Chancellor.

— No cóż - oznajmił Horty - ta kolacja jest dla mnie ważna. Chciałbym ją zjeść zupełnie sam.

— Och! - odezwała się Mrs Chancellor. - Zapewniam pana, że ten Cheapman nic panu nie zabierze z talerza.

— Nie chodzi tylko o talerz - odpowiedział doker. - Dla mnie być tutaj to coś znaczy. Wydaje mi się, że lepiej to wykorzystam, jeśli zostanę sam.

Missis Chancellor nie nalegała. Otworzyła drzwi od pokoju 28 i odsunęła się, żeby przepuścić Horty'ego.

— To nie jest mój najlepszy pokój - powiedziała - ale jest tu spokojnie.

Setki, z pewnością setki gości zajmowały pokój 28 od chwili zbudowania hotelu Reda Spithead, a jednak miało się wrażenie, że nikt nigdy nie spał w tych ścianach.

Było tu chłodno. Okno wychodziło na szary narożnik jednej z fabryk. W pokoju co prawda znajdował się kominek, ale oczywiście nie używano go. Jedyną rzecz wnoszącą trochę ciepła stanowił stół pod oknem. Wąski blat upstrzony był plamami atramentu i rysunkami wyrytymi końcem stalówki jak uczniowski pulpit.

Więc jednak ktoś tu siedział, przed tym niekończącym się szarym murem, i pisał listy. Horty zastanawiał się, jakie myśli nasuwała ta wysoka i gładka ściana za szybą. Ponieważ jednak nigdy do nikogo nie pisywał listów, nie był najwłaściwszą osobą do wyrażania opinii w tej sprawie. Postanowił, że od razu napisze

do Zoe o tym, że ją kocha i że nie jest tak szczęśliwy z pobytu w Southampton, jak wcześniej się tego spodziewał. Gdy skończy list do Zoe, zacznie do armatorów. Im natomiast opisze, że wszystko było wspaniałe i już teraz żałuje swojej decyzji

nieuczestniczeniu w przyszłorocznym konkursie na najlepszego dokera.

Przesunął palcem po stole. Gdy go cofnął, palec był czarny.

— Co to jest? Sadza? - zapytał.

Nie śmiał niczego twierdzić, nie znał zwyczajów w angielskich hotelach, a jednocześnie obawiał się urazić Mrs Chancellor.

Ona też przejechała palcem po stole. Powąchała palec

przybrała skupiony wyraz twarzy:

— Sadza, jeśli pan sobie życzy. Ale sadza węglowa.

— No tak, to nie to samo - przytaknął doker.

— Oczywiście, że nie - powiedziała Mrs Chancellor. - Ona wydobywa się z kominów statków. Port jest tuż obok. Nie widać go, ale doskonale słychać syreny. Statki dymią i to wszystko wciska się szparami pod oknem.

Znowu powąchała palec:

— Z pozdrowieniami od „Prinz von Erlangen", to niemiecki, trzydzieści dwa tysiące ton.

Wskazującym palcem przesunęła po obramowaniu kominka i zbliżyła palec do nozdrzy:

— A to „Empress of China". Każdy ma swój węgiel, swój sposób palenia i swój żużel. Przy odrobinie wprawy można rozpoznać statki pasażerskie po zapachu pary, podobnie jak znakomite wina.

Missis Chancellor wyszła. Horty otworzył okno. Miał nadzieję, że w ten sposób wywietrzeje odór starych kotów, unoszący się w pokoju 28. Wtargnęło wilgotne powietrze, które jedynie wepchnęło tę nieprzyjemną woń pomiędzy szafę i łóżko. Tam skondensowała się w dziwny i również trochę obrzydliwy sposób

- pomyślał Horty. Prawdopodobnie nie mógł zrobić nic więcej. A teraz pragnął skoncentrować się tylko na liście.

Doker dokładnie ułożył w głowie, co chciał powiedzieć Zoe. Zanim opisze jej swoją tkliwość, żal i to, że przekonał się o tym wszystkim naprawdę dopiero tak daleko, pragnąłby podzielić się z nią pierwszymi wrażeniami z Southampton. Idąc przez miasto w poszukiwaniu hotelu Reda Spithead, zauważył, że niebo przybrało dziwny kolor morskiej wody. Wiedział, że to było odbicie lamp gazowych od spodu obłoków. Próbował na różne sposoby określić w liście do Zoe tę zieleń, lecz żaden z nich nie był zadowalający. W końcu napisał po prostu krótko: „W Southampton w kwietniu, gdy zapada noc, niebo jest zielone".

Stwierdził, że Zoe, gdy to przeczyta, prawdopodobnie pomyśli sobie, iż próbował zrobić na niej wrażenie, opisując jej nadzwyczajne miasto, egzotyczne i absurdalne zarazem. Zastanawiał się, jak sobie radzą pisarze, żeby oddać swoje wrażenia. Może oni także piszą prawdę i właśnie dlatego ich książki uważane są za piękne? Jest jednak w nich coś. Są w książkach proste i dokładne słowa, które mówią ludziom: „Trudno wam w to uwierzyć, a jednak tak było, jak jest napisane - zielone niebo nad Southampton. Po prostu!". Horty'emu przyszło do głowy, czy by nie kupić w powrotriej drodze jakiejś powieści i przeczytać, żeby przekonać się... I wtedy zapukano do drzwi.

Missis Chancellor wyglądała na zbitą z tropu. Horty wyobraził sobie, że Cheapman właśnie jej spłatał paskudnego figla. Pomyślał równocześnie, że zaraz będzie pisać dalej list do Zoe i opowie jej nową farsę tego piekielnego Cheapmana.

— Pada - zaczęła Mrs Chancellor. - Wygląda na to, że długo nie popada. To tylko przelotna ulewa z gradem, ale w tej chwili leje jak z cebra.

Horty spojrzał w okno. Może rzeczywiście padał tylko przelotny deszcz, chociaż wokół było szaro tak samo jak szary był mur fabryczny. Ledwie dało się go rozróżnić w ciemnym zaułku między dwoma gmaszyskami.

— W całym Southampton nie ma już ani jednego wolnego łóżka - ciągnęła dalej Mrs Chancellor. - Naturalnie, przez tego cholernego „Titanica". Ludzie wszystko zajęli szturmem: armię zbawienia, akademię bilardową, szpitale, nawet dorożki z podnoszoną budą. I dlatego pytam pana, panie Horty, gdzie mam wysłać spać tę biedną małą?

— Jaką znów biedną małą? - ostrożnie spytał Horty.

— To Francuzka, tak jak my - odparła Mrs Chancellor. — Dlatego od razu pomyślałam o panu.

Spoglądała przy tym wymownie w stronę łóżka, na którym doker położył walizę.

— Mogłabym zrobić panu posłanie na jednej z ławek w jadalni - zaproponowała Mrs Chancellor. - Przykryłabym ją czerwonym pluszem i na pewno byłoby panu bardzo wygodnie na tę jedną noc. Co do służby, to może pan być spokojny. Nie będzie się kręcić wiecznie. Wszystkim gościom pilno teraz do łóżek, żeby jutro wczesnym rankiem być w pełnej formie.

— Nie - zdecydowanie odpowiedział Horty i żwawo siadł na łóżku. Szybko otworzył walizę i wyłożył na kołdrę wszystko, co się w niej znajdowało. - Nie wyjechałem w tę podróż, żeby spać na ławce. Wygrałem konkurs, i to nie byle jaki, bo nie chodziło o odgadnięcie liczby suchych fasolek w rondelku. Może mi pani wierzyć! Było ciężko, madame, tak ciężko, że już nigdy więcej tego nie zrobię. To nie byłoby sprawiedliwe, gdybym omal nie zdechł za nic.

Missis Chancellor zapatrzyła się przed siebie. Milczała. Teraz deszcz nie wyróżniał się już tak wyraźnie na tle wysokiego fabrycznego muru. Słychać było natomiast, jak bębni po ulicy.

— Mam pomysł - powiedział Horty. - Niech pani ją położy na ławce, tę małą.

— Proszę sobie wyobrazić, że to dość ładna młoda dziewczyna - westchnęła Mrs Chancellor. - Uważam, że ze względu na tych wszystkich Amerykaninów koniecznie powinna mieć pokój zamykany na klucz.

— Dobrze - potwierdził doker - ale to nie będzie mój pok

— Nie pański - powtórzyła Mrs Chancellor.

— Nie - twardo odparł Horty.

— Zejdę więc jej powiedzieć, że pan nie chce się zgodzić. A potem nie pozostaje mi nic innego, jak wyrzucić ją za drzwi.

— Tak jest - szybko przytaknął Horty. - Southampton wygląda na cholernie duże miasto, a deszcz zaraz przestanie padać.

Zastanawiał się, czy Zoe pochwaliłaby jego stanowczość. Wydawało mu się, że raczej tak.

— Najlepiej - powiedziała Mrs Chancellor, otwierając drzwi — gdyby pan sam to powiedział temu dziecku. Żeby pan jej wytłumaczył pańską sytuację, jeśli oczywiście rozumie pan, o co mi chodzi.

— To się da zrobić - przytaknął doker. - Jak pani widzi, ja czuję się w porządku.

Na schodach Mrs Chancellor powiedziała Horty'emu, że dziewczyna nazywa się Maria Diotret i że nazajutrz powinna zgłosić się na pokład „Titanica" jako pokojówka w pierwszej klasie.

Doker nigdy nie widział nikogo o wyglądzie tak opłakanym jak Maria Diotret. Stała nieruchomo przy kontuarze i czekała, aż ktoś zechce zadecydować o jej losie. Z butów, które nasiąkły podczas brodzenia przez rynsztoki, ciekła woda. Po długim, niebieskim płaszczu spływały krople tworzące u stóp kałużę. Dziewczyna nosiła mały, okrągły kapelusz w rodzaju tych, w jakich lubują się damy zajmujące się dobroczynnością. Najmniejsza ulewa natychmiast nadawała mu wygląd martwego ptaka w rowie. Rozpłaszczony na głowie kapelusz nie chronił włosów przed deszczem. Miały tak nieokreślony kolor, że niepodobna powiedzieć, czy dziewczyna była blondynką czy szatynką.

Przypominała jedną z tych topielic, które załoga ratownicza układała niekiedy na smołowanym dnie łodzi w „babskim porcie

Gdy Horty i Mrs Chancellor zeszli ze schodów, Maria Diotret kichnęła. Doker zobaczył chmurę drobnych kropelek wydobywających się z jej ust i lśniących przez moment wokół lampy.

Kichając, dziewczyna zamknęła oczy, ale zaraz je otworzyła. Były lekko szare.

— Jest mi naprawdę przykro - powiedziała. Zabrzmiało to w taki sposób, że nie wiadomo było, dlaczego jest jej przykro: czy dlatego, że kicha, czy dlatego, że po prostu tu jest - zakłopotana i sprawiająca kłopot.

— Monsieur Horty nie może pani odstąpić pokoju 28 - rzekła Mrs Chancellor. - Obawiam się, że gdzie indziej nie ma pani czego szukać. Nieprawdaż, monsieur Horty? - dodała, spoglądając z dezaprobatą na kałużę wody u stóp Marii Diotret.

— Tak - potwierdził doker - niestety, tak to jest.

Maria kichnęła drugi raz. Horty znowu zobaczył mały, srebrzyście lśniący obłoczek wydobywający się z jej ust i pomyślał: jeżeli kichnie jeszcze raz, powiem jej, żeby została. Było to nierozsądne, ale niewiele bardziej niż na przykład zakładanie się, czy kobieta w zieleni złapie parasolkę uciekającą po pokładzie statku, czy jej nie złapie.

Maria natychmiast kichnęła po raz trzeci.

— Nie wiedziałem, że pani jest chora - spokojnie stwierdził Horty.

— Och, wcale nie jestem chora - zaprzeczyła Maria. - To tylko taka reakcja. Na zewnątrz jest zimno, a tutaj tak ciepło.

— Rozchoruje się pani - naciskał Horty. Uważał, że to najlepszy sposób, żeby całkiem nie stracić twarzy wobec Mrs Chancellor. - Jakoś sobie poradzimy - dodał, przysuwając się do Marii.

— Wszystko dobrze się ułoży - entuzjastycznie obwieściła Mrs Chancellor.

— Tak mi wstyd - powiedziała Maria - strasznie wstyd.

— Proszę pani - odezwał się Horty - niech mi pani da walizkę. Pójdziemy do pokoju.

Po schodach Maria szła przed nim. Niestety nie pachniała tak ładnie jak kobieta w zieleni, ale pokój 28 również nie pachniał przyjemnie. Przed podestem zdjęła szal z ramion. Horty zauważył długą i białą szyję. Włosy na jej szyi nie zmokły zbytnio, więc stwierdził, że była raczej blondynką.

Maria nie zrobiła żadnej uwagi o pokoju. Popatrzyła i nic nie powiedziała. Horty tym bardziej nie zdobył się na jakikolwiek komentarz. Postawił jej walizkę na łóżku, a swoje rzeczy odsunął na bok.

— Voilà - powiedział doker. - To tutaj. Może nie powinienem otwierać okna, ale czuć było zapach kotów. I nie mogłem też przewidzieć, że właśnie pani będzie tu spała.

— Naprawdę odstąpi mi pan swoje łóżko? - zapytała dziewczyna.

— Cały pokój - oświadczył Horty. - A najlepsze w tym wszystkim jest to, że nic panią nie będzie kosztował. Wygrałem pobyt tutaj w konkursie.

— W gazecie?

— Nie, konkurs na najlepszego dokera portów północnych.

— Pan zwyciężył?

— Tak, byłem najlepszy już w ubiegłym roku. I w poprzednim. To już piąty raz.

— Brawo - ożywiła się Maria. - To nadzwyczajne.

Przysiadła na skraju łóżka. Wciąż ciekło z niej jak z wyżymanej ścierki.

— Ja też chciałabym coś dla pana zrobić.

— Nie ma potrzeby - odrzekł Horty. - Niech się pani mną nie przejmuje. Wyśpię się bardzo dobrze na ławce na dole. A jak nie, pójdę na statek.

— Pan też płynie „Titanikiem”?

— Tylko parowcem do Francji. Jutro wracam do domu.

— To pańska jedyna noc w tym mieście. I ja trochę ją panu ukradłam.

— Została mi kolacja - odpowiedział doker. - Kolacja w jadalni. To też należy do rzeczy, które chciałbym poznać. A zresztą już chyba czas tam pójść.

Upchnął swoje rzeczy w walizie i w ten sposób zwolnił łóżko. Maria spoglądała na ciężki, czarny surdut należący niegdyś do Jana Risskena.

—To na dzisiejszy wieczór? Ja niestety nie mam niczego równie eleganckiego. Może lepiej zrobię, jak pójdę na kolację gdzieś w miejsce bardziej ustronne niż ten hotel. Musi być coś takiego w porcie, no nie?

—Też wolałbym w porcie - przytaknął Horty. - Nie mam ochoty zakładać tego surduta.

— Możemy więc pójść razem. Jeśli pan chce, zapraszam pana z wdzięczności za pokój.

— W ten sposób - zauważył Horty - uniknę tego Cheapmana, co przyjechał z Nebraski. Powiedziałem Mrs Chancellor, że nie chcę go przy moim stole, ale mam wrażenie, że ta kobieta i tak zrobi, co zechce.

Maria spoglądała na niego, nie rozumiejąc. Horty natomiast myślał, że opowiadanie o Cheapmanie będzie w sam raz do podtrzymania rozmowy, jeśli oczywiście pokojówka i on spostrzegą, że nie mają sobie nic więcej do powiedzenia. Nie bardzo się orientował, co mógł wyprawiać Cheapman, ale w razie potrzeby można coś wymyślić. Powinno być przyjemnie widzieć, jak kobieta śmieje się z głupstw wymyślonych tylko po to, żeby ją rozerwać. Zastanawiał się, ile to już czasu minęło, od kiedy rozśmieszył Zoe. Tak, zbyt dawno, nie zliczy już lat.

Ciszę nocy rozdarł mocny i przeciągły dźwięk syreny. Zadrżały szyby w oknie i szklanka do zębów na stoliku pod umywalką.

— Czy to „Titanic”? - zapytał Horty.

Maria nie miała pojęcia. Znała „Titanica” jedynie z rycin w gazetach na doniesieniach o jego odcumowaniu i z ulotek rozklejonych wszędzie w Southampton: na drzewach, a nawet na średniowiecznych ruinach nad morzem. Gdy deszcz je odklejał, walały się na trotuarach. Często dzieci schylały się i je zbierały, ale na ogół tłum po nich deptał.

SZŁA blisko niego jak dziecko już za duże, żeby prowadzić je za rękę, ale wciąż pełne obawy, że się zgubi. Nie rozmawiała. Na pewno była przeziębiona, gdyż głośno oddychała ustami. Morskie powietrze dobrze jej zrobi - pomyślał Horty - wyzdrowieje do Nowego Jorku.

Od czasu do czasu spoglądała na niego i uśmiechała się. Doker też odwzajemniał uśmiech.

Horty żeniąc się odwykł od samotności jak wszyscy mieszkańcy ulicy La Villemarque. W niektóre wieczory, gdy nie wracał prosto do domu, do Zoe, towarzyszył innym dokerom, spędzając z nimi chwilę w kawiarni. W każdym razie tak dawno jak sięgał pamięcią, aż do czasów dzieciństwa, nie pamiętał, żeby kiedykolwiek jadł posiłek samotnie. O ile wiedział, nikt raczej nie jadał, nie pił, a nawet nie sypiał nie mając kogoś przy sobie. Gdy któryś z dokerów lub marynarzy wchodził do jednej z tawern w porcie, kierowano go do stołu, przy którym już siedzieli inni robotnicy, inni marynarze. Tylko oficerowie izolowali się czasami. Opierali czoło na dłoniach i bez powodu wpatrywali si w ruchomy płomień lampy. Nikt nie śmiał im przeszkadzać, b nikt też tego nie lubił. Mężczyźni bez towarzystwa nie mają ni innego do roboty, jak tylko gapić się na innych albo na siebi samych w lustrach tawerny. Przeżuwają posępne myśli i częst widać, jak poruszają wargami coraz szybciej i szybciej. Czasa nagle prostują się, tłuką butelkę o krawędź stołu i rozpętują bijatykę bardziej krwawą niż pijani faceci.

Horty nie rozmawiał z nikim od rana oprócz kobiety w zieleni na małym parowcu. Toteż miał dużo czasu, żeby myśleć o tym, co było jego życiem. Myślał też o zmianie, jaka teraz nastąpi w jego życiu. Zoe będzie się starzeć. Stanie się małomówna i pulchna. Jej skóra pomarszczy się i pokryje brunatnymi plamami. Wypadną zęby albo trzeba je będzie wyrwać, a wtedy jej wargi, i tak już cienkie, zwężą się jeszcze bardziej aż do długiej, wąskiej szpary. Przy jej okrągłej twarzy i wystających kościach policzkowych będzie podobna do żaby. Wyobrażał ją sobie, jak siedzi na lilii wodnej pośród liści ulw - sałaty morskiej zaścielających „babski port”. Nie cierpiał tej wizji, ale cóż mógł poradzić. Sama się narzucała.

Horty tym bardziej kochał Zoe, im więcej myślał, że już niedługo przeobrazi się w żabę. Dokerowi pozostało więc niewiele czasu, by jej powiedzieć, że jest jeszcze piękna i szczerze jej pożąda.

Dlatego w liście przerwanym nagłym pojawieniem się hote- larki, w którym próbował opowiedzieć o wieczorze zapadającym nad angielskim miastem, Horty zaczął opisywać Zoe wszystko, co by z nią zrobił, gdyby była tutaj. Wziąłby ją gwałtownie, a może nawet brutalnie. Miał czas (prawie dwie bite strony, a on nie pisał szybko), by jej wyjaśnić, jak będzie ją rozbierał, jak przyłoży każdy kawałek jej ubrania do swojej twarzy i będzie wdychać jej zapach, a nawet zapach jej bielizny. Zoe wstydziła się i nie pozwalała jej w ogóle dotykać. Pośpiesznie zakopywała ją pod resztą ubrania rzuconego bezładnie. A potem, jak będzie ją całował namiętnie i cierpliwie, przesuwając językiem w zagłębieniach ciała, których dokładnych nazw wciąż jeszcze nie znał.

Na początku małżeństwa Horty i Zoe odczuwali do siebie tak gwałtowne pożądanie, że nawet nie mieli czasu na pieszczoty. A teraz, gdy zmęczenie dniem i przyzwyczajenie sprawiły, że powab stał się dużo bardziej ulotny, śpieszyli się tak samo, z obawy, by pożądanie nie opuściło ich przed zaspokojeniem. Ale czy tylko dlatego? Usypiając, każde z nich przypominało sobie, czego nie szepnęło drugiemu albo też co zapomniało mu zrobić.

Obecność Marii spowodowała, że Horty przestał myśleć o tym wszystkim, a także o nie dokończonym pierwszym liście, i Nigdy dotąd nie próbował pisać do Zoe. Na pewno nigdy nie j dokończy listu. Czy naprawdę z litości dla kichającej Marii j poświęcił pokój? A może z litości dla niej samej, młodej i pięknej ' kobiety? Ciekawe - pomyślał - czy Cheapman odczuwa takie samo zakłopotanie, znalazłszy się sam na sam ze swoim życiem

własnymi myślami w jadalni hotelu Reda Spithead? Chyba nie, gdyż Cheapman to żartowniś. Dla niego życie to najlepszy sposób, aby ze wszystkiego zadrwić.

Zatrzymali się w dzielnicy doków przed garkuchnią o nazwie i „Calcutta". Indyjska była wyłącznie nazwa. W środku, tak jak Iw jadalni, stały rzędem długie, drewniane stoły, dumne z tego, że je wytarto. Do stołów dosunięto stołki barowe, którym odpiłowano nogi, aby były niższe. Stare latarnie okrętowe, zawieszone wysoko na ścianach, osłonięte kratami, sączyły nikłe światło. Woń nafty mieszała się z mdłym zapachem ryb poukładanych na tacy „na waleta", by sto-

łownikom ciekła ślinka. Salę zdobiły wizerunki starodawnych statków kupieckich z trapami bez poręczy, chronionymi zwyczajnym płótnem. Te żeglujące po wzburzonych morzach frachtowce przedstawiano najczęściej nocą, przy czym artysta nie zapominał namalować, zawsze wysoko z prawej strony, ogromnego księżyca, którego siny blask uwydatniał wgłębienia fal i dym kominów. Niektóre obrazy przepasano wstążką z czarnej krepy. Był to znak, że statek zatonął.

Zamiast wina podawano tu piwo. Poza tym miejsce nie różniło się specjalnie od spelunek, do jakich chodzili po pracy dokerzy z Dolnego Miasta. Podróż do Southampton coraz mniej przypominała przewidywania Horty'ego. Już chciał powiedzieć Marii, że mogliby poszukać jakiegoś miejsca bardziej przypominającego prawdziwą restaurację, ale przypomniał sobie, że to Maria wspomniała o zaproszeniu go z wdzięczności za od- i stąpienie pokoju. Dziewczyna zapewne sądziła, że „Calcutta" nie będzie zbyt droga.

— Tu nam będzie bardzo dobrze - powiedział. Starał się, żeby to zabrzmiało ciepło.

Maria nie powiedziała niczego przykrego o sadzy węglowej w pokoju 28, porysowanym stole i o odorze kotów. Horty byłby bezczelny, gdyby skrytykował tę oberżę. Dziewczyna wyglądała na zadowoloną, że weszli właśnie tutaj.

— Myślę, że tak - stwierdziła - i pusto tu. Dzisiaj wieczorem chciałabym mieć trochę spokoju. Jutro znajdę się wśród, nie wiem ilu, tysięcy ludzi. Mam nadzieję, a nawet jestem pewna, że pan mnie rozumie.

Jakiś transatlantyk cumował po drugiej stronie czarnej, nieruchomej połaci wody. Był oświetlony. Resztka mgły zamazywała światła bulajów, okna salonów, zupełnie jak na poruszonej fotografii. Złotawa poświata otulała ciemną masę kadłuba

zmniejszała jego rozmiary, choć tak wyglądał imponująco. Niewyraźne światło sączyło się i odbijało w wodzie, tańcząc po jej powierzchni. Statek zaczął buchać z kominów snopami iskier, które wpadały do morza, żeby roztopić się w refleksach innych świateł..., ależ nie, gasły dużo wcześniej, jeszcze w powietrzu.

— Myśli pani, że to „Titanic"? - zapytał Horty.

— Możliwe - odpowiedziała w roztargnieniu.

Odwróciła się plecami do widoku transatlantyku i skinęła na Horty'ego, by siadł twarzą do nakrapianej deszczem szyby.

— Ja wiem, on pana fascynuje - powiedziała, jakby chcąc usprawiedliwić swoją obojętność wobec statku lśniącego nocą. Dla mnie jest to tylko miejsce, gdzie będę pracowała.

— Była już pani zatrudniona na statku?

— Nie - odpowiedziała krótko.

— Proszę nie myśleć, że zamierzam odzyskać pokój, ale według Mrs Chancellor sobota była ostatnim dniem zatrudniania członków załogi. Teraz cała załoga jest w komplecie. Zastanawiam się, dlaczego nie nocuje pani razem z innymi na pokładzie.

Wyglądała na zmieszaną. Horty pomyślał, że błądziła w deszczu i nie przyszło jej do głowy to najprostsze rozwiązanie. Pozostałe pokojówki z „Titanica" były okrutne, nie przypomniały Marii, że czeka na nią koja na „Titanicu". A może to jest coś takiego jak próba inicjacyjna?

— Właściwie - powiedziała wreszcie - tak naprawdę nie miałam zamiaru wsiadać. Zastępuję przyjaciółkę, młodą Angielkę, Mauren, która nie może odpłynąć. Zatrzymują ją na lądzie sprawy rodzinne. Odstąpiła mi miejsce, trochę tak jak pan pokój. Tej nocy ona jeszcze jest na statku i będzie pracowała do późna razem z innymi kobietami, które przygotowują kabiny. Opuszczenie „Titanica" w środku nocy i bieganie po całym Southamp- ton w poszukiwaniu jakiegoś noclegu to w tej chwili dla niej zbyt skomplikowane. Zadowolony pan? - dodała zaniepokojona.

— Ależ tak - przytaknął Horty. - Proszę mi wybaczyć. Nie wiem, czemu zadaję pani te wszystkie pytania.

Ledwie usiedli, do „Calcutty" weszły cztery osoby: dwie kobiety ubrane jak zakonnice, sprzedające gazetę pełną modlitw, głuchoniemy z koszykiem horoskopów ciasno zwiniętych w małych kartonowych tubach i dziewczynka z różami. Ci biedacy czatowali w półmroku na klientów wchodzących do garkuchni. Pozwalali im usiąść, a potem przychodzili jęczeć do stołu, proponując bezwartościowe drobiazgi.

— Idźcie stąd - powiedziała Maria po angielsku. - Niczego nie chcemy.

Jednak Horty kupił od dziewczynki różę. Jej płatki już zwiędły i pokryły się cętkami, ale dziewczynka była ładniutka. Kupił różę tylko dlatego, żeby dając kilka pensów mieć przyjemność dotknąć dłoni tej małej. Wziął też gazetę od sióstr na wypadek, gdyby okazały się prawdziwymi zakonnicami. To taki przesąd. No i skoro już tu był, wybrał z koszyka głuchoniemego horoskop dla Marii: była taka młoda i zaczynała swoje życie. Rozwinęli go i czytali razem. To był pomyślny horoskop. Przewidywał podróż, przypływ gotówki, poprawę stanu zdrowia, miłość, polecał kolor żółty, cyfrę dziewięć, kamień ametyst.

— Tylko tyle! - wykrzyknęła Maria. Śmiała się, a potem spaliła horoskop w płomieniu świecy, którą właśnie przyniesiono.

— Co do podróży - powiedział Horty - to mam wrażenie, że się zgadza. Jeśli chodzi o kolor żółty, chyba też.

Spojrzała na niego zaskoczona, bo nie miała na sobie nic żółtego.

— Przecież kominy „Titanica" są żółte - błyskawicznie zauważył Horty.

Nie musieli łamać sobie głowy, co zamówić. Chętnie skosztowaliby ryb, ale tego wieczoru menu garkuchni „Calcutta" składało się wyłącznie z zapiekanki podrobowej z zielonym groszkiem, kawałka sera Chester i ciasta z jabłkami.

Spoglądali na siebie i często się uśmiechali. Rozmawiali niewiele. Wymieniali tylko zdawkowe uprzejmości. Po godzinie czy dwóch rozstaną się i nigdy więcej się nie zobaczą. To zbyt mało czasu, by próbować nawiązać bliższą znajomość. Naraz przy serze Chester Maria powiedziała, że Horty myli się, widząc w niej tylko pokojówkę. Ona wypełni odpowiednio obowiązki pokojówki, ale nie ma zamiaru spędzać całego życia na „Titanicu". Jest zresztą niemożliwe, biorąc pod uwagę zwykłą arytmetykę. Statki pasażerskie, podobnie jak zwierzęta, starzeją się szybciej od istot ludzkich. Żyją mniej więcej dwadzieścia, trzydzieści lat, tyle co konie. Maria prawdopodobnie wciąż jeszcze będzie pociągającą kobietą, gdy „Titanic" pójdzie na żyletki.

Maria więc będzie pomagała pasażerkom się ubierać. Wyjaśniła, że na pokładzie kobiety zmieniają toalety trzy do czterech razy dziennie. Będzie prasować ich piękne bluzki pogniecione zbyt długim leżeniem w zamkniętych walizach i zmieniać peniuary, a wieczorem będzie kładła na poduszkach telegramy, kwiaty i czekoladki. Mimo że to ona będzie obsługiwać damy, ma nadzieję zostać zauważona przez jakiegoś bogatego mężczyznę.

Pogrzebała w poplamionej deszczem torebce i wyciągnęła z niej pomadkę do warg. Na oprawce wygrawerowano inicjały, ale to nie były jej. Musiała ją znaleźć gdzieś na ziemi, na trotuarze. Rozgorączkowane tłumy przemierzały miasto tam

z powrotem. Ludzie nieustannie wsiadali do dorożek i wysiadali z nich, udając się do biur kompanii morskich albo do hoteli. Niekiedy pojazdy zwalniały, nie zatrzymując się całkowicie, a woźnice nachylali się, chwytali za ramiona kobiety i unosili je w górę na stopień. Kobiety śmiały się. Czasami podczas wsiadania ich torebki otwierały się, a rozmaite drobiazgi wypadały do rynsztoka. Nie było słychać, jak upadają, gdyż zagłuszał je stukot sabotów. Maria malowała usta. Im więcej nakładała szmśiki, tym bardziej czerwony wydawał się jej język. Horty powiedział o swoim spostrzeżeniu, a ona na to ze śmiechem:

— No pewnie, naturalnie! Właśnie do tego słu^y szminka.

Zwilżyła mały pędzelek i nałożyła tusz na rzęsy. W odróżnieniu od języka, szare oczy nie stały się przez to jaśniejsze, lecz nawet jej spojrzenie wydawało się twardsze.

— Czy jestem wystarczająco piękna dla jakiegoś Guggen- heima, dla starego Strausa albo dla syna Ismaya? Oni jutro będą na pokładzie. Wie pan, ile ma Guggenheim? Oczywiście nie mam na myśli kilogramów.

Doker nie miał o tym zielonego pojęcia. Ton Marii zmienił się niespodziewanie, jak gdyby to ona posiadała tę olbrzymią fortunę i obawiała się, iż ją utraci. Powiedziała, że Benjamin Guggenheim wart jest coś około dziewięćdziesięciu pięciu milionów dolarów.

Ostatecznie - wyjaśniła Maria - te statki są raczej pływającymi bankami niż pałacami. Dlatego podróże transatlantyckie przyciągają za każdym razem tłum szczurów hotelowych, oszustów i zawodowych graczy.

— Jednego spotkałem. Nazywa się Duncan. Podróżuje w towarzystwie dość ładnej kobiety, ale oczywiście jej imienia nie znam - powiedział. Nie miał nic przeciwko temu, żeby udowodnić Marii, że świat statków pasażerskich także i jemu nie jest obcy.

— Ona nie ma imienia - odpowiedziała Maria. - Ma jedynie twarz, ciało, a zwłaszcza długie zęby.

— A czy pani nie jest podobna? - zapytał.

Westchnęła, jakby odczuła ulgę, że wreszcie zdecydował się zadać to pytanie.

— Och, nie jestem awanturnicą, jeśli to miał pan na myśli.

— Nie - pośpiesznie zaprzeczył - wcale tak nie myślałem. Ależ, mój Boże, nie! Przecież widać, że jest pani całkowicie porządną młodą dziewczyną.

Uśmiechnęła się. Nie chodziło jej tylko o to, by uwieść jakiegoś mężczyznę. Miała nadzieję, że ją ktoś pokocha, poślubi i że zamieszka w Ameryce. Poza tym pragnęła mieszkać w stanie Maine. Słyszała, że są tam wielkie białe domy z hangarami na statki, które można urządzić, aby przyjmować w nich przyjaciół oraz organizować festyny. A wszystko to skąpane w różach i akacjach. Do domów prowadzą nad morzem albo nad jeziorami długie, proste drogi. Mieszkańcy stanu Maine są towarzyscy i wyrafinowani zarazem jak ludzie z miasta, ale czas spędzają przyjemnie, podobnie jak na wsi. To jeden z tych niewielu jeszcze stanów w Ameryce, gdzie domy sprzedaje się z gwarancją, iż w ogrodzie zadomowił się słowik. Maria zauważyła, że prawdopodobieństwo spotkania na korytarzach „Titanica" bogatego mężczyzny z posiadłością w stanie Maine, który by się w niej zakochał, jest dosyć małe. To tylko takie marzenie. Ale chyba jasno dowiodło Horty'emu - prawda? - że młoda kobieta jest zupełnie inna, niż można by pomyśleć w pierwszej chwili.

Doker zanurzył brzeg serwetki w karafce z wodą:

— Proszę - powiedział - bardziej mi się pani podobała tak jak przed chwilą.

Zrozumiała. Posłusznie przesunęła serwetkę po twarzy i starła makijaż. Jej usta znowu odzyskały świeżość. Rzęsy były zmoczone podobnie jak za pierwszym razem, gdy doker zobaczył ją kichającą w hallu hotelu Reda Spithead. Kropelka wody ześlizgiwała się po wargach, więc rozchyliła je pośpiesznie, by ją połknąć.

Teraz Horty i Maria mogli rozmawiać już bez żadnych podtekstów. On nie był tym wymarzonym bogatym mężczyzną, oglądającym słowiki w stanie Maine, którego szukała. Nie groziły im też więcej żadne dwuznaczności. Wobec tego nie pozostało obojgu nic innego, jak cieszyć się wieczorem. Popatrzyli na siebie ze śmiechem. Horty zamówił karafkę dżinu.

Nagle „Calcutta” zapełniła się wesołą i hałaśliwą kompanią.

Weszli górnicy galijscy z żonami i dziećmi. Przyszli porządnie podjeść, żeby nazajutrz z dobrymi wspomnieniami zanurzyć się w otchłani międzypokładu „Titanica”. W Cardiff ajenci akwizycyjni, opłacani przez okrętowe kompanie zaopatrzeniowe, roztoczyli przed nimi miraż dostatniej szego życia po drugiej stronie oceanu. Jechali pociągiem przez całą poprzednią noc, a dzień spędzili na wałęsaniu się po Southampton w poszukiwaniu jakiejś dorywczej roboty, żeby jeszcze zarobić trochę grosza. Mężczyźni znaleźli bagaże do noszenia, a kobiety zatrudniono przy znakowaniu wielkich skrzyń. Dostały czerwoną farbę i wypisywały na wierzchu: *Caution, handle with care**[2] Stąd właśnie po mieście poszła pogłoska, że „Titanic” zabierze ładunek delikatnych przedmiotów i precjozów zakupionych przez miliarderów amerykańskich. Mówiono o ogromnych lustrach z Murano, o mozaikach sycylijskich i o saskiej porcelanie.

Górnicy nosili szare czapki. Rzucali je w powietrze nawet przy najbłahszej okazji. Wszyscy ubrani byli w wystarczająco mocne buty, żeby - jak już znajdą się w Ameryce - wskakiwać w biegu do pociągów towarowych. Damy miały na głowach czarne kapelusze, głęboko nasadzone na ufryzowane włosy. Małe, blade dziewczynki niczym wyrośnięte sałaty wyłaniały się z sukienek ściśniętych w pasie i zakończonych krótkim trenem. Te toalety na pewno należały niegdyś do kobiet, które już ich nie chciały. Matki odkupiły je po niskiej cenie i skróciły od pasa, żeby pozostał klosz nad kostkami nóg i odświętnie nakrochmalone falbany. Prawdopodobnie uważały, że amerykańscy oficerowie służb ¿migracyjnych na Ellis Island nie potrafią odesłać małych, eleganckich dziewczynek nawet wtedy, gdyby trochę popłakiwały i pociągały nosem.

Tak skrępowane dzieci nie bardzo mogły się bawić. Toteż przyklejały pyszczki do szyb „Calcutty”. Patrzyły na wielki statek zacumowany po drugiej stronie ciemnej wody i zachodziły w głowę, czy to właśnie jest „Titanic”, na którym jutro odpłyną. Niestety, z całą pewnością nikt tego nie wiedział.

— Mam dwadzieścia dwa lata - powiedziała Maria. - Urodziłam się w Dieppe. Tam poznałam Mauren. Otworzyłyśmy mały butik nad morzem. Ja smażyłam pączki i gofry, a Mauren chodziła po plaży i sprzedawała je. Trzeba było

---

[2] * Uwaga! Przenosić ostrożnie!

widzieć stopy Mauren po całym dniu chodzenia po plaży! Piasek wypolerował jej paznokcie, tak jak robi z kamieniami. Stały się prawie przezroczyste. To mogło być nawet ładne, ale jakże bolesne.

Pewnego dnia coś jej weszło w wielki palec u nogi. Przypuszczania że jakaś gnijąca muszla. Stopa zaczęła puchnąć i przeraźliwie cuchnąć. Zawiozłam ją do szpitala. Nie mogła iść, więc musiałam wynająć dorożkę. Poszły na to zarobki z całego tygodnia, ponieważ woźnica myślał, że jesteśmy z tych dziewczyn, no wie pan co idą do szpitala, jak złapią chorobę od facetów. Zażądał od nas bardzo dużo. W szpitalu po prostu obcięli jej palec. Po tym wszystkim Mauren nie mogła już chodzić po plaży. Ja natomiast nie mówiłam jeszcze wystarczająco dobrze po angielsku, a przecież nasze wyroby kupowali przede wszystkim angielscy plażowicze. Odprzedałyśmy butik - wie pan, zwyczajny barak. Mauren postanowiła, że chce wracać do Anglii.

Pojechałam z nią, gdyż uwielbiałam tę dziewczynę. Wynajęłyśmy mieszkanie w Londynie. Mauren została zatrudniona jako szatniarka w teatrze „Drury Lane". Na początku, zamiast zostawać w domu sama, oglądałam przedstawienia i w ten sposób czekałam, aż Mauren skończy pracę. W końcu nauczyłam się sztuki na pamięć. Pewnego razu przysnęłam i to wywarło złe wrażenie. Dyrektor teatru nie chciał mnie więcej widzieć. Ale ja bałam się nocą przebywać sama w mieszkaniu. Słyszy się tyle historii o tym, co może przydarzyć się młodej dziewczynie w Londynie. Mauren zachowała się bardzo elegancko i zrezygnowała z szatni, żeby zostać ze mną. Powiedziała, że potrafi znaleźć inną pracę. No i znalazła - miejsce pokojówki na „Titanicu". Dziwne, ale nie pomyślała, że odpływając na „Titanicu" zostawi mnie samą na dużo dłużej niż pracując w szatni „Drury Lane".

A teraz jej ojciec nie żyje albo matka. Już sama nie wiem kto. Zawsze ciężko mi zrozumieć, co opowiada, gdy głośno ryczy. Ostatnio powtarzała w kółko, że już nie może wyjechać.

— Zajmowała się pani tyloma rzeczami - zauważył Horty.

— Och, tak - potwierdziła Maria - i jeszcze nie o wszystkim powiedziałam. Naszywałam woalki na kapelusze, niech pan sobie wyobrazi. Byłam też odpowiedzialna za wazony w kościele, ale w anglikańskim, gdyż księża katoliccy obawiają się kobiet.

Razem z Galijczykami był mężczyzna pochodzący z centralnej Europy. Mówił tylko po węgiersku i niestety nie mógł włączyć się do rozmowy. Więc uruchomił mechaniczne piano „Calcutty". Galijczycy zaczęli śpiewać.

— Może już wrócilibyśmy do hotelu, co? - szepnęła Maria nachylając się do Horty'ego.

Na zewnątrz zerwał się wiatr. Na tle księżyca przesuwały się chmury, strzępiły się i stawały się coraz cieńsze. Całkiem przestało padać. Maria odwróciła się plecami do dokera i znieruchomiała patrząc na oświetlony statek pasażerski.

— Bardzo pan kocha swoją żonę, prawda?

— Tak - odpowiedział Horty - bardzo.

— Kocha ją pan - powtórzyła. - I nigdy jej pan nie zdradził.

— Owszem, ale to się nie liczyło.

Zaśmiała się. Odwróciła się do niego. Jej włosy zafalowały. Gdy całkiem wyschła, widać było wyraźnie, że jest blondynką.

— A teraz?

— A teraz jestem starym człowiekiem.

— Od którego czuć dżin?

Z kolei on się roześmiał:

— Od którego czuć dżin. Ale od pani także.

Maria zastanowiła się chwilę i przechyliła głowę lekko na bok. W końcu powiedziała:

— Myślę, że nie ma potrzeby, żeby spał pan na ławce. Będzie tam panu bardzo niewygodnie. Łóżko jest wystarczająco duże dla dwóch osób. Ale nie należy mnie dotykać. Nie ma parawanu, więc się nie rozbieramy. W ten sposób nic się nie stanie. Mnie jest obojętne. Mogę spać w sukience. A pan?

Nie doczekała się odpowiedzi. Zaczęła iść jakoś dziwnie, trochę jakby grała w klasy albo ślizgała się na łyżwach z rękami założonymi do tyłu. Szedł za nią.

Mimo późnej pory dwa małe tendry z płaskimi dziobami prując wodę dobiły do statku pasażerskiego. Otworzyły się drzwi

ukazał się w nich oficer. Palił fajkę, a dym rozpędzał machając czapką. Zaczął rozmawiać z ludźmi z tendra. Ze względu na odległość i jazgot maszyn nie było słychać, co mówi oficer. Szkoda - pomyślał Horty - może w końcu dałoby się dowiedzieć, czy ten transatlantyk to „Titanic”, czy nie.

TLR

TLR

PO Southampton wciąż jeszcze włóczyli się bezczynnie ludzie. Gdy doker i jego towarzyszka stanęli przed drzwiami hotelu Reda Spithead - były zaryglowane. Wisiała na nich tabliczka oznajmiająca: *closed, no vacancies**[3].

Maria tupnęła nogą:

— Closed, coś podobnego! Nie może być zamknięte dopóty, dopóki my tam nie jesteśmy!

— Może madame Chancellor wynajęła pokój komu innemu, skoro nie wracaliśmy - zasugerował doker.

On sam nie kłopotał się tym zbytnio, ale zastanawiał się, co zrobić z Marią. Czuł się za nią odpowiedzialny. Ona prawdopodobnie myślała tak samo, bo zapytała:

— Co zrobimy, żeby wejść do środka?

— Będziemy stukać.

Maria wzruszyła ramionami:

— Madame Chancellor drzemie. Jeśli ją zbudzimy, nie omieszka wezwać policji. Ja tak robiłam w Londynie, gdy czekałam na Mauren i ktoś dobijał się do moich drzwi. W Anglii wszyscy zawsze tak robią.

Głos Marii stał się niespodziewanie chrapliwy i wulgarny. Horty nie wiedział, czy ten nowy ton był jej głosem normalnym, czy raczej mówiła tak z powodu wilgotnego chłodu nocy, a może Po prostu pozwolił jej wypić za dużo dżinu?

— Ja się nie boję policji - powiedział. - Chyba powinni pozwolić ludziom wytłumaczyć się, no nie?

— Zgoda - nerwowo odpowiedziała Maria - pozwalają ludziom wytłumaczyć się, ale dopiero wówczas, gdy się rozwidni.

---

[3] *Zamknięte, brak miejsc.

W nocy zaczynają od tego, że pana zabiorą i zamkną. Nie mam czasu na to, żeby mnie zamykali. Cały personel pokładowy musi być na stanowiskach jutro rano o ósmej, na ćwiczeniach z ratownictwa. Och! proszę pana, niech pan wymyśli coś innego...

Zerknęła ukradkiem w górę ulicy. Była przekonana, że jeśli nawet madame Chancellor nie wmiesza się w to wszystko, policja

tak się zjawi. Schowała ręce w fałdy sukni, jakby już widziała policjantów z kajdankami zmierzających w jej stronę. Ale na ulicy było pusto, nie licząc wolno przejeżdżającej przez skrzyżo- i wanie dorożki, którą ciągnął zmęczony koń.

Horty przypomniał sobie, że zostawił otwarte okno w pokoju 28. Wysoko, na drugim piętrze, dokładnie naprzeciw niego znajdował się mur fabryczny z żelaznymi schodami.

Nie wiedział, co zrobi, gdy już znajdzie się na górze. Najpierw zastanawiał się, kto wejdzie pierwszy. Schody były zbyt wąskie, żeby dwie osoby zmieściły się obok siebie. Horty j wolał zostać z tyłu, aby złapać Marię w razie, gdyby obsunęła się j ze stopnia. Ale Maria nie znosiła obecności mężczyzny tuż za i sobą. Powiedziała, że to jej przypomina niektóre wieczory w Dieppe, również w Londynie, gdzie mężczyźni deptali Mauren i jej po piętach. I szeleścili banknotami w kieszeniach. One biegły. I oni też biegli. Wciąż jeszcze słyszy ich grube głosy: „Jest za co zapłacić”.

— Wchodzę pierwszy - postanowił doker. - Proszę, niech się pani mocno trzyma poręczy.

Zaczęli wspinaczkę. Na murze ogromnymi literami wymalowano nazwę fabryki: „Manufaktura Bawełniana Harston and Harston”. Horty miał wrażenie, że jest muchą łażącą po otwartej książce postawionej na sztorc.

Schody niekiedy ruszały się. Drgały od góry do dołu i ze zgrzytem odchylały się lekko od muru. Wtedy trzeba było znieruchomieć i zaczekać, aż ustanie to wahanie. Później schody wracając do pierwotnego położenia, dotykały ceglanego muru, notrącały go i wydawały dźwięk jak pęknięty dzwon. Płaty rdzy spadały na ziemię niby martwe, niewiarygodnie ciężkie liście.

Z wysoka rozciągał się widok na port. Horty i młoda kobieta zobaczyli wielki pasażerski statek. Nie mogli odczytać nazwy. Możliwe, że to był „Titanic”.

Kłęby dymu buchały trzema z czterech kominów. Przyćmiewały chwilami światła masztowe i migotliwą biel gwiazdy.

Na wysokości odpowiadającej drugiemu piętru hotelu Reda Spithead, a znajdowali się na poziomie poprzecznej kreski pierwszego gigantycznego H napisu Harston and Harston, Horty przestał słyszeć stukot bucików Marii o schody.

Zatrzymał się i odwrócił. Dziewczyna siedziała skurczona na stopniu. Płakała.

Horty zszedł do niej.

— Nie da rady?

— Zostaję tu - powiedziała.

— To zawrót głowy. Niech pani nie patrzy ani do góry, ani na dół. Niech pani zamknie oczy i da mi rękę.

Potrząsnęła głową:

— Zostaję tutaj - powtórzyła.

Chciał usiąść tuż obok niej i przyjaźnie otoczyć ramieniem jej barki. Niestety ciasnota schodów nie pozwalała na to. Pozostało mu jedynie wyciągnąć rękę i głaskać jej kark. Lodowaty pot zmoczył włosy Marii.

— Ja to znam - powiedział łagodnie. - Wiem, co trzeba zrobić. To samo zdarzało się moim kumplom, gdy wygłupiali się i włazili na dźwigi. Tam wysoko zatykało ich tak jak panią.

Wokół szyi nosił czerwoną chustkę. Zdjął ją, przyłożył ciasno do twarzy dziewczyny i zawiązał mocno na oczach, zasłaniając również uszy. Nie protestowała. Zobaczył, że jej pierś falowała nieregularnie, jakby Maria chciała zwymiotować.

— Będzie dobrze - powiedział Horty. Chwycił ją pod ramiona i zmusił do wstania.

Pociągnął ją do siebie za nadgarstki i podniósł prawie siłą. Wyczuł w niej tę lekką miękkość jak u chorych zwierząt. Gdy znalazła się na jego wysokości, odchylił się, żeby przepuścić ją przodem. Schody głucho szczęknęły. Maria krzyknęła. Horty schwycił dłońmi jej talię, aż ją zabolało.

— Teraz niech pani wchodzi. Niech pani unosi kolana. Jedna noga za drugą. Niech pani o niczym nie myśli.

Na trzecim piętrze hotelu dwaj mężczyźni grali w karty w słabo oświetlonym pokoju. Mieli na sobie tylko kalesony i podkoszulki. Popijali ciemne piwo z takich samych glinianych dzbanków, a usta wycierali rękami. Nie dysponując odpowiednio dużym stołem, grali na łóżku, na którym, pośrodku, wznosił się niewielki, ale jednak dość pokaźny, pagórek banknotów. Przez całe swoje życie Horty nie widział naraz tylu pieniędzy.

Gracze zauważyli dokera i dziewczynę na schodach. Złożyli wachlarze kart i podeszli do okna. Udawali, że mają strzelby, a Maria i Horty to ptaszki pryskające z klatki, którym oni kropną w zadek. Potem jeden z mężczyzn opuścił kalesony i wystawił członek. Poruszył nim w kierunku schodów. Jego kumpel zaśmiał się.

Horty był nawet zadowolony, że Maria miała zawroty głowy i musiał zawiązać jej oczy. Wydawało mu się, że jeden z dwóch mężczyzn - ten, który się obnażył - to ów nieznośny Cheapman. Pomyślał z niesmakiem, że musiał być raczej bogaty, skoro tej nocy szastał dolarami na lewo i prawo. Gdyby pochodził ze stanu Maine, zamiast z Thedford w Nebrasce, Maria być może okazałaby się miła, za bardzo miła wobec niego. Horty uzmysłowił sobie, że byłoby dobrze wyjaśnić Marii ze dwie, trzy sprawy dotyczące mężczyzn - coś o tym wiedział - gdyż wydawało mu się, że dziewczyna nie ma o tym pojęcia.

W końcu dotarli do czegoś w rodzaju podestu - zwyczajnej ażurowej płyty żelaznej znajdującej się dokładnie naprzeciw otwartego okna w pokoju 28.

Horty zamierzał skoczyć z podestu do pokoju. Gdy się tam już znajdzie, poszpera w hotelu i poszuka jakiejś drabiny. Przerzuci ją poziomo jak trap i Maria po niej przejdzie. To wymagało, żeby dziewczyna cierpliwie poczekała na żelaznym podeście, nie wykonując najmniejszego ruchu.

Rozwiązał czerwoną chustkę i polecił, by nie otwierała oczu.

Usłuchała go bez sprzeciwu. Bardzo szybko schwycił jej nadgarstki, skrzyżował jeden nad drugim i przywiązał czerwoną chustką do żelaznej poręczy. Kończąc przywiązywać, powiedział:

— Przepraszam, ale muszą to zrobić.

Maria gryzła wargi i wciąż mocno zaciskała powieki, a przede wszystkim prawie przestała płakać.

Horty skoczył. Za pierwszym razem - pomyślał z satysfakcją, znalazłszy się na parkiecie pokoju 28. Była to wyjątkowo absurdalna refleksja, ponieważ gdyby skok się nie udał, drugiej próby już nie byłoby.

Spojrzał na Marię. Wiatr rozwiał jej włosy i uniósł lekko rąbek niebieskiej sukienki. Zastanawiał się, czy opowie Zoe, że skrępował pokojówkę z „Titanica" wysoko na schodach awaryjnych fabryki bawełny. Chyba jednak nic nie powie, lecz zachowa czerwoną chustkę. Gdy już będzie całkiem do niczego, zużyty do szpiku kości, może nawet okaleczony, patrząc na nią, będzie wspominał noc spędzoną z Marią w hotelu Reda Spithead.

Zanim wyruszył na poszukiwanie jakiejś drabiny, usłyszał, jak karciarze otwierają u siebie okno. Z zadartymi głowami też spoglądali na przywiązaną Marie i zachodzili w głowę, co ona tam robi. Cheapman rzucił kilka uwag nie na miejscu o kozach, które maharadżowie przywiązują do drzew w dżungli, żeby zwabiać tygrysy.

Później, gdy Maria znalazła się wreszcie bezpieczna w pokoju, Horty'emu przyszło do głowy, że na pewno nie wyczyniałby wszystkich tych akrobacji, gdyby nie łyknął tyle dżinu.

Dochodziła druga nad ranem.

Maria siedziała na krawędzi łóżka, pocierając obolałe nadgarstki.

— Pan się nadaje do cyrku - stwierdziła.

Znowu miała taki wzruszający i łagodny głos jak na początku znajomości.

— No pewnie - powiedział Horty - tyle tylko że do cyrku nie biorą takich starych facetów jak ja. Poza tym lubię swój zawód nie zamierzam go zamieniać na inny.

— Lubi pan swój zawód. Kocha pan swoją żonę. Czy jest coś albo ktoś, kogo pan nie lubi?

— Nie lubię mister Cheapmana.

— Cheapman?... Och! To ta Świnia z piętra niżej, co wyśmiewał się ze mnie?

— Niech pani na niego uważa.

Zaśmiała się krótko:

— A więc pan nie słucha, co się do pana mówi? Jestem pokojówką w pierwszej klasie. Cheapman raczej nie podróżuje pierwszą klasą, inaczej nie mieszkałby w tak nędznym hotelu.

— Na pewno jest sporo innych Cheapmanów na takim wielkim statku jak „Titanic" - oświadczył Horty. - Niech pani uważa na takich Cheapmanów w ogóle. Tylko to chciałem powiedzieć.

Wyprostowała nogi i poruszyła stopami, jak gdyby pokazując, że czeka, aż rozwiąże jej sznurowadła. Zdejmując buciki, przypomniał sobie Batyldę Buren, która jemu też ściągała buty. Poza tym umyła mu nogi. Zapamiętał ten moment jako uczucie czułości. Miał nadzieję, że Maria będzie go wspominała w ten sam sposób. Przyjemnie było pomyśleć, że ta jeszcze bardzo młoda dziewczyna zazna wspaniałego życia na transatlantyku, w pobliżu najbogatszych mężczyzn świata, zobaczy Nowy Jork i to wcale jej nie przeszkodzi, by czasami uśmiechnęła się milcząco na myśl o dokerze, który pewnej nocy w Southampton zdejmował jej buty.

Gdy już miała bose stopy, wyciągnęła się na łóżku. Przykryła twarz ramieniem i natychmiast zasnęła.

Trzymał jeszcze ciepłe buciki i przyglądał się Marii. Była piękna. Położył się obok niej i zapragnął, aby odwróciła się w jego stronę. Chciał wdychać jej oddech, gdyż wtedy wyobraziłby sobie, jak smakują jej wargi, gdy się je całuje.

Myślał, że Zoe nie widziałaby nic złego w tym, gdyby zaczął pieścić tę dziewczynę i spróbował się z nią pokochać. Zoe zawsze zabiegała o to, by podsuwać Horty'emu wszystko, co lubił jeść i pić. A więc co to za różnica? To, co jadł i pił, ginęło natychmiast połknięte. Nie zostawał po tym żaden ślad, nie licząc mocnego i pysznego smaku, ale i on szybko znikał.

Gdyby dotykał Marii, nie zatrzymałby wspomnienia dotyku dłużej niż jednego ze smaków. Ono potrwałoby zaledwie przez kilka godzin i także się ulotniłoby.

Komu stałaby się przez to krzywda? Marii? Spała głęboko wyczerpana zawrotem głowy. Nie obudzi się, jeśli jej lekko uniesie sukienkę. Pomyśli, że to sen, a Horty występuje w nim jako bogaty mężczyzna mieszkający nad jeziorem w stanie Maine. Tak bardzo pragnie przecież spotkać go na „Titanicu".

Nie obróciła się w jego stronę, ale nagle mruknęła:

— Położyli dywan w jadalni.

Naturalnie nie miał pojęcia, co oznaczała ta uwaga. Zdanie było na tyle spójne, że Horty pomyślał, iż Maria już nie śpi albo że sen stał się bardzo płytki. Odgarnął leciutko włosy dziewczyny i przekonał się, że miała zamknięte oczy. Mimo wszystko zapytał ją, o czym chciała powiedzieć. Lekko się poruszyła i powtórzyła:

— Dywan na „Titanicu". Jest tam dywan, prawdziwy dywan w jadalni. Kładą go po raz pierwszy. Na innych statkach, przedtem, było tylko linoleum.

Żeby sprawić jej przyjemność, powiedział przejętym tonem:

— Ach, szczegóły tego rodzaju są też ważne.

— Tak - przytaknęła Maria - bardzo ważne.

Nachylił się nad nią. Oczy dziewczyny drgały pod zamkniętymi powiekami, jakby oglądała ten na pewno ogromny dywan, jakby przebiegała po nim długim, zachwyconym spojrzeniem. No cóż, to był tylko dywan. Horty nie wiedział, skąd u na wpół uśpionej Marii obsesja dywanu, a nie takie czy inne wydarzenie robiące wrażenie, które bądź co bądź przeżyła tego wieczoru.

A może dywan śnił się Marii po prostu dlatego, że bardzo zmarzły jej bose stopy? Jej podświadomość wyobraziła sobie coś, co mogłoby je rozgrzać - i to był właśnie dywan z jadalni pierwszej klasy, i to o nim pomyślała.

Horty wyprostował ramię, podciągnął narzutę i ułożył ją na nogach Marii.

Zupełnie stracił ochotę na kochanie się z nią. Przecież okrył ją tak, jak przykrywa się kołdrą dziecko. Prosty gest, ale z tego powodu prysnęło całe pożądanie.

Pewnego wieczoru poszedł z jedną prostytutką, Azjatką o szerokiej twarzy. Inni dokerzy zachwalali jej łagodność, doświadczenie i czystość. Działo się to w listopadzie o szóstej wieczorem. Już było ciemno i wyjątkowo zimno. Skręcił w zaułek ulicy Solidor, przy której rzędem stały hotele z pokojami na godziny. Dziewczyna wzdrygnęła się i powiedziała:„Przemarzłam, a ty nie?”. Horty natychmiast zdjął bluzę i zarzucił na ramiona dziewczyny. Podziękowała i dalej szła w stronę hotelu. Nawet nie zauważyła, że on już za nią nie idzie i że znieruchomiał na środku ulicy Solidor. W przedsionku hotelowym mruknęła machinalnie: „Płacąc za pokój nie zapomnij poprosić o ręcznik, bo nie ma na górze”. Zaczęła wchodzić po schodach wciąż się nie odwracając. Nie spostrzegła, kiedy Horty odszedł w noc. Być może był jedynym mężczyzną na świecie tracącym zupełnie ochotę na spanie z dziewczyną, której przed chwilą pomógł pozbyć się zimna. Ale tak było i koniec.

Naturalnie, że nigdy nie odważył się odszukać tej Azjatki i poprosić o oddanie ubrania. Powiedział Zoe, że okropnie rozdarł bluzę o mechanizm parowej wciągarki. Zoe aż zatkało: „Jeszcze trochę, a wpakowałbyś tam rękę”. Nie wyobrażała sobie, że Horty mógłby ją zdradzić, ale żyła z obsesją, że straci kończynę - zwłaszcza rękę. Kochała te ręce zniszczone manipulowaniem ładunkami, ale wciąż mocne.

Horty pomyślał, że mógłby czuwać. Może Maria znowu zacznie mówić przez sen. Sądził, że będzie zabawnie, jeśli ona, śpiąc, opowie mu o „Titanicu” i oprowadzi jak lunatyczka po wielkich pokładach statku.

Teraz jemu z kolei było chłodno. Naciągnął na siebie narzutę. Wkrótce zrobiło mu się ciepło. Usnął.

GDY się obudził, Maria stała koło łóżka.

Nie od razu ją poznał. Miała na sobie dość długą, czarną sukienkę i biały fartuszek obszyty falbanką. Szelki fartuszka tworzyły na plecach wielki, kształtny węzeł. Dwie szpilki z perłowymi główkami przytrzymywały włosy lekko podniesione i upięte w kok.

Uśmiechała się. Wargi miała umalowane, ale mniej jaskrawą czerwienią niż wczoraj w „Calcutta". Przypominała nadąsanego aniołka zdobiącego schody w pierwszej klasie. Podobne fotografie zamieszczały wszystkie angielskie gazety.

Na skraju łóżka postawiła tacę z kromkami bułki, masłem z Devon, marmoladą z Edynburga, owsiankę, małe parówki z Cambridge, jajko w skorupce i sałaterkę śledzi.

— Miałam trochę kłopotu, by to wziąć dla pana - powiedziała. - Tutaj nie podają śniadania do pokojów, ale wytłumaczyłam madame Chancellor, że muszę jeszcze trochę poćwiczyć.

Rozwinęła serwetkę i rozłożyła Horty'emu na brzuchu:

— Niech pan na mnie patrzy. Niech pan mówi wszystko, co nie jest tak, jak potrzeba. Załóżmy, że jest pan pasażerem. Zapłacił pan dwa tysiące pięćset dolarów, żeby przybyć z Nowego Jorku do Southampton. Za taką cenę wymagania nie są prawem, lecz obowiązkiem. Nie oszczędza się wówczas nikogo, a zwłaszcza pokojówki.

Horty przyglądał się jej zbity z tropu zarówno tym, co mówiła, jak i wiktuałami unoszącymi się i opadającymi na jego brzuchu w rytm oddechu. Jeszcze nie śmiał niczego tknąć. Intrygowała go zwłaszcza nieapetycznie szara i mało zachęcają owsianka, która pachniała workiem młynarskim.

Maria usiadła na brzegu łóżka blisko niego:

— Dobrze. Przypuszczam, że zrobienie jednej czy drugiej burdy jest równie znakomitym sposobem zawarcia znajomości. Jeżeli wyleję herbatę na pana, to czyż nie będzie pan miał ochoty mnie ukarać? Z pewością tak. A więc zobaczmy! Czy ma pan jakiś pomysł na to, w jaki sposób bogaty mężczyzna może ukarać dziewczynę taką jak ja?

— Nie - energicznie zaprzeczył Horty - z tego powodu nie mam zamiaru robić pani krzywdy.

Dziewczyna zaśmiała się:

— Och, zaraz krzywdy... Czy mógłby mi pan rozwiązać fartuszek? - dodała i przeniosła jego dłonie, bawiąc się nimi tak, jak gdyby on bawił się węzłem jak kwiatem.

Jednak nie rozwiązała supła. Poprzestała na udawaniu, że jest to możliwe, gdyż inaczej fartuszek mógłby nieoczekiwanie spaść jej pod stopy, a ubrana tylko w czarną sukienkę wyglądałaby dziwnie bezradnie jak nie dokończona pokojówka.

— Wiem, dlaczego nie zachowuje się pan jak bogaty mężczyzna - oznajmiła. - Ten pokój zupełnie nie przypomina kabiny pierwszej klasy. Niech pan zjada parówki, póki ciepłe, bo potem będą niesmaczne. W tym czasie ja panu coś opowiem, ponieważ widziałam zdjęcia. Z każdej strony łóżka są zasłony z pomponami, a na ścianach jedwab. Pośrodku stoi okrągły stół z mahoniu, czy coś w tym rodzaju, i śliczna lampa ze złoconego brązu z marszczonym abażurem. Jest też kanapa z welurowymi poduszkami.

— Po co kanapa? - zdziwił się Horty. - Przecież jest łóżko.

— Oczywiście, ale ona nie służy do spania. Na przykład jest pan w łóżku i mówi pan do mnie: „Więc tak, moje dziecko, niech pani usiądzie tam na tej kanapie. Pomówimy trochę o pani. Och! proszę, nie. Niech pani nie zakłada nogi na nogę...”

— Mario, nie podoba mi się to. W tej historii facet próbuje panią uwieść.

— A może to ja tego chcę - oznajmiła Maria i się odwróciła.

Ruch jej głowy był tak nagły, że kilka blond kosmyków wysunęło się z koka i tańcząc przez chwilę opadły na szyję. - Ale niech pan o tym wszystkim zapomni - dodała ze śmiechem. - Tak naprawdę to nie wchodzi w zakres moich ćwiczeń. Teraz rozetnę jajko. Musi mi się udać za pierwszym razem. Chodzi o to, by nawet najmniejszy kawałek skorupki nie wpadł do środka.

Horty śmiał się i bił brawo, że jest taka zręczna. Nigdy nie jadł jajek w skorupkach, Zoe wolała ubić je lekko w miseczce, zanim zanurzy ją we wrzątku. Też

są dobre, ale nie ma tego zabawnego wrażenia, że jest się lisem grasującym w kurniku.

Potem Maria zmieniła nóż. Ten, którym przed chwilą otworzyła jajko, miał żółte ślady. Zaczęła smarować masłem długie kromki bułki. Powiedziała Horty'emu, że powinien zanurzać je w jajku.

Obserwowała go ze spokojną dumą młodej matki pilnującej dziecka, które właśnie kończy mleko z butelki ze smoczkiem.

— *Well now, do you feel comfortable*?*[4] Och! Nie mówię tego. żeby panu imponować, ale na pokładzie będę musiała mówić po angielsku. Co pan sądzi o moim akcencie?

— Zupełnie niezły - zauważył Horty z pełnymi ustami.

Uważał, że wszystko, co ona robi, jest zaskakujące i zachwycające. Kręciła się teraz po tym brudnym pokoju. Udawała, że szeroko rozsuwa niewidzialne kotary, odkurza meble wyimaginowaną miotełką, otwiera szafę i wyjmuje garnitur. Nie istniał wprawdzie, a jednak starannie gładziła go dłonią i ogłaszała, ile mil przepłynął w nocy transatlantyk. - Dokładne liczby dotyczące przebytego dystansu - wyjaśniła - będą podstawą do konkursu na najwłaściwszą prognozę wśród pasażerów.

Następnie, podobnie jak dzieci nagle znużone jakąś zabawą, którą zresztą wydawały się zachwycone, szybko opuściła ramiona wzdłuż tułowia i znieruchomiała, spoglądając niepewnie przed siebie. Wzruszyła ramionami, jak gdyby wszystko to były jedynie głupstwa, zmarnowany czas. Zbliżyła się do umywalki. Poprawiła przed lustrem potargane włosy, końcami palców wciskając je w złociste i jedwabiste gniazdo koka. Po chwili zapytała:

— Czy, gdybym nie musiała wsiadać na statek dziś rano, spędzilibyśmy razem dzień?

Horty powiedział, że owszem. W duchu bowiem zadawał sobie to samo pytanie. Maria odwróciła się do niego:

— Co robilibyśmy przez cały dzień?

---

[4] *' Czy teraz panu wygodnie?

— W południe poszlibyśmy zobaczyć, jak odpływa „Titanic”. Po to tu przyjechałem. U mnie spodziewają się, że opowiem, jak to się odbyło.

— A potem? Dalej będziemy spacerować po nabrzeżach i oglądać statki? A może raczej wrócimy do hotelu?

Domyślał się, co próbowała mu powiedzieć. Była chyba zdziwiona, że spała całą noc koło mężczyzny i nic się nie stało. Musiała pomyśleć, że prosty doker nie chciał jej wziąć, gdy spała i nie mogłaby się przed nim obronić. Pewnie będzie jej o wiele trudniej uwieść jednego z tych niesłychanie bogatych mężczyzn, na których zapoluje na północnym Atlantyku. On ulitował się nad nią, gdy zauważył, że miała zawroty głowy. Przewiązał jej oczy chustką, a potem przywiązał ręce do balustrady schodów! żeby ze strachu, w panice nie spadła w przepaść.

— Wrócilibyśmy do hotelu - powiedział.

— Żeby rzucać strzałkami?

— Przespałbym się z panią. Pani nie chciałaby, ale ja byłbym natrętny.

Spojrzała na niego i powiedziała słodko:

— Skąd pan wie, że ja nie chciałabym?

— Dla takiej dziewczyny jak pani ja jestem za stary. Moje ciało nie jest piękne ani do oglądania, ani do pieszczot. Są na nim liczne ślady po ranach odniesionych w dokach. Jeśli je źle pielęgnować, pozostają szramy i białe plamy. A przede wszystkim nigdy mnie pani nie zapytała, jak się nazywam.

— Horty - powiedziała. - Nazywa się pan Horty. Stary monsieur Horty - dodała, śmiejąc się uprzejmie.

— Nawet nie zapytała pani, jak mam na imię. Czy idzie się do łóżka z kimś, kogo imienia się nie zna? To jest pierwsze pytanie, jakie zadają dziewczyny z ulicy Solidor. „Jak masz na imię koteczku”? Wtedy mówi się im swoje imię, a one mówią swoje. To się nie może zaczynać inaczej pomiędzy facetem a dziewczyną

Odsunął tacę i wstał. Nie spróbował owsianki, gdyż ścięła się na dnie miski mało apetycznie.

Maria podeszła do niego. Jeszcze nie umyła zębów. Zresztą może tak jak Zoe myła je tylko przy niedzieli? Jej oddech zachował zapach snu, czegoś słodkawego i mdłego.

— No dobrze, jak pan ma na imię?

— Tego pani nie powiem. W ten sposób oboje będziemy pewni, że nic się nie stanie, prawda?

Pochyliła twarz. Płakała. Horty pomyślał, że to wzruszające, ale trochę mniej niż okrywanie jej bosych i zimnych stóp.

Żywo chwyciła ręcznik zwisający z umywalki i ukryła w nim twarz.

Korytarzem przechodził pracownik hotelu dając sygnał trąbką, że czas wychodzić z pokojów i ustawiać bagaże w hallu. Omnibusy i dorożki do wynajęcia stały już przed hotelem Reda Spithead. Czekały na gości, żeby ich zawieźć do basenu portowego. Pomiędzy sygnałami trębacz obwieszczał wesołym głosem, że nie pada.

— Idziemy - powiedział Horty. - Wszystko skończone.

On sam nie bardzo się orientował, co w ten sposób kończył: łzy Marii czy miłość, której tego ranka nie zaznali, skoro nie zabawili się w pokojówkę i pasażera milionera.

Podszedł do niej. Wciąż trzymała ręcznik przyciśnięty do twarzy. Nie wyciągając go, schwycił ją za nosek wystający spomiędzy jej palców i leciutko ścisnął:

— Trzeba wytrzeć nos. Nie może pani pokazać się w takim stanie. Wszyscy są bardzo podnieceni na myśl, że popłyną statkiem. Pokojówki też powinny wyglądać na szczęśliwe.

Usłuchała. Między palcami, przez ręcznik, poczuł gorącą wilgoć z wydmuchiwanego nosa.

Missis Chancellor, otoczona personelem, stała w progu hotelu i rozdawała gościom drobne upominki - po jednej róży damom, a panom buteleczkę dżinu albo cygaro. Nawet Mr Cheapmanowi coś przysługiwało, mimo że Mrs ChancellcÉ oświadczyła wobec wszystkich, że Mr Cheapman i jego towal rzysz z pokoju powypalali cygarami dziury w narzucie łóżkl i próbowali zataić swoje przewi-

nienie wpychając narzutę dl szafy: „Jesteście jak dzieci - krzyczała Mrs Chancellor. - WB wszyscy Amerykanie jesteście jak nieznośne bachory! Kilka dii spędzonych na angielskim statku nauczy was reguł współżycia społecznego”. Na to Mr Cheapman odpowiedział, że zrobi wszystko co w jego mocy, by przekonać załogę i pasażerów „Titanica” do wizji współżycia społecznego, jaką on Mr Cheapman od dawna sobie wypracował. Chciał uściskać Mrs Chancellor. W momencie wsiadania na pomost omnibusu przypomniał sobie, że był świadkiem spektaklu równie dziwnego jak podniecającego, który rozegrał się późną nocą na żelaznych schodach pnących się wzdłuż muru Manufaktury Bawełnianej Harston and Harston. Ale nikt naprawdę mu nie uwierzył. Missis Chancellor, śmiejąc się, powtórzyła, że jest tylko nicponiem i nikim więcej.

Niebo było szare. Nie wiało. Gapie zebrali się na trotuarze vis à vis hotelu, by podziwiać podróżnych odjeżdżających do Ameryki. Omibusy trzęsły się od wiwatów. Chłopcy biegali rzucając petardy pod koła tańczących na bruku dorożek. Wyglądały na lekkie pomimo ciężkich waliz, którymi je wyładowano.

Doker i pokojówka nie należeli, w ścisłym tego słowa znaczeniu, do pasażerów „Titanica” i nie mogli liczyć na miejsce w pojeździe. Ale opuszczając hotel mieli prawo do prezentów Mrs Chancellor. Maria zamiast jednej róży dostała wszystkie, które pozostały, ponieważ była ostatnią kobietą wychodzącą z hotelu, a na dodatek oklaski małego tłumku. Horty spostrzegł, że podróżni pozdrawiają gapiów bijących brawo i też uniósł kapelusz.

Poszli pieszo. Horty niósł obie walizki. Czuł się nieswojo w surducie Jana Risskena, ale Zoe miała rację, każąc mu go zabrać. To było bardzo odpowiednie ubranie do asystowania przy odcumowaniu „Titanica”. Uroczystość razem z tymi wszystkimi kwiatami i pojazdami pełnymi zachwyconych ludzi przypominała ślub.

O! Pan też wygląda całkiem nieźle - powiedziała Maria, pomagając mu zawiązać krawat. Jej oddech wciąż miał dziwny zapach snu, który w końcu uznał raczej za przyjemny. Wkrótce znajdą się na zewnątrz. Jeśli nawet Maria pójdzie z nim pod rękę, nie będzie już mógł wdychać zapachu jej warg. A potem ona go opuści i wsiądzie na pokład statku. Wspomnienie jej oddechu będzie jedyną rzeczą, jaką zdoła z łatwością przywołać, na przykład idąc wcześnie rano do dziewczyn na ulicę Solidor. Prostytutki nie lubiły być nachodzone przed południem,

ale gdyby wiedziały, z czym wraca, wszystkie chciałyby trzymać dokera w ramionach i obdarzać go oddechami. Te dziewczyny umierały z nudów, gdyż mężczyzn interesowały wyłącznie ich piersi i pośladki.

W miarę jak zbliżali się do portu, tłum gęstniał i stawał się coraz bardziej zaaferowany. Pojawiły się pierwsze mundury. To stewardzi spieszyli na spotkanie wiozących ważnych pasażerów automobilów, którym faie gapiów tamowały drogę.

Maria zatrzymała jednego ze stewardów i zapytała, czy już się odbyły ćwiczenia ratownicze przewidziane na godzinę ósmą. Chłopak odpowiedział, że tak i że niewiele straciła, ponieważ to zajęło tylko parę minut i użyto jedynie łodzi numer 11 i 15. Steward spojrzał uważniej na Marię:

— Płynie pani z nami, miss?

— Tak. Zastępuję przyjaciółkę. Ona nazywa się Mauren. Może gdzieś pan ją spotkał?

— Jeszcze nie można się zorientować, kto jest kto - powiedział steward. - Wszyscy zapoznamy się na morzu po wyjściu z Queenstown. Będzie dużo czasu, ponieważ ostatecznie nie bierzemy tylu pasażerów, ilu przewidywano. Pomimo strajku górników, zmuszającego sporo innych wielkich statków do pozostania przy nabrzeżu, na blisko dwa i pół tysiąca łóżek zabieramy tylko trochę ponad tysiąc trzystu pasażerów.

Młody człowiek zwrócił się do Horty'ego i pozdrowił go z szacunkiem:

— Czy będę miał zaszczyt obsługiwać pana na pokładzie, sir? Gdzie znajduje się pańska kabina? Zobaczymy. Jeśli nie załadował pan jeszcze walizek, to proszę zostawić je mnie. Znajdę tragarza.

Steward mówił po angielsku. Horty odwrócił się do Marii:

— Nie rozumiem, czego on chce?

Uśmiechnęła się:

— Sądzi, że wsiada pan jako pasażer.

To przez surdut Jana Risskena pomyślał Horty. Dzisiejszego wieczoru popłynie w nim promem z Southampton do Francji. Na małym parowcu podróżni

wezmą go być może za pasażera „Titanica”, który nie zdążył do Southampton i wsiądzie, gdy statek zawinie do Cherbourga. Wystarczy, że się tylko pokaże i w pewnej chwili zapyta o godzinę. No i może trzeba będzie zejść do salonu i uznać jego przeładowany wystrój za nieodpowiedni dla kogoś, kto oczekiwał bardziej oszałamiającego luksusu.

— Patrzcie, rozmarzył się! - wykrzyknęła Maria. - Jak można tak się zamyślić w takim ścisku? Niech pan trochę uważa, kieszonkowiec próbował mnie okraść. Tak, tak, zapewniam pana. Czułam jego ręce przesuwające się po mnie jak pająk. Okropne! Trzeba się pośpieszyć, bo muszę być na pokładzie przed pasażerami.

— Pardon, chodźmy już - mruknął albo wydawało mu się, że tak powiedział. Chwycił walizki postawione na ziemi. Steward zniknął.

— Pokazał, że tędy - powiedziała nerwowo Maria i wskazała palcem nabrzeże przedłużone hangarami. Tam właśnie kierował się tłum.

Wciąż jeszcze nie dostrzegli „Titanica”. Tylko na tle bladego nieba, w oddali, ponad trotuarami, rysowały się cztery żółte kominy zwieńczone czarną opaską i lekko pochylone do tyłu, aby wydawało się, że statek płynie. Dymiły jedynie trzy pierwsze, czwarty był atrapą służącą do wentylacji.

— Och, będą zabici - oznajmił Horty, widząc jak przez ten oszalały motłoch pędzą zaprzęgi załadowane bryłami lodu, okryte plandekami telepiącymi na wietrze.

Para i dym ze statków pasażerskich i krążących wokół nich holowników były przezroczyście szare i gęste, brunatne. Dzięki cyrkulacji powietrza mieszały się i łączyły w niską, unoszącą się warstwę fałszywych chmur. Dlatego w porcie było ciemniej niż na ulicach miasta. Kwaśny zapach spalonego węgla przesiąkał ubrania i włosy. Unosił się nad stęchłymi, mulistymi wodami rzeki Test. Dzieci kasłały, a dorośli tarli oczy, jakby ogarniał ich sen. Kobiety przytykały chusteczki do twarzy, więc trudno było zobaczyć, czy są ładne. Chyba niewątpliwie były dość ładne, ponieważ młodzi mężczyźni śmiali się przechodząc obok nich i sprzeczali się, który ma podać ramię.

Horty widział woźnicę wleczonego po bruku i zaplątanego w lejce. Jego koń poniósł przerażony gwizdem portowej lokomotywy, która przyciągnęła pociąg do burty transatlantyku i teraz się cofała.

Wagony i zaprzęgi konne gubiły ładunek, a ludzie deptali po grejpfrutach, wędzonych rybach i rozdartych worach mąki. Z dala od tego rojowiska czyhali biedacy, by rzucić się na te dobra i je porwać. Naśladowali morskie ptaki, które, zdaje się, miały podobne zamiary. Urwisy szykowali proce, by strącać mewy.

— Czy cały ten załadunek już dawno nie powinien być zakończony? - zapytała Maria Horty'ego, który bądź co bądź był kimś w rodzaju specjalisty od wnętrza statków.

Horty odpowiedział, że nie wie. W dokach, gdzie pracuje, jego koledzy i on nigdy nie obsługiwali statków pasażerskich, a jedynie stare łajby zarabiające na siebie wynajmowaniem dwóch lub trzech prymitywnych kajut zakonnicom udającym się do Afryki. Te kobiety zadowalały się byle czym. Dla nich nie było potrzeby ładować ośmiu tysięcy pęczków szparagów, pięciuset kilogramów konfitur, prawie ośmiu ton pomidorów czy tysiąca butelek lakowanego wina.

W kącie składowiska zabrzmiała fanfara. Ludzie jednak nie przystawali, aby posłuchać muzyki, lecz śpieszyli do końca basenu portowego, gdzie cumował „Titanic". A tam wspaniała orkiestra grała najpiękniejsze arie, pieśni i tańce popularne i w Paryżu, i w Nowym Jorku na cześć pierwszych pasażerów zaczynających wstępować po trapie na pokład statku.

Wśród tłumu krążyli studenci. Nie wahali się ciągnąć ludzi za rękawy. W zamian za kilka pensów proponowali miejsce w dole rzeki Test, skąd rozciągał się nie do zdobycia widok na transatlantyk, którego powoli zaczną przeciągać w stronę ujścia.

Z rury pnącej się aż do szczytu drugiego komina „Titanica" wydobyła się cienka smużka białej pary. Rozległ się długi ryk syreny okrętowej, nieproporcjonalnie potężny w porównaniu ze smużką pary, która go wywołała.

W tej samej chwili Horty dostrzegł na prawo od siebie mały barak z desek, przed którym stał Chińczyk ubrany w obszerną, niebieską szatę haftowaną w żółte smoki i powykręcane i czarne znaki nie do rozszyfrowania.

— *Photo, mister? Memory for you? Memory for ever?**[5]

---

[5] * Czy zrobić zdjęcie, proszę pana? Na pamiątkę? Na zawsze?

W głębi baraku zainstalowano wyciętą z drewna planszę przedstawiającą w powiększeniu reling. Zawieszono na nim białe i czerwone boje noszące napis „RMS Titanic”. Z sufitu zwisały spłowiałe serpentyny.

Chińczyk ustawił Marię przed dekoracją i dał znak, żeby uniosła rękę w pożegnalnym geście.

— Chwileczkę - powiedział Horty.

Opuścił rękę Marii i oparł ją o reling.

— Druga ręka też.

Usłuchała zaintrygowana. Doker okręcił serpentynę wokół nadgarstków dziewczyny i uśmiechnął się:

— Memory - jak on mówi. To mi przypomni schody Harston and Harston.

— Ale ja się tak wstydzę! - zaprotestowała.

— Nikomu nie pokażę tego zdjęcia.

Uśmiechnięty Chińczyk kłaniał się wiele razy przed Hortym, bo inscenizacja wydawała mu się oryginalna i doskonała. Później w naczynie z piaskiem wetknął pięć czy sześć laseczek kadzidła i je podpalił. Kłęby wonnego dymu owionęły twarz Marii.

— To powinno przedstawiać mgłę - powiedział Horty.

— *Fog* - potwierdził Chińczyk. - *Always fog on the road to New York**[6]

Ruchem ręki pokazał, aby Horty odsunął się nieco. Uniósł ciemną zasłonę przykrywającą aparat fotograficzny i wsunął się pod nią. Tylko ręce wystawały z obu stron czarnej kamery. Lewa ściskała gruszkę wyzwalacza, a prawa skierowała lampę z magnezją w stronę Marii.

— Nigdy pani nie zapomnę - oznajmił Horty.

Maria chciała coś odpowiedzieć, ale Chińczyk zapiszczał spod zasłony, że nie powinna absolutnie zmieniać pozycji, ponieważ taryfa nie przewiduje naświetlania drugiej kliszy, gdyby pierwsza okazała się poruszona.

---

[6] * Mgła. Zawsze jest mgła na drodze do Nowego Jorku.

Błysnęło. Horty nie zdołał nawet mrugnąć. Zobaczył, że Marię oślepiło, aż zbladła.

Mimo że papierowe pęta krępujące jej nadgarstki na fałszywym relingu były niesłychanie delikatne, Maria wahała się je rozerwać. Czekała, aż Horty ją odwiąże.

Chińczyk odsunął planszę i powiedział Horty'emu, że zdjęcie będzie gotowe pod wieczór.

— Nie pomyśleliśmy o tym. Zaraz wsiadam na parowiec.

Maria wyjaśniła Chińczykowi w czym rzecz. Potem przetłumaczyła jego odpowiedź: może więc wysłać zdjęcie do Francji. Do pana?

— Ach! Nie! - zawołał Horty ze śmiechem. - Będzie lepiej, jeśli wyśle pod adresem „Pod Głową Żółwia". To taka knajpa, do której czasami zachodzę.

Wyobraził sobie, jak Zoe otwiera wielką kopertę z Anglii i znajduje w niej portret młodej pokojówki. To mogło być nawet zabawne, ale także trochę niebezpieczne.

Gdy wychodzili z baraku Chińczyka, w basenie portowym zapadła nagła cisza. Jedynie ptaki i holowniki nadal kołysały się na wszystkie strony. Ludzie pozajmowali miejsca jak w teatrze i czekali na rozpoczęcie przedstawienia. Szeptano nazwiska, w miarę jak z promu przybyłego z Londynu schodziły znakomitości.

Po nabrzeżu z nieustannym hurkotem toczyły się wózki bagażowe na wielkich żelaznych kołach z pięcioma szprychami. Nikomu już nawet na myśl nie przyszło, żeby pokrzykiwać.

Podnośnik tragarzy tkwił w miejscu. Mali groomi kierowali pasażerów do komisarzy i stewardów, a ci prowadzili ich natychmiast do wnętrza statku. Tu i ówdzie rozlegały się śmiechy. Słychać było świergotliwe: How doyou do? oraz szepty zachwyconych pasażerów podnoszących wzrok i odkrywających ogrom transatlantyku.

Emigranci wchodzili innym trapem. Sami wnosili swoje bagaże. Wszyscy mężczyźni mieli na głowach takie same beżowe albo szare wydęte czapki, jakby wypchali je resztkami tych nędznych rzeczy, których nie zdołali wetknąć gdzie

indziej. Czoła kobiet niknęły aż po nasady nosów pod głęboko osadzonymi czarnymi kapeluszami, a i tak jeszcze przytrzymywały je ręką z wierzchu. Widocznie słyszały, że na morzu wiatr dmie z wyjątkową siłą.

Towarzyszyły im dwa rodzaje małych dziewczynek. Jedne były ubrane odświętnie i podobne do obrzydliwych cukier- niczek, a drugie miały na sobie tylko wielkie ciemne swetry i sznurowane, proste i sztywne jak aparaty ortopedyczne buciki. Na pewno byli też mali chłopcy, ale tak wściekle przypominali mężczyzn, że nie można było ich odróżnić.

Emigranci niekiedy muskali końcami palców ogromne burty kadłuba. To z przesądu - pomyślał Horty. Przechodzili bez zbytecznych słów i krzyków przez trap, tupiąc jak stado. Nikogo na lądzie nie pozostawiali, więc nie mieli komu powiedzieć „adieu”.

„Titanic” wydawał chrapliwe pomruki. Prąd morski, odczuwalny również na rzece Test, naprężył cumy. Holowniki utrzymywały statek przy nabrzeżu.

Dochodziła dziesiąta rano.

Jakiś policjant wyrósł przed Hortym i zapytał go, dokąd zamierza iść. Doker pokazał walizy, które niósł. Policjant obrzucił bagaże krytycznym spojrzeniem. Mimo że waliza Horty’ego była nowa, wyglądała mizernie na tle luksusowych kufrów i pudeł na kapelusze, jakie tragarze wynosili z pociągu i zanosili na pokład transatlantyku.

— Stary, emigranci nie wsiadają z tej strony - powiedział policjant.

— On w ogóle nie wsiada - wtrąciła się Maria. - On wygrał konkurs i ma prawo przyglądać się odcumowaniu.

— W takim razie co on robi z tymi walizami, jeżeli nie wsiada na statek?

— Jedna jest moja - wyjaśniła Maria. Starała się mówić statecznie, ale rozglądała się nieprzytomnie na wszystkie strony jak ktoś, kto czuje się zagrożony i spodziewa się pomocy. - Ja odpływam. Jestem pokojówką na tym statku. Strasznie się spóźniłam i opuściłam poranne ćwiczenia ratownicze. Przypuszczam, że tak czy inaczej oberwę za to porządnie.

— To mi wygląda na podejrzanie skomplikowaną historię — burknął policjant. - Myślę, że z powodzeniem mógłbym powiedzieć temu facetowi, żeby otworzył walizki. Ciekawe, co się w nich znajduje?

Maria nie odpowiedziała. Wyglądała na całkowicie zbitą z tropu. Policjant ciągnął dalej:

— Nie wiem, dlaczego pani przyjaciel założył surdut. Czy tylko po to, żeby oglądać odpływający statek?

— Och, tak naprawdę wcale nie jest moim przyjacielem - oznajmiła Maria. - Jest tylko uprzejmą osobą, która niesie moją walizkę, ale zaraz wezmę ją od niego.

Chwyciła walizkę i pobiegła niezgrabnie w stronę statku.

— Niech pani poczeka! - zawołał za nią Horty. - Nie pożegnaliśmy się!

Chciał za nią popędzić, ale policjant zatrzymał go:

— Chłopie, daj jej wreszcie spokój! Dobrze panu radzę!

— Nic nie rozumiem - odpowiedział Horty. - *I don't speak english**.

Sądził, że widzi, jak Maria macha ręką na pożegnanie. Być może dziewczyna obciążona walizką wykonywała tylko taki gest dla utrzymania równowagi jak linoskoczek opuszczający i podnoszący długi drąg.

Potem całkiem stracił ją z oczu. Zniknęła w tłumie.

Horty przewidywał, że będą mieli mało czasu na rozstanie. Gdy szli w stronę basenu portowego, powtarzał sobie, że byłoby lepiej ją teraz wziąć w ramiona i powiedzieć, jak bardzo było mu przyjemnie mieć ją blisko siebie przez całą noc.

Może przymknęłaby oczy i nadstawiła twarz tak, jak to robią kobiety oczekujące na pocałunek. Doker nie był pewien, czy kiedykolwiek odważy się ją pocałować. Pocałunek byłby przyjemniejszy dla niego niż dla niej. Wszystko, czego chciał, to podziękować za upiększenie jego pobytu w Southampton. Bez niej spędziłby wieczór w sumie mało atrakcyjny. Na pewno skorzystałby z łazienki hotelowej, ponieważ jeszcze nigdy nie zanurzył się w prawdziwej wannie z kranami. Potem pospacerowałby trochę w deszczu wzdłuż muru Harston and Harston. I co dalej? Wróciłby do hotelu, aby skończyć list do Zoe. I poszedłby spać.

Jednak nie zdecydował się. Uważał, że jeśli przyciśnie ją do siebie za wcześnie, będzie przekonana, że od samego początku dążył tylko do tego. Nie chciał, aby źle myślała o mężczyznach, bo w przeciwnym razie nie będzie podawać śniadania samotnym pasażerom, tylko zastąpi ją jakiś steward. Wtedy nie wyjdzie za Amerykanina, a ma na to taką ochotę.

Pragnął, żeby jak najszybciej wyszła za mąż. Ludzie mówią, że wibracje statków płynących z dużą prędkością niszczą delikatne organy kobiet, jeżeli tylko nieustannie przebywają pod ich wpływem.

Jeśli nawet Maria zapamięta dokera i wyśle mu ozdobne zaproszenie pod adresem knajpy „Pod Głową Żółwia" zawiadamiające o ślubie, to i tak nie będzie mógł być na jej weselu w Ameryce. Mimo wszystko przyjemnie wyobrazić ją sobie w pełnym rozkwicie. Najlepiej brać ślub zimą. Wówczas chłód barwi twarze narzeczonych na żywy różowy kolor. Nie muszą więc malować policzków tym wszystkim, co nie zawsze pachnie bardzo ładnie. Mąż zapewne podaruje jej automobil i futrzaną pelisę, a ona pójdzie w niej do ślubu. Sama przecież mówiła, że to najnowsza moda w Ameryce wśród najbogatszych ludzi. Horty bardzo wyraźnie widział Marię wyprostowaną na siedzeniu automobilu obitym czerwoną skórą. Widział śnieg sypiący na drogi stanu Maine i automobil toczący się dostojnie po nich i dający sygnał miedzianą trąbką przed skrzyżowaniami.

Powinien jeszcze trochę poczekać. Postanowił, że obejmie ją za ramiona, gdy będą zupełnie blisko statku, gdy przed nimi wyrośnie statek jak ściana i gdy mu powiedzą, że już dalej nie może iść.

Niestety, za wcześnie wtrącił się policjant. Maria nagle zbladła i zanim Horty zdążył choćby musnąć jej rękę, zaczęła biec z walizką jak mała przestraszona dziewczynka. Marynarze odsunęli dla niej białe bariery oddzielające strefę zarezerwowaną dla personelu „Titanica". Horty wołał ją, ale nawet nie był pewien, czy go słyszy, bo orkiestra grała bardzo głośno.

Może powinien zawołać, że ją kocha? Może wtedy pomimo głośnej muzyki odwróciłaby się w jego stronę. Ale po co się odwracać, gdy jest bariera i wszyscy wokół pokazują, żeby wsiadać? A i tak teraz to skończone.

Horty miał jeszcze nadzieję zobaczyć ją ostatni raz, gdy wejdzie na trap. Stał zbyt daleko, by widzieć rysy jej twarzy, uśmiech, jeżeli zechce się uśmiechnąć. Na pewno rozpoznałby ją po czarnej sukni i białym czepku.

Czekał jeszcze chwilę obok policjanta. Nie zobaczył Marii na trapie. Widocznie zasłoniły ją kapelusze innych kobiet.

— Idę stąd - powiedział do policjanta.

Ale ten przestał się nim interesować.

Horty odszedł. Był jedynym oddalającym się już od statku, toteż ludzie spoglądali na niego zdziwieni.

U stóp dźwigu portowego, jeżdżącego z wielkim hałasem po szynach, spotkał młodą kobietę w zieleni. Spieszyła się, ale przystanęła i go pozdrowiła.

— Jaki pan elegancki - powiedziała.

Otworzyła małą sakiewkę. Wyjęła kilka pensów i pokazała je na dłoni:

— Pańskie pieniądze. W końcu nie wysiadłam z omnibusu. Duncan obiecał poślubić mnie w Nowym Jorku. Znowu zacznie oszukiwać, wie pan. Myślę, że grą w karty mógłby zarobić sporo pieniędzy. Po każdej turze rzucałby karty w górę, a ja łapałabym je siatką na motyle. Czyż to nie zachwycający pomysł?

Dodała, że Duncan i ona mieszkają na rufie statku na pokładzie F. Wystarczy tylko zejść schodkami i już się jest nad brzegiem basenu.

— Niech pani zatrzyma te pieniądze dla personelu - odrzekł Horty.

Zamknęła dłoń i zaśmiała się:

— Myśli pan, że zadowolą się taką jałmużną? Koncesję na prowadzenie wszystkich restauracji na pokładzie uzyskał Luigi Gatti. Może pan sobie wyobrazić!

— Nie znam go - powiedział Horty. - Miałem przede wszystkim na myśli pokojówki. Daje im się przecież pieniądze, prawda?

— Zdaje się, że wolą, gdy na zakończenie podróży zostawia się im sukienkę. Kładzie się ją na koi z kilkoma uprzejmymi słowami.

Horty wyobraził sobie, jak wyglądałaby Maria, gdyby ta kobieta po zawinięciu do Nowego Jorku zrobiła jej upominek ze swojej sukni koloru zielonych migdałów. Jednak nie potrafił uzmysłowić jej sobie w toalecie w tym stylu. Maria i kobieta w zieleni nie miały ze sobą nic wspólnego. Ta tutaj była na pewno

ładniejsza, wyższa i wyperfumowana. Przypuszczał, że zapach waniliowych perfum pochodził ze spiętych siatką włosów, ale nie był tego absolutnie pewien.

— Mam więc zatrzymać pana pieniądze. Czy tak?

Skinął głową, że tak. Włożyła kilka pensów do sakiewki. Była zadowolona.

— Na imię mam Kamila, a pan?

— Horty. Nigdy nie podaję imienia.

— To śmieszne! A dlaczego?

— Tak sobie.

Spojrzała na niego rozbawiona:

— W gruncie rzeczy wcale nie wierzę, że jest pan dokerem. Dokerzy nie mają takich pięknych czarnych ubrań. Zastanawiam się, czy nie jest pan raczej szpiegiem - dodała po cichu, nachylając się do niego. - Tacy są na wszystkich statkach pasażerskich.

— Pani oddech też pachnie bardzo ładnie - powiedział Horty.

Złożyła dłonie w muszlę, zbliżyła do twarzy i sprawdziła:

— Pogryzam waniliowe cukierki. Tutaj robią pyszne. Chce pan?

Odwrócił się w stronę statku. Groomi przebiegali pokłady j uderzali w małe, błyszczące gongi.

— Statek pani ucieknie - powiedział.

Wydawało mu się, że rani Marię, zdradzając ją już choćby tym, że wdycha pachnący oddech kobiety w zieleni. Kamila uniosła lekko rąbek sukni i zaczęła biec z większym wdziękiem niż Maria.

Około południa „Titanic” zwolnił cumy kotwiczne. Holowniki asystowały mu do momentu, aż wysunął się poza nabrzeże. Potem zabrzmiała syrena transatlantyku i holowniki odsunęły się, a „Titanic” zaczął spływać rzeką Test, napędzany własnymi maszynami.

Aby wyjść na pełne morze, musiał przedefilować przed łajbami moknącymi przy ujściu rzeki. Gdy mijał stary „New York” zakotwiczony obok „Oceanica”,

wir powstający po śrubach i siła przysysająca masę spowodowały, że statek pasażerski kompanii America Line zerwał kotwice. Słychać było jakby trzask pioruna, a potem rozległ się bardzo osty świst, gdy liny szurgotały po nabrzeżach. Wśród zgromadzonych tam gapiów powstała panika. Jakaś kobieta zemdlała, więc ją wyniesiono.

„New York" sunął rufą prosto w środek kanału portowego. Holownik znajdujący się w pobliżu w ostatniej chwili, rozpaczliwym manewrem, odciągnął go od „Titanica".

Horty niewiele zobaczył z tego wydarzenia. Usłyszał jedynie przeciągły gwar i krzyki. Zdołał rozróżnić zaledwie kilka słów: *danger, accident, stupid disaster**[7]' i uchwycić ich sens. Sądził, że nie mogło zdarzyć się nic groźnego, skoro czarno-biała masa transatlantyku w dalszym ciągu spływała w kierunku ujścia.

Trochę dalej Horty natknął się na „człowieka-kanapkę". Nosił on na ramionach tablicę obwieszczającą w wielu językach, że z okazji inauguracyjnego rejsu „Titanica" piwiarnia „Król Bez Żony" oferuje, do wyboru, premię w postaci pół litra piwa albo porcji *welsh rarebit* - walijskich grzanek - każdemu, kto potrafi powiedzieć, ile bulajów i okien ma transatlantyk.

— Dwa tysiące - powiedział na chybił trafił.

To była prawdiłowa odpowiedź. Wybrał porcję *welsh rarebit* w „Królu Bez Żony". Wypił ogromną ilość piwa i dżinu, a potem wsiadł na pokład małego parowca, który powinien zawieźć go do Francji.

Przez cały czas, gdy płynęli przez kanał La Manche, mimo że zaczynało robić się chłodno, większość podróżnych pozostawała na pokładzie. Szukali na horyzoncie dymów z „Titanica", który wyprzedził ich o blisko dwie godziny. Zauważono nawet kilka butelek po szampanie. Pływały zanurzone do połowy etykietek, gdyż częściowo wypełniła je woda morska. Butelki stanowiły pewne zagrożenie dla łopatkowych kół, dlatego prom z Southampton zmienił kurs o kilka stopni. Ktoś powiedział:

— Teraz powinni być w trakcie obiadu. Według moich informacji wieczorem mają spożywać sałatę, łososia z ogórkami, filecik a la Lile, ryż kreolski i in-

---

[7] * Niebezpieczeństwo, katastrofa, głupi wypadek.

ne potrawy. Już nie pamiętam nawet jakie. Wiem tylko, że nikt normalny nie zdoła pochłonąć całego menu.

Dyskutowano o tym, czy menu na transatlantykach było „*a la carte*", a jeśli tak, czy podawano wszystko, tyle że w małych ilościach jak na chińskim bankiecie.

Flauta, morze było białawe i lśniące.

O godzinie dwudziestej trzydzieści prom minął posterunek Homet. Reda Cherbourga była już pusta. Unosił się tylko silny zapach węgla. Zaledwie przed kwadransem „Titanic" wziął kurs na Irlandię. Można go było jeszcze zauważyć w oddali z fortu Roule. Był cały oświetlony, mimo że jeszcze nie zapadł zmrok.

Pociąg jechał całą noc. Świat za oknem dopiero się budził. Zdawało się, że początek wiosny jeszcze może się cofnąć.

O świcie mijali białe połacie pól pokrytych szronem. Wagon też był oblodzony. Horty przypuszczał, że Maria śpi jeszcze i jest jej bardzo ciepło. Powiedziała mu przecież, że „Titanic" jest dobrze klimatyzowany i rośliny przez cały rok będą rosnąć na werandach zawieszonych nad oceanem.

Zapragnął znowu zobaczyć twarz dziewczyny, ale nie potrafił dokładnie odtworzyć jej w pamięci. Pozostał mu jedynie zarys bladego i zamazanego konturu. Wyraźne były w nim tylko szare oczyj 3 i to, zdaje się, zbyt błyszczące. A wszystko na pewno dlatego, że nie miał czasu wziąć jej w ramiona - wówczas przyjrzałby się jej wystarczająco długo przed rozstaniem. Za kilka dni pójdzie „Pod Głowę Żółwia" po zdjęcie zrobione przez Chińczyka. Przypomni sobie wtedy twarz Marii.

Postanowił, że poczeka tydzień, a może dwa tygodnie, zanim przyniesie zdjęcie do domu i powie Zoe, że znalazł ten portret porzucony w porcie.

— Dość milutka ta mała - zauważy wówczas Zoe. - Dobrze zrobiłeś. Ona na pewno ma rodzinę i ktoś ją kocha. Ci ludzie będą wdzięczni, jeśli dowiedzą się, że podniosłeś z ziemi jej twarz. Gdyby nie ty, skończyłaby pod końskimi kopytami.

— Konie albo jeszcze gorzej, moja mała.

— Albo gorzej - odpowie Zoe i zamyśli się.

Zoe wiedziała, tak jak i on, do jakich potwornych rzeczy byli zdolni ci z portu, gdyby portret młodej, ładniutkiej nieznajomej dziewczyny wpadł im w ręce.

Gdy wysiadł z pociągu, Zoe czekała na peronie. Była jedyną kobietą na dworcu. Pozostałe osoby to oficerowie. Przyszli po skutego mężczyznę w koszuli. Na pewno był to jakiś dezerter.

Zoe biegła mężowi na spotkanie. Jej śmieszne, krótkie nóżki tańczyły pod sukienką.

— Nie jesteś już dokerem! - wołała zadyszana. - Nie jesteś dokerem!

Przytuliła się do niego i gwałtownymi ruchami rąk pieściła jego twarz.

— Przewodniczący Simeon był u nas w domu. Przeznaczył cię na dźwig 14. Poszłam go oglądać. To ten na samym końcu nabrzeża kolumbijskiego. Jest wspaniały i ogromny - mówiła podniecona Zoe. - Wszystkie liny i urządzenia, i maszyny tak dobrze nasmarowane. Zobaczysz, będzie ci się wydawało, iż ten dźwig to noga wieprzowa wyjęta z zupy! A co do nogi, wyobraź sobie, że Simeon przyszedł z całym prosiakiem.

Szli do wyjścia. Minęli skutego dezertera. Mężczyzna płakał jak dziecko. Horty patrzał na niego, ale Zoe odwróciła wzrok Ten szlochający człowiek przypominał jej przewodniczącego Simeona, jego drżące i chłodne ręce i cały ból, jaki musiała sobie zadać, by wyrwać z niego trochę satysfakcji, sprowadzającej się do nędznego westchnienia, zamierającego bulgotania.

Horty zastanawiał się, czy oficerowie będą mieli na tyle serca, aby dać dezerterowi coś ciepłego. I pomyślał również jednocześnie o Marii, która być może w tej samej chwili zawiązuje biały fartuszek i idzie podawać śniadanie do kabin pierwszej klasy.

Horty i Zoe trącili się ze śmiechem i objęli, jakby chcieli się upewnić, że zdradzając się nawzajem w niczym nie nadwerężyli swej wierności.

— No więc opowiedz mi o tym prosiaku. Gdzie on jest?

— Już w soli, z wyjątkiem pięknego kawałka żeberek - włożyłam go do pieca. Batylda pilnuje.

— W każdym razie - zauważył - pożyczyła ci ładną sukienkę.

Zoe nic nie odpowiedziała. Sukienka też była podarunkiem od przewodniczącego Simeona podobnie jak prosiak i stanowisko dźwigowego na „14” na nabrzeżu kolumbijskim.

TLR

MINĘŁY cztery dni, zanim z Southampton nadeszło zdjęcie Marii.

13 kwietnia o zmierzchu patron tawerny „Pod Głową Żółwia” - Mulat, którego nazywali Karaib - przekazał Horty’emu szeroką i długą, brunatną kopertę z wymalowanymi pędzelkiem chińskimi znakami.

— Nie wiem, co to może znaczyć - oświadczył Horty - ale uważam, że jest bardzo piękne.

Otaczający go mężczyźni przytaknęli. Nawet jeśli te dziwne znaki nic nie znaczą, tworzą harmonijną kompozycję.

— Te znaki chyba przynoszą szczęście - powiedział Karaib.

— Chińczycy modlą się do powodzenia jak my do Pana Boga.

Horty chciał usiąść sam przy osobnym stoliku, odpieczęto- wać kopertę i ostrożnie wyjąć zdjęcie. Ale była sobota, więc knajpa coraz bardziej zapełniała się hałaśliwym tłumem. Oprócz dokerów przychodzili palacze ze statków, żeby grać w domino, upijać się i wywoływać burdy. Od węgla wżartego w skórę nazywali ich Czarną Bandą. Nie lubiano ich i oni o tym wiedzieli. Pili i często bili się między sobą, ale pogarda, z jaką się do nich odnoszono, nie przeszkadzała ich łokciom i pośladkom zajmować tyle samo miejsca, co innym.

Horty wolał opuścić knajpę. Poszedł kawałek nabrzeżem. Przystanął pod dźwigiem, na którego wysokim rusztowaniu umieszczono lampy acetylenowe. Dawały jasne i wyraźne światło, akurat takie, w którym można obejrzeć zdjęcie kobiety.

Poprzez belkowanie dźwigu prześwitywało bezchmurne niebo usiane gwiazdami. Jak na kwiecień było niezwykle chłodno.

Horty otworzył kopertę i wyjął zdjęcie owinięte cienkimi bibułkami, które drżały na wietrze. Portret nie ucierpiał w czasie podróży, z wyjątkiem lekko zagiętego lewego górnego rogu.

W chwili wybuchu magnezji Maria niedostrzegalnie odwróciła wzrok. Ten rodzaj lekkiej nieobecności nadawał jej wygląd kogoś, kto jeszcze marzy i nie życzy sobie powrotu do rzeczywistości.

Horty'emu zaczęły trochą drżeć ręce.

Usłyszał trzaśnięcie drzwi. Z knajpy wychodzili mężczyźni. Zbliżali się do niego i gromadzili w acetylenowym świetle. W grubych palcach ściskali szklanki z jałowcówką.

— Można zobaczyć?

Horty podał zdjęcie najpierw dźwigowym, ponieważ byli to teraz jego nowi koledzy. Jeden z nich powiedział:

— A ja myślałem, że pokażesz nam fotografię „Titanica".

— To tylko jedna z jego pokojówek - sprostował Horty.

Mężczyzna z respektem obracał w palcach zdjęcie. Jego sąsiad niecierpliwił się, bo także chciał ją podziwiać. Ale ten trzymający je zdawał się tego nie dostrzegać. Zaśmiał się krótko trochę zażenowany:

— Ona jest cholernie ładna.

— Tak, cholernie ładna - przytaknął Horty.

Ten, który to pierwszy powiedział, pokiwał głową, a wszyscy pozostali go naśladowali. Posypały się uwagi. Niektórzy uważali, że Maria ma coś z małej dziewczynki, a inni byli zdania, że od razu widać, że to prawdziwa kobieta. Jeden z Czarnej Bandy wmieszał się między nich, a teraz odezwał się:

— W tym pieskim życiu coś takiego zdarza się tylko raz, w ciągu jednej nocy, gdy Pan Bóg odwraca się do nas plecami.

— Co się zdarza tylko raz?

— No, przespać się z taką dziewczyną - oznajmił ten z Czarnej Bandy.

Horty nic nie odpowiedział, a jego milczenie przyjęto jako potwierdzenie pewniejsze nawet, niż gdyby to powiedział.

Zdjęcie zrobiło rundę wśród zebranych i wróciło do rąk Horty'eg°- Skierował je do światła lamp, ponieważ chciał sprawdzić, czy go nie pobrudzili. Mężczyźni ścieśnili się wokół niego, wstrzymując oddech. Czekali na opowieść.

— Jak ona pachniała? - zapytał w końcu któryś z dokerów.

— Dobre pytanie - poparł go inny. - Ciekawe, jak taka dziewczyna może pachnieć. Tego na fotografii nie widać.

—No, wiesz - zauważył jeden z dźwigowych - to może zależeć od powiewu i księżyca. Kiedy jesteś pijany powiewem kobiety, ona pachnie kobietą. A co do księżyca, on ma wpływ na wszystko, co dotyczy dam.

Znowu poważnie pokiwali głowami. Alfons Bazeiges - do- yen, którego wszyscy nazywali Al - objął Horty'ego za ramiona i popchnął do światła jak czempiona na środek ringu:

— Powiedz im chłopie. Dawaj, opowiadaj.

— Co opowiadać? - wybełkotał Horty.

— Pomogę ci - odparł Al Bazeiges. - Wszystko. Najlepiej zacznij od początku. Ta dziewczyna chyba me czekała na ciebie w łóżku, co? Spróbuj sobie przypomnieć.

— Szła po deszczu - powiedział Horty. - Naprawdę tak wszystko się zaczęło.

— No i co, na deszczu ją pieprzyłeś? - spytał Al Bazeiges. Horty spojrzał do góry. Z nieba dolatywał jakby szum skrzydeł. Jest tak późno, więc chyba wszystkie morskie ptaki już śpią. A jednak to był ptak - na pewno jakiś puszczyk gnieżdżący się w wielkich składach.

— Nie. - Horty spóźnił się z odpowiedzią z powodu puszczyka.

Chciał powiedzieć, że jej nie tknął, ale oni oczekiwali czegoś wręcz przeciwnego. Zrozumieli jednak, że Horty nie pieprzył jej w deszczu.

-Chce mi się pić - oznajmił Horty.

Mężczyźni spojrzeli na puste szklanki.

— Chodźmy je napełnić do knajpy - zaproponował Doyen.

Po drodze do knajpy namówili się i postanowili, że tego wieczoru Horty będzie mógł pić tyle, ile zechce, za nic nie płacąc.

Taka była tradycja. Ten, kto opowiadał, miał tylko siedzieć i snuć swoją historię. Do innych należało pilnowanie, by jego szklanka ani przez chwilę nie była pusta, lampy nie pogaszone, a piec nie za zimny - bo to mogłoby zakończyć opowieść.

Horty łyknął cztery jałowcówki, a potem zaczął mówić. Wiedział, czego mężczyźni od niego oczekują.

Na stole położył fotografię Marii i wlepił w nią wzrok. Stał się własnym audytorium. Z jakąś przygnębiającą fascynacją zanurzył się w swoją historię. Pierwsze wymówione słowa profanacji sprawiły mu ból. A potem, w miarę jak kieliszki jałowcówki goniły jeden za drugim, rozkręcił się. Zachęcało go nieobecne spojrzenie Marii.

Powiedział, że zaczął ją rozbierać w pokoju, podczas gdy ona przesuwała palcem wskazującym po obramowaniu kominka, bawiąc się zbieraniem sadzy węglowej, którą statki pasażerskie wydmuchiwały aż tutaj. Odwróciła się do niego, błagając, żeby niczego nie robił, ale on ją całował. Dzięki pocałunkom Zoe opowiadał ze szczegółami, jak się do tego zabrał. No i Maria zmiękła. Stała się wiotka i gorąca. A potem odsunęli się powoli od kominka i podeszli do łóżka.

Słyszeli tysiące drobnych odgłosów hotelowych poprzez zbyt cienkie ściany. Rurami nieustannie płynęła woda. Trzaskały zamki walizek. Ktoś zmęczony wsunął buty pod szafę i położył się z westchnieniem ulgi. Kobiety zapraszały się z pokoju do pokoju i zachwycały toaletami zabranymi w podróż. Missis Chancellor kręciła się tam i z powrotem i proponowała pożyczenie flakonu wywabiacza do plam albo lokówek. Stukały okna. Ludzie otwierali je i z niepokojem spoglądali w deszczowe niebo. Zastanawiali się, czy nie byłoby lepiej poczekać, aż wiosna ustali się na dobre, i dopiero wtedy przepływać ocean.

No więc - powiedział Horty - nie śmieli wsunąć się do łóżka z obawy, że zacznie skrzypieć. Pozostali na stojąco. Zrobili „cicho, sza!”, kładąc sobie nawzajem palce na wargach. Spoglądali na drzwi, za którymi bez przerwy kręcili się ludzie, a jakaś kobieta nawet się o nie oparła i długo śmiała się. Nie wiadomo dlaczego. W pewnym momencie przestali się całować. Po chwili Maria otworzy-

ła usta i wessała palec Horty'ego, a on poczuł pod wskazującym palcem, jak pulsuje giętki i miły język. Zwróciła mu cały wilgotny palec. Pośpiesznie zaczął nim pieścić własne wargi zwilżając je śliną Marii.

Czarna Banda przerwała partię domina i w milczeniu skupili się przy stoliku Horty'ego. Wkroczyli na nie swoje terytorium, ale mimo to ludzie z doków pozwolili im zbliżyć się, ponieważ jdótnia przerwałaby Horty'emu, a oni tak bardzo chcieli dowiedzieć się, jak wyglądała Maria prawie naga. Doyen pilnował tylko, żeby Czarna Banda nie tykała jałowcówki.

Maria miała na sobie dwie halki - zamyślał Horty. - Jedną halkę białą, a drugą bladoniebieską. - Zapytali go więc, czy dowiedział się dlaczego. Powiedział, że nie wie, gdyż pierwszy raz rozbierał kobietę noszącą dwie halki. Czy to mu przeszkadzało? I tak, i nie. Uważał halki za raczej ładne, bo przypominały kwiat z wszystkimi płatkami. Maria była delikatna i na pewno sądziła, że w dwóch halkach jej sylwetka stanie się bardziej powabna.

— Chyba nie była chuda? - zaniepokoili się.

— Nie, nie można powiedzieć, że chuda - uspokoił ich Horty - ale i nie za bardzo przy kości. To widać na fotografii.

Pochylając się nad portretem, przepychali się brodami. Ich gorące oddechy zmatowiły błyszczącą powierzchnię zdjęcia.

Horty opisał także pokój 28, ale inaczej, niż wyglądał. Uznał, że jedyne okno wychodzące na ponury mur Harston and Harston absolutnie nie pasuje do nocy, o jakiej opowiadał. Wymyślił więc bowwindow, a jako że nie znał tego określenia, powiedział po prostu: „wysunięte okno". Skierowane było na ulicę bardzo ładnych ceglanych domów z białymi drzwiami i miedzianymi kołatkami w kształcie ryb, które lśniły w niebieskawym świetle gazowych lamp. Z ogrodów dolatywał zapach wilgotnych bukszpanów. Słychać było bawiące się dzieci. Horty pamięta zwłaszcza łagodny i monotonny stukot skakanki i nakładający się na to uiny dźwięk, przypominający warkot bębna. Ten odgłos wydawały lakierowane buciki dziewczynki skaczącej przez skakankę.

— Skoro dzieci się bawiły - odezwał się jakiś ostrożny głos ~ to jeszcze nie była noc? Dlaczego więc Anglicy pozapalali gazowe latarnie? A może opowiadasz nam historię, która wcale się nie zdarzyła?

— Może Horty nigdy nie spotkał tej dziewczyny? - powiedział jakiś palacz. - Nie mówiąc już o spaniu z nią? Fotografia może być tylko jedną z tych okropnych reklam dla zatraconych statków...

— Była noc - potwierdził Horty. - Całe miasto świętowało.

— Święto, o jakim nie mamy pojęcia - poparł go doyen.

Być może Al Bazeiges również nie wierzył w opowieść

Horty'ego, ale uważał, że jest to piękna historia, godna sobotniego wieczoru „Pod Głową Żółwia". Chciał wiedzieć, jak potoczyła się dalej.

— Al ma rację - powiedział Horty. - Tej nocy w Southamp- ton każdy robił, co chciał, nawet dzieci.

— Odwal się z tymi dziećmi - przerwał jeden z ekipy pilotów

— i z tym pokojem, i w ogóle z całym tym twoim Southampton. Stanąłeś przy dwóch różnobarwnych halkach do cholery, jeśli dobrze pamiętam kolory, i do tego trzeba wrócić.

— Ho, ho! - ciągnął dalej Horty - ale to, co jest pod halkami, tylko ja widziałem. Ja i ta piękna dziewczyna - dodał stukając palcem w zdjęcie Marii.

Alkohol po początkowym wrażeniu upojenia i euforii dawał uczucie nasycenia, a nawet prawie wstrętu. Powodem nie był tu jedynie smak jałowcówki. Splugawił Marię, oddał ją tym mężczyznom, których twarde ciała tworzyły wokół niego mur przeszkadzający oddychać. Każdy mógł dopowiedzieć resztę na swój sposób. On sam nie miał ochoty zgadywać, jakie uda i brzuch miała Maria. Wystarczyła mu ta odrobina jedwabistych nóg, którą zobaczył wystającą spod czarnej sukienki.

— Za dużo wypiłem - powiedział.

— Nie jesteś mężczyzną? - zapytał wysoki pilot.

— Mężczyzną tak - odpowiedział Horty - małpą nie.

Pamiętał małego gibbona. Pewnego dnia dokerzy ukradli go z frachtowca „Mountain Kerintji" z Sumatry. Przyprowadzili zwierzaka „Pod Głowę Żółwia" i dali mu pić, aż im zaczął drgać w rękach. W końcu zdechł na jednym z marmurowych stolików. Często bywało tak w sobotnie wieczory „Pod Głową Żółwia" i

w innych portowych tawernach. Śmierć wślizgiwała się między bawiących i do niej należało ostatnie słowo, bo zawsze do niej należy- Człowiek natomiast wchodzi do knajpy, aby ugasić pragnienie, a wychodzi z ustami bardziej suchymi niż wtedy, gdy do niej przychodzi.

Miał kłopoty z włożeniem zdjęcia do koperty z chińskimi znakami. Nie chciało się zmieścić. Niektórzy śmiali się z jego niezręczności. Horty powierzył kopertę patronowi tawerny „Pod Głową Żółwia", aby ją schował za kontuarem, wysoko nad wystawą z butelkami. Po czym wstał i wyszedł, chwiejąc się.

Kilku ludzi z Czarnej Bandy odprowadzało go przez jakiś czas. Niewątpliwie mieli nadzieję, że w upojeniu zacznie mówić do siebie, a oni w ten sposób dowiedzą się czegoś więcej o pokojówce z „Titanica".

Ale Horty odwrócił się i ciskał w nich kamieniami, traktując ich jak psy. Celował dość dobrze mimo że, sporo wypił. Kamienie rykoszetem odbijały się od bruku nabrzeża i toczyły aż pod stopy Czarnej Bandy. Spod niektórych groźnie tryskały iskry.

Gdyby wieczór był taki jak inne, palacze rzuciliby się, aby go pobić. Kamieniami, którymi w nich ciskał, tymi kamieniami tłukliby go, starając się strzaskać luki brwiowe i wybić zęby. Było ich tylu, że Horty nie miałby żadnej szansy się wywinąć. Zasypaliby go razami aż do utraty świadomości. Następnie porzuciliby na wpół martwego. Robotę Czarnej Bandy dokończyłyby szczury oraz kraby, które czepiając się alg, wyłaziły z morza i wspinały się na nabrzeże. Nikt nie wiedział, w jaki sposób wyczuwają one skrwawione ścierwo na nabrzeżach.

Tej nocy dzięki historii, którą opowiadał Horty, chcieli wrócić do knajpy i usłyszeć jej koniec. Toteż Czarna Banda poprzestała na pogróżkach. W końcu poszli do siebie, na statki. Widać je było w oddali, ciemne i zastygłe niby powykręcane domy, stanowiące przedłużenie miasta aż na redę.

Horty odgadł, że nie zrobią mu nic złego. Śmiał się, widząc, jak odchodzą. Pokochał Marię jeszcze mocniej, gdyż w pewien sposób uratowała mu życie.

Kierując się w stronę Dolnego Miasta, przechodził przez wał i „babski port". Wiało, bo nic tu nie zatrzymywało wiatru. Łodzie rybackie, wciągnięte na plażę tak wysoko jak tylko się dało, spoczywały roztaklowane na skraju wydm. Szyprowie pozwalali, by kadłuby w naturalny sposób drążyły zagłębienia w piasku. Drewno pozostawało wówczas w chłodzie i nie niszczyło się za bardzo.

Morze cofnęło się. Horty uwolniony od smrodu knajpy „Pod Głową Żółwia” chciwie wdychał świeży i zarazem banalny zapach bijący od tej ogromnej przestrzeni szarego mułu. Czasami tu i ówdzie błyskała zdychająca ryba. Poczuł, jak w gardle rozpływa się i zamazuje cierpki smak jałowcówki. To mu nie wystarczało. Miał ochotę się odświeżyć. Zrzucił buty, związał je razem sznurowadłami, przewiesił przez ramię i poszedł wzdłuż brzegu morza. Przeciwstawiał falom całą siłę łydek i ud.

Przyszło mu do głowy, że w tej samej chwili „Titanic” również rozcina fale. Zastanawiał się, czy kajuta z sześcioma kojami, gdzie śpi Maria, jest wystarczająco blisko linii wodnej, aby dziewczyna mogła słyszeć, jak ocean chlupie o kadłub. Może Maria pokłóciła się z innymi pokojówkami o bulaj, ponieważ jedne chciały go otworzyć, żeby posłuchać szumu morza, a inne nie. Coś podobnego zdarzyło się w pociągu, którym kiedyś jechał, w związku z opuszczeniem okna, gdy trzeba było wywietrzyć fajczany zaduch.

Gdziekolwiek się jest, jakakolwiek byłaby prędkość, z jaką się podróżuje, nie sposób uniknąć agresywności ludzkiej, wzajemnej nienawiści należącej do porządku świata w sposób tak oczywisty jak przypływy i odpływy morskie. Nocą, po ciemku, jeszcze bardziej potęguje się poczucie pustki. Na ostrodze chroniącej redę przed zachodnim rozkołysem Horty zobaczył dwa dziko walczące koty. Tarzały się po molo, wzbijając kurz z wyschniętych morszczynów. Wypruwały z siebie flaki o coś, co prawdopodobnie niewiele było warte: jakiś martwy ptak lub jego gnijące resztki, które tak czy inaczej zatrują zwycięzcę.

Gdy jeden z kotów został zagryziony i wpadł do wody, a drugi zaczął umykać przypłaszczony do ziemi ciężarem i bezwładem zdobyczy unoszonej w pysku, Horty odwrócił wzrok i skierował na pełne morze. Zobaczył w oddali postać, która podobnie jak on szła ku morzu. Posuwała się jednak śmielej i woda sięgała jej już do brzucha. To była kobieta. Rękami przytrzymywała sukienkę zwiniętą powyżej pasa w wałek.

Horty poznał Zoe.

Odwrócona do niego plecami spoglądała na światła pozycyjne statków na redzie. Rozstawiła krótkie nogi i od czasu do czasu zanurzała rękę w morzu, jakby z wściekłością nagarniała fale na nagie podbrzusze.

Zimno przenikało Horty'ego do szpiku kości. Nie zważając na nic, wchodził głębiej w wodę, żeby do niej dołączyć.

Zoe usłyszała jego oddech. Odwróciła się:

— Ach, to ty?

— Tak, ja. Właśnie ja.

Zbaraniała i załzawiona patrzała na niego. Jeżeli zapyta ją, dlaczego płacze, odpowie, że to, co ma w oczach, to wcale nie łzy, lecz ochlapała ją fala. Horty jednak nie zadał pytania, więc poczuła się zobowiązana sama wyjaśnić, co tu robi:

— Batylda wszędzie rozpowiada, że widziała ławicę morświnów. Myślałam, że może i ja je zobaczę.

— Nie ma morświnów tak blisko lądu - wyjaśnił Horty.

— Nie - smętnie przytaknęła Zoe - nie, nie mogą tu być. Nie widziałam niczego podobnego do morświna.

— Zoe, tymi historiami z morświnami wywołasz śmierć.

Nie odpowiedziała od razu. Oparła się o niego, co znaczyło, że jest zmęczona i pragnie teraz wrócić na brzeg. Poprowadził ją. W końcu spytała:

— Słuchaj, nabuzowałeś się „Pod Głową Żółwia"?

— Postawiłem wszystkim chłopakom jałowcówkę, żeby oblać mój dźwig, rozumiesz? Wiem, jest późno. Wstyd mi, że już tak późno. Przepraszam, Zoe.

— Przewodniczący Simeon był dzisiejszego wieczoru — oznajmiła nagle.

— Czego chciał?

— A bo ja wiem? Niczego.

— Jeszcze coś przyniósł?

Zawahała się:

— Przyszedł z dobrym słowem. To wszystko. Ma dla ciebie dużo szacunku. Jeśli poradzisz sobie na dźwigu, mógłby cię przesunąć na mechanika na „Élise".

To była pogłębiarka. Pływała niezmordowanie po kanale, żeby umożliwić najciężej załadowanym statkom dobicie do nabrzeża. Mimo że „Élise” nie oddalała się nigdy od brzegu niż o kabel (185 m), jej załoga otrzymywała premię morską. Pogłębiarka kończyła pracę o zachodzie, a rozpoczynała o świcie. Czasami ludzie musieli spać na pokładzie i wtedy dostawali dodatkowe wynagrodzenie, tak zwane „rozłąkowe”.

Szli w milczeniu. Deptali morszczyny, a ich pęcherzyki pękały pod bosymi stopami. Zoe niekiedy wzdrygała się i przywierała do swego męża.

Przed domem Horty poczuł wciąż jeszcze snujący się zapach benzyny.

— Przewodniczący przyjechał automobilem - wyjaśniła Zoe, widząc, jak wciąga powietrze. - Któregoś dnia zabierze mnie na wieś. Chciałbyś przesiąść się na „Élise”, no nie? A więc dobrze. To wszystko jednak nie wyjaśnia, co robiłeś w morzu?

— To samo co ty.

— Morświny - mruknęła bez przekonania.

— Czułem się brudny - powiedział oschle. - Miałem ochotę wymyć się.

Zoe bała się przyznać, że odczuwała taką samą potrzebę po wizycie przewodniczącego. Dlatego robiła dygresję na temat Batyldy, która każe sobie zainstalować w domu bidet, w domu, gdzie zamieszka po ślubie ze Steuzem. Czy Horty słyszał coś na temat bidetów na „Titanicu”? Są czy nie ma? Prawda, że nie ma? Więc dobrze, jeśli nie ma ich nawet na najwspanialszym statku pasażerskim świata, Batylda Buren i tak ma zamiar zainstalować to u siebie.

Leżąc już w łóżku w zupełnej ciemności Zoe nie przestawała gadać wyłącznie po to, żeby się zagłuszyć. Wolałaby, żeby Horty zadawał jej dokładne pytania dotyczące Simeona. Rzeczywiście wystarczyłoby tylko jedno jasne pytanie, ale on nadal milczał leżąc z rękami splecionymi na karku.

—Jutro niedziela - powiedziała wreszcie. - Co masz zamiar robić?

— Nic, moja mała. Możesz iść na spacer, jeśli chcesz.

Jutro znowu zjedzą kawałek prosiaka. Potem Horty pocałuje żonę w skroń i skieruje się w stronę nabrzeży. Wejdzie do biura. Wie, że zawsze jest tam całą dobę stróż, który ma klucze od urządzeń portowych. Użyje pretekstu, że musi coś

sprawdzić, coś, co nie działa jak należy na „czternastce", na przykład jakiś łańcuch, co zeskoczył z trybiku. Stróż da mu klucz od dźwigu. Horty wejdzie cylindrycznymi schodami i usadowi się w wąskiej kabinie. Będzie tam siedział jak samotny drapieżnik wpatrzony w dal ze skrzyżowanymi nieruchomo kończynami i z lekko przymrużonymi oczami.

Około godziny trzeciej zobaczy słup kurzu unoszący się od strony Dolnego Miasta. To będzie automobil przewodniczącego, który przyjedzie po Zoe. Horty nawet nie drgnie. Poczuje jedynie przyspieszone bicie serca.

Jeśli spojrzy na słup kurzu, poczuje ból, ale jeśli natychmiast odwróci wzrok w lewo, zobaczy knajpę „Pod Głową Żółwia" zamkniętą w niedzielę i wyobrazi sobie fotografię Marii. Uspokoi się, bo pomyśli, że zobaczy ją jutro wieczorem po pracy i będzie mógł niezmordowanie przesuwać palcami po jej czarno-białej twarzy, w istocie bardziej białej niż czarnej, ponieważ dzięki obróbce fotograficznej stała się gładka i błyszcząca jak żadna inna.

Na ulicy La Villemarque słup kurzu zmniejszy się i zniknie. Przewodniczący prawdopodobnie zatrzymał wóz. Teraz patrzy, jak Zoe wychodzi z domu i biegnie do niego. Potem kurz wzbije się znowu, a jego pióropusz przesunie się prędko ulicą w stronę morza. Jadą do „babskiego portu" - pomyśli Horty.

Jak zwykle powinno tam być pełno niedzielnych spacerowiczów. Co za osobliwy pomysł! Stary zakochany mężczyzna prowadzi swoją metresę w miejsce, gdzie dzieciaki łowią krewetki. Dzieciaki są bardzo śmieszne w podkasanych porteczkach 1 te ich bony z poczerwieniałymi twarzami pod niebieskawymi woalkami, które biegają za nimi i je besztają. Nie istnieje miejsce mniej romantyczne. Nie mówiąc już o tym, że przewodniczący na pewno spotka tam małżonki armatorów. A one z kolei rozpaplają, że widziały go w towarzystwie takiej..., takiego... mniej niż zero. A może przewodniczący ma to gdzieś, że zobaczą go w towarzystwie Zoe? Wybrano go na dwa lata. Kadencja nie jest powtarzalna, więc ostatni raz stoi na czele armatorów. Nie musi już zabiegać o ponowną elekcję. Może zachowywać się jak mężczyzna świadomy tego, że jego dni są policzone, ale jeszcze jest zdolny do cieszenia się przyjemnymi chwilami i zdecydowany skorzystać wreszcie z tego wszystkiego, czego do tej pory sobie odmawiał.

Nawet nie będzie mógł jej pocałować - pomyślał Horty. Co niedziela w „babskim porcie" siedzi inwalida wynajęty przez władze miejskie i pilnuje, żeby nikt nie zachowywał się nieodpowiednio. Po pierwszej porannej mszy inwalida

instaluje długi sznur dzielący plażę na pół i wchodzący ze dwadzieścia metrów w głąb morza. Damy kąpią się po lewej stronie, a mężczyźni po prawej.

Dużo później Horty zobaczy, jak słup kurzu sunie ulicami Dolnego Miasta. I znowu zatrzyma się na chwilę przed jego domem, gdzie zacznie wirować, aż zniknie za szarą masą kościoła Świętego Andrzeja, by pojawić się dużo dalej, na wysokości miasta. Zoe będzie już w domu. Horty wreszcie będzie mógł wrócić do siebie.

Jeżeli zdecyduje się zadać jej pytanie, Zoe odpowie, że nic się nie stało. Jeśli już o tym mowa, w Southampton tym bardziej nic się nie stało. Jednakże Horty zdawał sobie sprawę, że wrócił stamtąd odmieniony.

Ta różnica to niewątpliwie prawie nic. A jednak zrobiła z niego mężczyznę tolerancyjnego, zdolnego do siedzenia przez całą niedzielę wysoko na dźwigu, potrafiącego myśleć o rzeczach w zasadzie obcych staremu dokerowi takiemu jak on: o luksusowym transatlantyku w drodze do Nowego Jorku i o tym, że jeżeli pewnego dnia przyprowadzi do „babskiego portu” młodą pokojówkę, inwalida puści w ruch swoją trzcinę, by mu zabronić trzymać ją za rękę.

WIECZOREM w poniedziałek, gdy trzej palacze z norweskiego parowca „Odda" weszli „Pod Głowę Żółwia", Horty siedział tam przy stoliku w głębi, dokładnie pod skorupą żółwia, któremu knajpa zawdzięczała nazwę.

Tego żółwia znaleziono wiele lat temu na piaszczystym wybrzeżu. Pochodził z ciepłych mórz. Nikt nigdy nie potrafił jednak wyjaśnić, skąd się tu wziął.

Żył jeszcze, gdy go znaleziono, a z oczu płynęły mu strumienie łez. Ludzie otoczyli żółwia, ale bali się dotykać. W końcu schował głowę w skorupę, bo chciał zdechnąć w ciemności. Ludzie nie byli pewni, czy zdechnie. Sądzili, że jest po prostu wyczerpany i uśnie. Z zapadnięciem nocy wznieśli wokół niego barykadę z desek dla ochrony przed bezdomnymi psami.

Wrócili rano, zanim poszli do pracy do doków. Zdechłe zwierzę przeraźliwie cuchnęło. Przeciągnęli je po piasku i wrzucili do morza. Mieli nadzieję, że będzie pływało i że zabierze je odpływ, ale zatonęło. Ze skorupy zaczął sączyć się lepki płyn. Wypływał i rozlewał się po powierzchni wody jak oliwa.

Na wybrzeżu zjawił się jakiś porucznik z „Congo". Poprosił, aby mu pomogli wyciągnąć żółwia na ląd. Powiedział, że jego palacze słyszeli o nim i zaofiarowali się poćwiartować go, a skorupę wyrzeźbić w formie afrykańskiej maski. Jeśli się im postawi butelkę, to po przybyciu do Francji zaniosą swoje dzieło do knajpy, która do tej pory nazywa się bardzo banalnie: Wielki Marsel (marsżagiel - żagiel rozpinany na marsrei).

Karaib przystał na taką wymianę. Słusznie rozumował, że rzeźbiony żółw przyciągnie marynarzy do jego zakładu.

A teraz żółw lśnił łagodnie nad Hortym. Doker pił jałowców- kę i wycinał kawałek kartonu. Chciał z niego zrobić ramkę do fotografii Marii.

Przyglądał się palaczom z „Oddy". Przypominali niektórych z Czarnej Bandy. Jedynie oczy mieli bardziej niebieskie. Podeszli do kontuaru jak ludzie spo-

kojni. Przybyli tylko po to, by wypić szklankę czy dwie. Natomiast Czarna Banda zaczynała zwykle od rundy po sali. Kolebali się jak niedźwiedzie i spoglądali na ludzi spode łba, prowokując ich nieprzyjemnymi uwagami.

Trzej Norwegowie nic nie mówili. Ich niebieskie oczy nikogo nie wyzywały. Wyjęli pieniądze i położyli na kontuarze. Nie określili dokładnie, co chcą pić. Wyglądało, jakby z góry akceptowali to, co tutaj podają. Czekając, aż szklanki będą pełne, oparli się o kontuar i znieruchomieli.

Horty'emu przywodzili na myśl obraz w kościele Świętego Andrzeja. To ciemne płótno, wyższe niż szersze, rozmiarów wyprostowanego mężczyzny, przedstawiało męczennika przeszytego strzałami. Przywiązany był do czegoś, co z równym powodzeniem mogło uchodzić za drzewo, ale i za marmurową kolumnę. Pęta były w widoczny sposób rozluźnione, więc ten człowiek mógłby się wyswobodzić i uciec. On natomiast pozostawał obojętny wobec łuczników przeszywających strzałami. Odważnie i dumnie wypinał w ich stronę pierś zbroczoną mieszaniną krwi i potu. Trzej Norwegowie też wysuwali do przodu szerokie piersi i spoglądali tak samo jak ten męczennik z obrazu. Byli zapatrzeni na coś w oddali, coś poza tym, co było widać w rzeczywistości.

Kiedy Karaib im nalał, wszyscy trzej ujęli szklanki takim samym powolnym i odmierzonym gestem. Powąchali alkohol, a jeden z nich powiedział:

— *Strong but tasty**[8]

Wznieśli szklanki w kierunku sali i zapowiedzieli, że chc wznieść toast, zanim wypiją.

— Przetłumaczę wam - powiedział patron knajpy „Pod Głową Żółwia".

Norwegowie mówili krótko. Horty słyszał, jak wymawiaj; słowo „Titanic". Pomyślał, że statek przybył do Nowego Jorki grubo przed czasem. Transatlantyk kompanii White Star ni został zbudowany po to, by bić rekordy prędkości, ale w razi spokojnego oceanu i sprzyjającego wiatru być może zdoła odebra błękitną wstęgę Atlantyku „Mauretanii" należącej do Cunarda

Ludzie z „Oddy", przechylając głowy do tyłu, opróżni! szklanki i odstawili je na kontuar. Wskazali na wszystkicl siedzących przy stolikach na sali:

---

[8] *' Mocne, ale dobre.

— *Pay yourself. The same for everyone there**[9].

Mulat wpatrywał się w nich uporczywie. Nie tłumaczył słóv i nie napełniał ponownie szklanek. Nawet nie zgarniał pieniędzy

W końcu powiedział niedowierzająco:

— Według tych ludzi „Titanic" zatonął. To się stało w nie dzielę wieczorem. Oni wypili za ofiary. A teraz chcą, żeb; wszyscy tu obecni z nimi wypili.

Karaib oszacował wzrokiem liczbę gości „Pod Głową Żół wia" i policzył pieniądze położone przez Norwegów na kon tuarze. Jako człowiek mocno stąpający po ziemi i tkwiąc] w rzeczywistości dodał:

— Mają za co postawić kolejkę. Chętnie wam naleję, jeżeli sii zgadzacie.

Nikt mu nie odpowiedział.

Opodal stolika Horty'ego dwie dziewczyny z ulicy Solido grały w taroka. Na widok wchodzących Norwegów przerwah partię. Jedna z nich szminkowała wargi, ostentacyjnie przesuwa jąc po nich językiem.

Palacz z „Oddy" podszedł do niej i zabrał jej pomadkę:

— *Sorry* - powiedział do dziewczyny - *but they don't under stand what we try to say**[10]

Wrócił do kontuaru i obszedł go dookoła. Na szerokim lustrze wiszącym za kontuarem wypisał grubymi, czerwonymi cyframi przypuszczalną pozycję zatonięcia statku. Ktoś powiedział:

— W pobliżu prądu labradorskiego, a może nawet w samym prądzie. Prawdopodobnie przyholują ten wielki statek do Hali- faxu. To nie tak daleko.

Jak wszyscy „Pod Głową Żółwia", również i ten człowiek sądził, że „Titanic" mógł mieć kłopoty przepływając w pobliżu ławic gór lodowych. Może nawet doznał poważnej awarii, ale naturalnie nie potrafił uwierzyć, że zniknął z powierzchni morza.

---

[9] * Stawiamy. To samo dla wszystkich.

[10] *Przepraszam, ale oni nie rozumieją, co chcemy powiedzieć.

Horty przestał wycinać kawałek kartonu. Nożyczki zboczyły z linii narysowanej ołówkiem. Na próżno usiłował wrócić do linii. Nożyczki drżały, ześlizgiwały się i cięły nie tam, gdzie należało.

Na kontuarze stało teraz rzędem ze czterdzieści kieliszków pełnych jałowcówki. Nikt nie wstawał i nie podchodził do nich. Pili tylko trzej Norwegowie.

Ci ludzie są z Czarnej Bandy, rozumował Horty, więc siłą rzeczy są źli. Jeśli nie chcieli wywołać burdy to dlatego, że wykombinowali inny niezawodny sposób zaszkodzenia. Są sprytni, ale jego nie nabiorą w żaden sposób.

Wbił czubki nożyczek głęboko w drewno stolika, które tkwiły tak, wibrując. Wziął zdjęcie Marii, wstał i przeszedł przez salę. Ci co siedzieli, odsuwali krzesła, robiąc mu miejsce. I unikali jego wzroku.

Zapamiętał wyrażenie, którego nauczył się od kobiety w zieleni na promie do Southampton. Duncan i ona często go używali. Kobieta wyjaśniła mu, że mówi się tak opuszczając partię, gdy wiadomo, że chwilowo nie jest się w stanie w niej uczestniczyć.

— Beze mnie - powiedział wychodząc.

Zapadła noc, tak jasna i spokojna, że światła miasta rysowały się w oddali wyraźnie, bez najmniejszej otoczki, jakby błyszczały za szklaną płytą. Najlżejszy powiew wiatru nie marszczył wody w basenie portowym. Odbijało się w niej potrójne światło latami przy zachodnim wyjściu.

Horty, zamiast pójść groblą do Dolnego Miasta, skręcił w stronę przedmieścia, gdzie znajdowały się biura kompanii morskich. Poszedł tak nie zdając sobie z tego sprawy, gdyż nie przypisywał temu najmniejszego znaczenia.

W miarę jak zbliżał się do miasta, zauważył, że coraz wręcej ludzi idzie wokół niego. Można by pomyśleć, że zmierzają do tego samego miejsca. Dotarli tak na ulicę Vendémiaire. Horty i pozostali tworzyli prawdziwy tłumek. Nikt nic nie mówił. Tylko rozlegał się rytmiczny tupot setek butów o bruk, jakby znużona armia zdążała do miejsca zakwaterowania.

Gdy dało się już rozróżnić ligustry na placu Cochinchine, pojawiły się pierwsze dorożki. Postawione budy zasłaniały tych, którzy siedzieli wewnątrz. Jechały bardzo szybko, a miedziane latarnie trzęsły się i migotały przy każdym

podskoku kół na nierównej drodze. One też kierowały się w stronę bulwaru, gdzie stały rzędem biura kompanii morskich.

Teraz Horty nie mógłby zmienić trasy, nawet gdyby chciał. Ze wszystkich stron ludzie naciskali go popychając w plecy. Na karku czuł ich przyśpieszone oddechy. Biegnące młode dziewczyny narzucały szale na ramiona starym kobietom, błagając, żeby się nie narażały i wracały do domu. One pójdą zamiast nich

— mówiły młode dziewczyny. Stare kobiety prędko chwytały szale i szły dalej, stukając obcasami po bruku.

W tłum wmieszali się żołnierze prowadzeni przez porucznika. Torowali sobie przejście kolbami karabinów. Otoczyli dwóch miejskich doboszy: Maciej Crepineau wykrzykiwał wiadomości na skrzyżowaniach Górnego Miasta, a jego bratanek Nataniel robił to samo w Dolnym Mieście. Nie przerywając marszu, Maciej i Nataniel uderzali w werble.

Porucznik przystanął na chwilę obok Horty'ego, gdyż zbierał swoich ludzi. Doker zacisnął palce i popukał w czarny, długi, skórzany but kiwający się tak blisko twarzy, że mógł wdychać jego mocny zapach. Uczynił ten gest z respektem, trochę tak jak stuka się do drzwi.

Porucznik spojrzał na niego w dół.

— Przepraszam - powiedział Horty zdejmując czapkę - przyszedłem tutaj z tymi ludźmi przypadkowo, ale jak wysyłają wojsko, to może nie wolno tu przebywać?

Porucznik oznajmił, że otrzymał rozkaz ochrony biura kompanii żeglugowej White Star, ponieważ obawiają się scen straszliwej rozpaczy, gdy przedstawiciele angielskiej kompanii ogłoszą oficjalnie o katastrofie „Titanica".

— Ale statek nie zatonął - oznajmił Horty - przyholowano go do Halifaxu.

— Kto tak powiedział?

— Nie wiem dokładnie kto, pewnie jakiś człowiek w knajpie „Pod Głową Żółwia".

— W porządku - odparł porucznik. - Niech pan spróbuje puścić tę pogłoskę, przynajmniej zanim nie dotrzemy do bulwaru.

Spoglądał na Horty'ego życzliwie. Nie wyglądał na człowieka, który sądzi, że ten robotnik może mieć cokolwiek wspólnego z tragedią „Titanica".

Uderzył konia piętami po bokach i oddalił się przynaglając swoich ludzi do pośpiechu.

Horty miał wreszcie coś do roboty. Przestał być źdźbłem słomy porwanym prądem milczącej ciżby. Czuł, jak rozdziera się ta gęsta mgła, w której grzązł od chwili, gdy trzej Norwegowie weszli „Pod Głowę Żółwia". Ogarnął go wściekły żal, że przywiązał nadgarstki Marii do balustrady schodów na murze fabryki Harston and Harston. Dla dziewczyny byłoby lepiej, gdyby w panice spadla ze schodów. Zrozumiał teraz, jak bardzo musiał być dla niej nieznośny, gdy przywiązywał ją do kawałka żelaza, nie dając jej żadnej możliwości ruchu. Czuł się tak, jak gdyby on sam został przytwierdzony do tej ciżby aż do chwili przybycia porucznika.

Odwracając się do tłumu, podniósł ramiona i zawołał:

— Nie obawiajcie się! „Titanic" jest w drodze do Halifaxu!

Wcale go nie słuchano. Wymijano go, a raczej popychano.

— Może spuścili szalupy na wodę - wrzeszczał Horty - i je natychmiast wyłowią ze wszystkimi w środku!

Jakaś kobieta stanęła przed nim. Spoza śliwkowej woalki przezierała delikatna i blada twarz. Kobieta wspierała się na trzcinowej, angielskiej lasce. Horty poznał ją. To była Joanna, baronowa de Waltorg, właścicielka małego pałacyku na skraju lasu Halphen. Las spłonął, a wraz z nim spora część pałacyku. Jej mąż uciekł jak oszalały i nigdy nie powrócił. Świadectwo o wdowieństwie uzyskała przed upływem ustawowego czasu, dzięki politycznemu wsparciu. Joanna w dalszym ciągu zamieszkiwała ruiny w pobliżu skamieniałych drzew. Hodowała węgorze w tym, co pozostało ze stawu otoczonego dumnymi fontannami. Sprzedawała je na piątkowym targu na straganie nakrytym jednym ze wspaniałych obrusów7 będących niegdyś częścią jej ślubnej wyprawy. Mimo że nie miała nic wspólnego z ludźmi morza, armatorzy zapraszali ją na swój bal dla dodania mu splendoru. Horty często marzył, żeby z nią zatańczyć. Tego roku, gdy w końcu zdecydował się jej ukłonić i poprosić ją do tańca, odmówiła, pokazując, że teraz już musi podpierać się laską. Mruknęła: „Chyba, że zarzucisz mnie na ramiona jak przed chwilą tego cielaka?" Zaproponowała, aby odwiedził któregoś dnia ru-

iny w lesńj Halphen, wtedy pokaże mu, jak łowi, obdziera ze skóry i wędzi węgorze. Horty powiedział o tym Zoe, a ta się wściekła: „Idź tam, a wrócisz stamtąd biegiem, aż będziesz się bił piętami w zadek! Horty, przecież to dziwka! Przeleciał ją cały departament!”.

Tego wieczoru, w chłodnej ciemności, Joanna de Waltorg stała przed nim i tchnęła mu w twarz ciepłem oddechu:

— W co ty się mieszasz, mój biedaku? W czyim imieniu to robisz? Widziałeś, jak statek odpływa, ale nie było cię na nim, kiedy to się stało.

— Co się stało, madame? Nic takiego się nie stało.

— Poszedł na dno - powiedziała Joanna,

Wskazała na ciemne i groźne budynki kompanii morskich wzdłuż bulwaru wyglądające niby ściany fortecy:

— Zaczęli od tego, że powiedzieli o uratowaniu wszystkich. Powtarzali to do znudzenia całe przedpołudnie w Southampton, w Cherbourgu, w Nowym Jorku i tutaj tak samo. Ale w końcu telegraf pracuje. Dzisiejszego wieczoru zaśpiewają inaczej, zobaczysz.

Próbowała trzymać się, ale Horty widział poprzez śliwkową woalkę ślady łez na jej twarzy. Zapytał więc:

— Madame, czy na statku był ktoś z pani znajomych?

Odpowiedziała, że owszem, pewien Szkot, młody lord z klanu McLeod. Podczas niedawnego pobytu we Francji odwiedził las Halphen, albowiem myślał o odkupieniu spalonego pałacyku i odrestaurowaniu go dla jednej ze swoich córek, Marjorie. Istniał tylko problem pieniędzy. Lord i jego córeczka wsiedli na „Titanica” w nadziei zapoznania któregoś z amerykańskich bankierów - prasa zapowiadała ich pobyt na pokładzie.

— Ja też miałem kogoś na tym statku - powiedział Horty.

Wyjął zdjęcie Marii wsunięte za bluzę z obawy przed

tłumem.

Joanna de Waltorg pośpiesznie rzuciła na nie okiem:

— Czy to przypadkiem nie pokojówka? Dawniej nasze były ubrane podobnie. A więc ona nie żyje. Zrozum to. Ratowali najpierw kobiety i dzieci.

— Dobrze - przytaknął Horty - ale przecież to też jest kobieta!

— Ona się nie liczy.

— Nie liczy się? - niedowierzająco spytał Horty.

— Nie liczy się naprawdę. Jeśli nie uratowali Marjorie McLeod, czemu mieliby się przejmować jakąś pokojówką?

Znowu zaczęli iść. Ponieważ oboje mieli powiązania ze statkiem, Joanna de Waltorg wsparła się familiarnie o ramię Horty'ego. Posuwali się bardzo wolno ze względu na jej trudności z chodzeniem. Byli wśród ostatnich przybyłych pod balkon kompanii White Star. Słyszeli już bębny. W oknach zapłonęły światła. Chyba ktoś wyjdzie z zawiadomieniem.

Joanna de Waltorg płakała. Od czasu do czasu głaskała ramię Horty'ego. Unosiła śliwkową woalkę i przyciskała do oczu zaciśnięte pięści, tak jak robią to dzieci.

— To była taka śliczna, mała dziewczynka - powiedziała.

Po drodze Horty'emu przyszło jednak do głowy, że Maria prawdopodobnie nie żyje. Ta myśl narodziła się bardzo precyzyjnie; miał teraz wszystko przed oczami. Ale nie pozostała tam długo. Ledwie sformułowana obsunęła się do gardła, gdzie wywołała do tego stopnia nagły obrzęk, że miał wrażenie, jakby coś przeszkadzało mu przełykać ślinę, a nawet wdychać powietrze. Sądził, że się dusi. W końcu myśl o śmierci Marii opuściła gardło i przetoczyła się do przełyku, gdzie również wywołała skurcze i uczucie pieczenia. Następnie jak rzeka zmierzająca do ujścia rozpłynęła się po całej piersi Horty'ego i promieniowała w niej, paląc żywym ogniem.

W zasadzie ogień to coś lekkiego, co tańczy ponad materią, którą pochłania. Ogień trawiący Horty'ego był jednak nieskończenie ciężki.

Kilka sekund później poczuł to w podbrzuszu i w nogach. Mrowienie ogarnęło nogi, aż ugięły się pod nim kolana.

Joanna de Waltorg musiała go podtrzymać.

Myśl o śmierci Marii nie wyszła z Horty'ego stopami, tak jak stałoby się, gdyby przeszył go piorun. Ta myśl znowu podeszła w nim do góry tą samą drogą, którą się obsunęła, i znowu wywołała podobne sensacje.

Wróciła na miejsce za czołem, za oczodołami, tam, skąd wyszła.

Teraz wyglądała inaczej. Tworzyła obrazy tym bardziej nieznośne, im więcej było w nich coś uspokajającego. We wszystkich możliwych ujęciach pokazywały młodą kobietę w czarno-białym ubraniu, bez butów, którą pochłania morze. Towarzyszy jej druga młoda osoba o niewyraźnych rysach. Czyżby była to Marjorie McLeod? W głębi obrazu toną inne ciemne przedmioty z miękkością właściwą ciężkim rzeczom wrzuconym do wody, toną, kiwając się w głupi sposób. Niektóre osoby gubią poszczególne fragmenty ubrania, na przykład halki, ciemne halki, rozszerzające się ponad nimi jak parasole meduz. Wszyscy mają twarze już posiniałe i opuchnięte. Horty widywał takie twarze u topielców. Tylko Maria jest taka sama, jaką poznał. Może jest trochę bardziej przemoczona, ale włosy pływają wokół niej swobodnie. Nie przykleiły się do gładkiej figury i nie włażą jej do ust. Wielkie oczy Marii są wciąż otwarte.

Biura kompanii żeglugowej White Star składały się z jednego przeszklonego baraczku, który z powodzeniem nadawał się na szewską budę. Na parterze znajdowały się wąskie drzwi. Tego wieczoru zdjęto z nich dla bezpieczeństwa klamkę, żeby uniemożliwie tłumowi wtargnięcie do środka. Witryna prezentowała kilka litografii liniowych statków pasażerskich. Były zbyt długo wystawione na światło dzienne, aż w końcu wypłowiały.

Wzdłuż piętra biegł balkon z kutego żelaza. Umocowano na nim herb kompanii i trzy maszty do wciągania flag: czerwonej z białą gwiazdą - flagi „White Star", francuskiej i Zjednoczonego Królestwa.

Jakiś człowiek wyjaśniał z balkonu okoliczności katastrofy i składał oficjalne kondolencje w imieniu kompanii. Otoczyli go żołnierze dla ochrony przed szemrającym tłumem. Miał coś z króla ogłaszającego abdykację, a przecież był to tylko niski rangą urzędnik, częściej noszący szary fartuch niż surdut. Surdut przywdział tego wieczoru na znak żałoby. Jego matka była Irlandką, toteż mówił biegle po angielsku. Niewątpliwie tej umiejętności zawdzięczał przywilej reprezentowania interesów kompanii w tym mieście frachtowców, dokąd statki pasażerskie zawijały jedynie sporadycznie, chroniąc się przed sztormem bądź dla usunięcia jakiejś awarii.

Gdy przemawiał, podrzędni pracownicy ustawiali na trotua- rze wysokie tablice i przyciskali je oparciami krzeseł. Na tablicach wypisano kredą nazwiska osób uratowanych przez statek pasażerski „Carpathia", należący do kompanii Cunarda, który pośpieszył w środku nocy na miejsce tragedii.

Nie figurowało tam nazwisko Marii Diotret. Natomiast Marjorie McLeod wymieniono jako zdrową i uratowaną. Horty chciał teraz, żeby Joanna de Waltorg odczepiła się wreszcie od niego i nie udawała wariatki. Czy ona nie potrafi żyć inaczej, jak tylko nieustannie próbując przeniknąć do tego czy innego klanu? Oddaliła się od Horty'ego i dołączyła do niewielkiej grupy osób mających krewnych lub przyjaciół wśród uratowanych. Ci ludzie śmiali się i puszyli tak, jakby odnieśli jakieś zwycięstwo. Pokazywali palcami na tablicach nazwiska swoich ocalonych i powtarzali je niezmordowanie półgłosem. Joanna de Waltorg chodziła od jednego do drugiego, oferując ruiny swojej poczerniałej kaplicy w lesie Halphen. Proponowała, aby tam urządzić mszę dobroczynną, a wychodzącym po mszy rozdawać poświęcone ciasteczka.

Tłum zaczął się rozpraszać. Wielu ludzi poszło na bulwar, aby tam dowiedzieć się czegoś więcej. Bardzo niewielu było osobiście dotkniętych tragedią. Wszystko w zasadzie odbyło się prawidłowo - mówiły stare kobiety - ci angielscy armatorzy postąpili dobrze i w gruncie rzeczy nie musieli wygłaszać przemówienia z balkonu w mieście mającym między Bogiem a prawdą bardzo niewiele wspólnego z „Titanikiem".

Żołnierze także odeszli. Porucznik zsiadł z konia i prowadził go za uzdę. Kepi trzymał pod pachą. Spoglądał w gwiazdy

nazywał je po kolei wskazując swoim osłupiałym ludziom.

— Mógłbym wstąpić do marynarki - powiedział porucznik.

Horty został sam przed biurem. Nikt nie zamierzał pytać go, na co jeszcze czeka. Zresztą zapytany zapewne odpowiedziałby, że nie ma pojęcia. Po prostu nie mógł stamtąd odejść. To wszystko.

Okno na piętrze zamknięto i pogaszono światła. Jakiś urzędnik wrócił na balkon i opuścił na znak żałoby trzy flagi. Zauważył Horty'ego znieruchomiałego na wąskim chodniku. Pozdrowił go z czarującą uprzejmością, ponieważ był to zupełnie podrzędny urzędnik, nie mający jeszcze czternastu lat.

— Niech pan zaczeka! - zawołał Horty.

Zazwyczaj mówił do dzieci na „ty”. Ale ten młodociany urzędnik był au courant wydarzenia tak straszliwego, że zyskiwał przez to coś w rodzaju autorytetu.

— To koniec - powiedział urzędnik. - Nie ma już niczego więcej do oglądania.

Dał znak Horty’emu, żeby odszedł, charakterystycznym gestem spotykanym w płóciennych jarmarcznych budach, gdy trzeba uprzątnąć arenę między jedną a drugą walką.

— Czy już nic więcej nie zostanie ogłoszone? - dopytywał się niecierpliwie Horty.

— Co ogłoszone? - powiedział chłopak. - Zawiadomiono wyraźnie, że nikt nikogo nie stracił w każdym razie w tym mieście. Szczegóły będą jutro w gazetach i tam będzie można się upewnić.

Rozwinął jeden ze sztandarów omotany wokół masztu, po czym zniknął.

Jakiś mężczyzna wyszedł z cienia i zbliżył się do Horty’ego. Był nim Włoch Sciarfoni. Czasami pomagał cumować statki, gdy brakowało człowieka w załodze pilotów. Wciąż włóczył się po tłustym bruku albo, jedząc kozi ser i czekając, aż go zawołają, tkwił na siodełku starego roweru, którego koła bez opon zazwyczaj zaklinowywał między szynami kolejowymi.

Trzymał w garści zmięte banknoty. Bez słowa wprowadził Horty’ego pod światło reflektora i pokazał mu pieniędze:

— Popatrz. Możesz je mieć, jeśli dasz mi coś w zamian.

Horty spoglądał na niego w milczeniu, oczekując na dalszy

ciąg. Miał się na baczności przed Włochem nie cieszącym się na nabrzeżach dobrą reputacją.

— Kupuję fotografię tej małej - powiedział Sciarfoni.

Zaszeleścił banknotami i dodał:

— Po co ci ona teraz? Chyba po to, by sobie sprawiać ból?

— A tobie po co? - zapytał Horty.

Włoch popluł w wolną rękę i zwilżył długie wąsy:

— Znasz mnie. Zawsze lubiłem piękne rzeczy. Jeżeli będziesz nosił portret za koszulą, to będzie wyglądało trochę tak, jakbyś spał na grobie dziewczyny. Psy tak robią. A ty nie jesteś psem.

Sciarfoni miał rację. Teraz, kiedy Maria utonęła, Horty nie obawiał się przynieść fotografii do domu. Noszenie jej właśnie byłoby o wiele gorsze niż kupienie u handlarza z wraków przedmiotów pochodzących z katastrofy, w której zginęli ludzie. Maria spoglądała ze zdjęcia na Horty'ego. Było w tym coś nieodpowiedniego, jak gdyby nieboszczykowi nie zamknąć oczu.

— Przypomnisz ją sobie jeszcze lepiej - nalegał Włoch.

— Dopóki przechowywałem portret mojej matki, dopóty nigdy nie wzywała mnie swoim głosem. A teraz, gdy portret przepadł, wystarczy, że tylko wymówię jej imię: „mamma, mamma Agostina", i od razu ją słyszę. Odpowiada mi, jakby tu była. Jestem pewien, że ty też możesz ją słyszeć, nie?

— Nie - mówi Horty - nie słyszę twojej matki. Umarli są umarłymi. Zjeżdżaj!

Wolał, żeby sprawy pozostały bez zmian, oddzielone jak ziemia i morze. Tak było mniej rozpaczliwie niż wyobrażenie sobie Marii błądzącej we wszechświecie, gdzie nie mógł do niej dołączyć. Nie wiedział, czy tam byłaby zbawiona, czy potępiona. Tam prawdopodobnie nie było nikogo, komu wpadłoby do głowy zaoferować jej pokój i łóżko, gdy będzie skonana, czy przewiązać oczy w razie zawrotu głowy.

Horty nigdy nie znał nikogo wystarczająco dobrego, kto miał prawo domagać się wiecznego szczęścia, ani nikogo wystarczająco złego, kto zasługiwał na wieczne potępienie. Potrzebne było coś pośredniego. Tym czymś było życie. Dokładnie tak — życie. No więc, po co to wszystko po śmierci niby miało istnieć, jeśli miało rozpocząć się tak samo?

Słyszał, że podobno tonący, tuż przed utratą przytomności, doznają uczucia głębokiego odprężenia, coś takiego, co da się porównać do uczucia w chwili usypiania po wyczerpującym dniu. Maria na pewno nie wyobrażała sobie, że tonie. Tylko nagle pomyślała, że jest wyczerpana.

Wyjął zdjęcie zza koszuli. Spojrzał na nie po raz ostatni.

— I tak nie zobaczyłbym więcej tej kobiety. Po tej podróży, czy po innej, pozostałaby w stanie Maine w Ameryce.

Dla człowieka takiego jak Horty zarówno śmierć, jak i stan Maine były w pewien sposób terytoriami niedostępnymi.

— Trzymaj - powiedział, podając zdjęcie Sciarfoniemu i szybko chowając pieniądze Włocha do kieszeni.

Przechodząc przez plac Cochinchine już żałował, że oddał zdjęcie Sciarfoniemu. Miał lepszych przyjaciół „Pod Głową Żółwia". Jeden z nich byłby może nawet zadowolony, mając portret Marii.

Ten przyjaciel włożyłby fotografię do albumu razem z innymi. Wiele lat później jego wnuki wyjęłyby zdjęcie, które przechodziłoby z rąk do rąk. W niedzielę zebrałaby się rodzina i zaczęłaby wspominać:

— Tak, to pokojówka z „Titanica". Dzisiaj miałaby prawie sto lat.

Ktoś powiedziałby:

— To już dokument, z pewnością niebezcenny, ale przecież wzruszający. Prawda, że wzruszający?

— Bardzo wzruszający - przytaknąłby ktoś inny.

— Myślicie, że to coś warte? Przecież ta kobieta jest dla nas obca. Chcę powiedzieć, że to inne uczucie, niż to gdybyśmy próbowali sprzedać fotografię naszego wuja Sacher-Pascha.

Może więc portret Marii skończy w witrynie jakiegoś antykwariatu. A może zreprodukują jej delikatną twarz na kartach pocztowych w tysiącach egzemplarzy. A jeśli ktoś kiedyś napisze dzieło o historii „Titanica", na pewno nie omieszka zamieścić portretu Marii z następującym podpisem: „Jedna z łazienek statku - młoda pokojówka usługująca w pierwszej klasie - częściowo widoczna kotłownia".

Horty przystanął na środku placu. Było bardzo zimno. Jeszcze tak niedawno zdjęcie Marii przyciśnięte do piersi chroniło przed lodowatym powiewem wciskającym się między koszulę a ciało. Zrozumiał, że sprzedając fotografię pokojówki popełnił świętokradztwo.

— Sciarfoni! - wrzasnął. - Wracaj, Sciarfoni!

Jedyną odpowiedzią była cisza. Niedawno minęła północ,

Horty powiedział już spokojnie: s ;; - Sciarfoni, a więc ja przyjdę do ciebie.

Włoch żył w zachodniej części miasta nazywanej ironicznie Republika. Ci, którzy tam mieszkali, byli zbyt biedni, żeby uczestniczyć w jego życiu. Tworzyli pewien rodzaj bractwa znajdującego się poza prawami społecznymi. Gnieździli się w ruderach rozsianych wzdłuż wydm, zbudowanych częściowo z wielkich wywróconych do góry dnem barek z kilem sterczącym do góry. Drzwi i okna powycinali w kadłubie, które czasami - dla lepszej izolacji - pozatykali smołowanym papierem, paprociami i słomą.

Z barek przypominających stado wielkich osiadłych na mieliźnie zwierząt, pomrukujących nocą, dolatywało chrapanie.

Jedyne morskie wyposażenie, jakim jeszcze dysponowali ci nędznicy, nie było już użytkowane zgodnie ze swym pierwotnym przeznaczeniem. Drób i kilka królików spało w klatkach na skorupiaki. Tu i ówdzie sznurowe drabinki pełniły funkcję schodów. Sieci służyły za zasłony, a czasami za kołyski dla najmłodszych dzieci. Bieliznę prali tu przed drzwiami w starych beczkach po solonych rybach, a potem suszyli na sznurach do łapania węgorzy rozciągniętych pomiędzy wbitymi w piasek dwoma długimi wiosłami. Długie łańcuchy kotwiczne, sczepio- ne razem i zagłębione w piasku, hamowały przesypywanie się wydm.

Horty nie miał trudności z odnalezieniem kadłuba, pod którym Sciarfoni urządził swoją norę. Wznosiła się nad ściankami z kamienia i górowała lekko nad innymi. Pomimo późnej nocy tylko z niej spoza źle założonych zasłon sączyła się odrobina światła.

Depcząc jeszcze ciepły popiół z morszczynów - palonych przez kobiety z Republiki, żeby wydobyć z nich sodę - Horty zbliżył się i patrzył.

Wszędzie pęki wikliny i stosy powywracanych rzeczy, a pośród tego wszystkiego do połowy nagi Sciarfoni, który się onanizował. Rozwalił się na klepisku, a członek wcisnął pomiędzy udo i wewnętrzne zagłębienie prawej dłoni. Wstrząsały nim spazmy jak epileptykiem. Przed oczami umieścił portret Marii. Czasami obracał się i otwartymi ustami natrafiał na fotografię, wydając taki sam cichy odgłos jak nocna ćma obijająca się o szkło lampy.

— Sciarfoni - jęczał Horty - nie rób tego, proszę cię, Sciarfoni...

Ale Włoch nic nie słyszał, gdyż zaczynał charczeć.

Horty'ego zalała fala obrzydzenia. Poczuł, jak coś gorzkiego podchodzi mu z brzucha do gardła.

Znalazł krótką i masywną kotwicę. Chwycił ją, rozbujał i strzaskał okno. Odłamki szkła i drewna posypały się na Sciarfoniego. Ten wyprostował się zaczerwieniony.

Horty błyskawicznie rzucił się przez wybity otwór. Wylądował na klepisku na brzuchu. Włoch natychmiast znalazł się na nim. Okładał go pięściami i walił piętami po żebrach. Teraz z kolei Horty skręcał się na ziemi i rozpaczliwie próbował złapać jedną nogę Sciarfoniego, aby go pozbawić równowagi. Sciarfoni zapamiętał się w biciu, tak że nie uważał na wielkie ręce Horty'ego, ściskające go jak nożyce. Nagle runął. Walnął karkiem w coś podobnego do drewnianego koryta, na którego dnie w słonawej wodzie pełzało kilka krabów.

Horty ogłuszony razami Włocha nie od razu podniósł się z klepiska. Wielkie oczy Marii były w niego wpatrzone. Na zewnątrz zaczęły głośno szczekać psy.

Horty czekał skulony w kącie odwróconej barki, aż Sciarfoni odzyska przytomność. Zgasił lampę ze strachu, że ktoś przyjdzie zobaczyć, co się dzieje. Pomimo ujadania psów rybacy z Republiki pozostali w łóżkach.

Wyjął pieniądze, które dostał od Włocha, i położył mu na brzuchu, tak żeby mógł je przeliczyć wzrokiem i przekonać się, że Horty nie schował do kieszeni ani jednego banknotu.

— Ja ci tego nie zpomnę - wymamrotał Sciarfoni. - Nie, nie zapomnę tego, co mi zrobiłeś. Któregoś dnia zabiję cię.

— W porządku - powiedział Horty. - To była zła noc dla wszystkich.

Już minęła mu złość i nie czuł niczego oprócz ogromnej litości dla siebie, dla Marii i dla Sciarfoniego.

Przed wyjściem szukał kilku uspokajających słów. Zapalił lampę. Rozumiał Sciarfoniego. Każdy mężczyzna biedny czy bogaty, który zobaczy tę fotografię, nie zdoła powstrzymać się od chęci trzymania jej w rękach i od marzeń.

Chiński fotograf popisał się zdumiewającą sztuką. Uwiecznił na zawsze Marię jako osobę pociągająca i nieprzystępną zarazem. Wykonanie zdjęcia zajęło mu zresztą tylko parę chwil. Horty pomyślał z zazdrością, że w ciągu tych kilku sekund, kiedy Chińczyk spoglądał przez obiektyw aparatu na nieruchomą

odwróconą do góry nogami Marię, dowiedział się o niej więcej niż on sam w czasie długich godzin tej nocy, którą spędził obok niej w Southampton.

Sciarfoni przysunął się bezszelestnie do swojego legowiska. Pogrzebał w morszczynowej ściółce i wydobył nóż. Zbliżał się do Horty'ego.

Horty uciekł przez wybite okno, zostawiając za sobą Sciarfoniego, który przeklinał go po włosku.

Kiedy szedł przez Republikę, towarzyszyło rrlu głośne ujadanie psów. Wiele razy upadał, potykał się o wystające z ziemi łańcuchy. Drapał twarz o wielkie, rosnące na piasku osty. Ale teraz już nie było mu tak zimno, bo znowu przyciskał do piersi fotografię Marii.

Nie mógł jednak wrócić na ulicę La Villemarque, mając ten portret przy sobie. Cokolwiek by wymyślił o Marii, a nawet gdyby powiedział całą prawdę, Zoe mu nie uwierzy.

Być może pomyśli, że Maria to dziewczyna z ulicy Solidor, przebierająca się za pokojówkę, aby zwabiać mężczyzn. Zoe pójdzie tam, odnajdzie tę dziewczynę i ukarze w taki lub inny sposób. Albo raczej ukarze Horty'ego, tak jak raz już zrobiła na początku ich miłości. Każe mu zanurzyć członek w szklance z denaturatem, którego używa do zmywania kafelków. Gdyby Horty nie chciał poddać się takiemu oczyszczeniu, Zoe poczeka cierpliwie, aż zaśnie, i sama zaaplikuje mu tę kurację, siadając na nim okrakiem, żeby nie mógł się wymknąć.

Okrążył wydmy ścieżkami i doszedł „Pod Głowę Żółwia". Usiadł w zagłębieniu pod ścianą i czekał, aż otworzą knajpę. Pomyślał, że jest niewiele więcej wart od psa. Zapadł w niespokojny sen. Śniły mu się krótkie i gwałtowne sceny, w których widział śmierć Marii. Raz zagłębiała się razem z transatlantykiem przywiązana do relingu, podobnie jak na żelaznych schodach Harston and Harston. Kiedy indziej zdołała rzucić się do morza i płynąć do szalupy, ale chiński fotograf zarzucił jej na głowę czarną zasłonę, pod którą dusiła się łagodnie, bez oporu.

Z nastaniem dnia Horty'ego zbudziły okiennice tawerny „Pod Głową Żółwia". Kelnerka ziewając przeciągle popychała je do granitowej ściany.

Wszedł. Był sam. Usiadł na zwykłym miejscu pod żółwiem i postawił przed sobą fotografię Marii.

Kelnerka wchodziła i wychodziła, za każdym razem odsuwając zasłonę z grubego płótna. Nie zwracała na niego uwagi.

TLR

STATKI w porcie opuściły flagi do połowy masztu na znak żałoby. Kilka kobiet, a wśród nich również Batylda Buren, uznało za stosowne noszenie żałoby po angielskim transatlantyku. W każdym razie czarne suknie były najodpowiedniejszym strojem na te blade dni wiosny tak podobnej jeszcze do zimy.

Przez kilka dni aż do przybycia „Carpathii" do Nowego Jorku i do opublikowania pierwszych relacji ocalonych osób gazety sprzedawały się dość dobrze. Wieczorem i rano przejeżdżał konnym wozem człowiek i wykrzykiwał tytuły w uliczkach Dolnego Miasta. Na koźle miał wydania ilustrowane wielkimi, tragicznymi rysunkami. Trzymał je w torbach z płowej skóry, które dawniej służyły do przewozu złotego pyłu na rzecz Banque de France (w każdym razie ten człowiek tak twierdził). Widać było jeszcze dziurę wyszarpaną kulą pistoletową wystrzeloną przez bandytę, który zaatakował konwojenta.

Potem zainteresowanie osłabło i wkrótce prawie nikt nie pamiętał dokładnej daty katastrofy. Wiedziano, że nastąpiła pewnej kwietniowej nocy, i to wszystko.

Horty ukrywał się „Pod Głową Żółwia". Jadał tam i sypiał na poddaszu, gdzie Karaib urządził mu posłanie ze słomy.

Ukrywał się przed Sciarfonim.

Któregoś dnia Włoch wykorzystał to, że Horty siedział samotnie w kabinie dźwigu. Wślizgnął się pod maszyną jak pod bezbronne podbrzusze i tam na wysokich żelaznych nogach machiny, drwiąc sobie z dźwigowego, kawałkiem gipsu narysował czaszki, szkielety i wisielców.

Od czasu do czasu Horty, gdy zatrzymywał motor dźwigu, słyszał jakby skrzypienie kredy po metalu.

Dokerzy nie wierzyli, żeby Sciarfoni chciał zabić Horty'ego i zdobył się na to, gdy znajdzie się z nim oko w oko. Sądzili, że dwaj mężczyźni pobiją się i być może nie dorównują wówczas mądrością psom, u których walka zawsze kończy się tym, że jeden czy drugi przewraca się na grzbiet. Złość czyniła Sciar- foniego

niebezpiecznym, ale i Horty był nie mniej niebezpieczny z rozpaczy i dlatego, że nie mógł jej wyrazić z uwagi na plotki, jakie doszłyby do uszu Zoe.

Toteż gdy syrena obwieszczała koniec pracy, dokerzy eskortowali dźwigowego, otaczając go murem, od nabrzeża kolumbijskiego do knajpy „Pod Głową Żółwia". Na głowach nieśli grube worki jutowe, których używali do ochrony karku i barków. W takich „kaskach" szli w milczeniu, a na czele kroczył Al Bazeiges. Czasami dostrzegali sylwetkę Włocha rysującą się na tle cienia składów. Sciarfoni gestykulując przeklinał ich.

Zdaniem Ala Bazeigesa, dokerzy nie mogli się angażować bardziej. Na mocy nadzwyczajnej decyzji przewodniczącego Simeona Horty pracował teraz na dźwigu nr 14 i nie był już naprawdę jednym z nich. Włochem piloci portowi pogardzali i nie zaliczali go tak jak dawniej do siebie. Toteż Sciarfoni zadawał się z Czarną Bandą i w ogóle nie uznawał autorytetu doyena dokerów.

Za radą Ala Bazeigesa Zoe zawiadomiła przewodniczącego Simeona, który panował nad całym - bez różnicy - ludkiem z nabrzeży. Zwykle wystarczało, że zagroził zwolnieniem, aby zaprowadzić porządek.

Zoe poszła więc do niego. Mieszkał nad morzem w wysokim, białym domu z biegnącą dookoła werandą, wyglądającą niby okrężna droga, z której można obserwować redę. Do domu przylegał pochyły ogród duszący się od rzadkich gatunków roślin. Sadzonki przywozili kapitanowie dla lubiącej ogrodnictwo madame Simeon.

Stary człowiek był zachwycony ujrzawszy Zoe na schodach. Zapomniała, że jest kobietą, i pierwsza zdjęła kapelusz. Trzymała go uniżenie w ręku. Spuściła głową, a policzki jej poczerwieniały. Simeon uśmiechnął się. Ujął ją pod ramię i wprowadził do salonu wypełnionego pamiątkami ze statków. Zoe zaczęła cicho płakać. Widząc, w jakim jest stanie, poczęstował ją ciemnym nugatem i filiżanką naparu z kwiatu pomarańczy. Polecił, żeby wypiła póki gorące. Tak też uczyniła, parząc się i krztusząc. Otoczył ramieniem jej barki i śmiał się z nieoczekiwanego szczęścia, że ma ją tak blisko siebie.

Wszystkie jego statki były na morzu, a madame Simeon uczestniczyła, jako skarbniczka, w zgromadzeniu ogólnym sierocińców floty handlowej, więc armator spodziewał się spędzić nudny dzień. Mżył drobny deszcz, a chłód nie był wystarczająco przejmujący, żeby usprawiedliwić rozpalenie drewna w kominku tak

wczesnym popołudniem. Była to jedna ze zwykłych rozrywek starego człowieka. Przypiekał nad ogniem jedną lub dwie kiełbaski i zjadał je popijając białym winem z Chile.

Simeon otworzył parasol i zaprowadził Zoe do egzotycznego ogrodu opadającego aż do drogi. Tam, za kępą bambusów, stała stara altana, którą przerobiono na cieplarnię. Przez pochlapane wapnem szyby nie było widać, co dzieje się w środku. W niej właśnie się ukryli.

Simeon pieścił i całował ciało Zoe. Gdy ją obmacywał, ona spoglądała na ściekające z góry po szybach szklarni strumienie .deszczu i opowiadała mu, że niejaki Sciarfoni, były galernik wegetujący w piaskach Republiki, wbił sobie do głowy, że zabije Horty'ego. Zoe nie wiedziała dlaczego, ale musiał być jakiś ważny i wyjątkowy powód, a przy tym nie do wyjawienia, ponieważ Horty nie chciał się z niczego wytłumaczyć. Od powrotu z Southampton Horty chodził trochę jak nieprzytomny. Zoe błagała Simeona, żeby pomógł dźwigowemu i jej jeszcze ten jeden raz.

Simeon ledwie jej słuchał. Skurczony pod małą kobietą obmacywał jej uda. Myślał, że życie dostarczyło mu jeszcze tak intensywnej radości. Dlaczego? Nie będąc nasycony - ale czy którykolwiek mężczyzna kiedykolwiek jest nasycony? – otrzymał wiele, nie dając w zamian prawie nic. Toteż cierpliwie oczekiwał chwili, gdy los poprosi go o wyrównanie rachunków. Uważał, że ten moment nadszedł właśnie teraz i długo przygotowywał się do tego. A tymczasem wszystko, czego od niego żądają, to uspokojenie złości jakiegoś Włocha.

Nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Zoe natomiast —wręcz przeciwnie - zaczęła płakać.

Kelnerka „Pod Głową Żółwia" nazywała się Aicha. Spala na poddaszu, gdzie teraz Horty spędzał noce. Wystarczyło, że Karaib rozwiesił między belkami stary kreton w kwiaty i już strych został podzielony na dwa intymne pomieszczenia.

Aicha była muzułmanką i pochodziła z Turcji. Miała piętnaście lat, haczykowaty nos, wydatne usta, sine i nabrzmiałe krwią do tego stopnia, że wydawało się, jakby ktoś przed chwilą uderzył ją w wargi.

Wkrótce miały minąć trzy lata, jak Aicha tam spała. Zrobiła z poddasza coś na podobieństwo gniazda, gdyż naznosiła cały stos małych i lekkich rzeczy, ja-

kimi zwykle otaczają się ptaki. Zbierała ziarna owsa, muszle mątw, kawałki konopi, a także kulki wosku zdrapywane końcem paznokcia ze świecy. Żyła w szarym i nędznym świecie, skąd bił silny zapach ptasząt, ciepły i trochę obrzydliwy.

Ona też miała ptasi chód. Zawsze się kiwała i rozkładała ramiona, jakby chciała złapać równowagę.

Mimo to Aicha pociągała mężczyzn. Marynarze przywozili jej upominki, zwłaszcza niedrogie sukienki, fastrygowane naprędce i strzępiące się na obrębieniu, ale za to meksykańskie, argentyńskie, we wszystkich kolorach.

Gdy nadchodziła pora zamykania, zatrzaskiwała okiennice, gasiła lampy, wyciągała z sakiewki klucze od tawerny i lekko nimi pobrzękiwała. Wówczas pijący uciszali się, wstawali, potrząsali głowami i wychodzili, nie spuszczając wzroku z Aichy w cichej nadziei na znak zachęty z jej strony. Jednak kelnerka nigdy nie zaprosiła nikogo z nich, aby przyszedł do niej na poddasze. A ponieważ była delikatna, mężczyźni nie śmieli jej do czegokolwiek zmuszać.

A teraz Horty był blisko niej co noc na strychu, dokąd żaden mężczyzna nie wszedł dotychczas po zachodzie słońca. Karaib też unikał wdrapywania się tam z obawy, żeby się nie rozniosło, iż uwodzi nieletnią dziewczynę.

— Jak długo pan tu zostanie? - zapytała Aicha zza zasłony w pierwszą wspólnie spędzoną noc.

— Nie wiem. Przeszkadzam ci tutaj?

— Dlaczego nie wraca pan do siebie?

— Sciarfoni. Chce mnie zabić. Przecież wiesz o tym.

— Boi się pan, że czatuje na pana gdzieś w kącie?

— O to chodzi. Sciarfoni czai się za jakimś murem.

Usłyszała, jak z furią drapie się po piersiach. Potem znowu ciągnął:

— Czekam tylko, aż dnia trochę przybędzie. Wtedy wrócę do domu. Sciarfoni nie będzie miał odwagi skoczyć na mnie w biały dzień. A jeśli się odważy, wówczas zobaczę, że nadchodzi. Alożesz być pewna Aicha, że dostanie za swoje. Już raz rozłożyłem go na ziemi. Spaceruje teraz z całą kupą noży wetkniętych

za pasek, ale nie zdąży nawet ruszyć ręką, kiedy ja rozwalę mu łeb. Pozostanie ci tylko wziąć ścierkę i posprzątać jego mózg.

Horty zobaczył nagle drżącą zasłonę. Mała Turczynka zapewne przycisnęła ją do ust, żeby zdusić krzyk.

— Przepraszam - powiedział Horty - ale mężczyźni tacy są.

— Tak - przytaknęła Aicha.

— Gdyby mi dali tak jak co roku cielaka, zamiast wysyłać mnie do Southampton, nic z tych rzeczy nigdy nie wydarzyłoby się.

— Żadne nieszczęście nie spada na człowieka bez boskiego przyzwolenia - Aicha zacytowała Koran. - Zjedzenie cielaka nie przeszkodziłoby statkowi zatonąć razem z tą kobietą.

— Lepiej się przymknij - burknął Horty.

Siedział teraz na sienniku, a przed sobą ustawił fotografię Marii. Światło było skąpe, dlatego nadstawiał portret w stronę księżyca, w miarę jak ten wędrował po niebie i ukazywał się najpierw w jednym okienku w dachu, potem w kolejnym, gdyż to było długie poddasze z wieloma otworami, a tego wieczoru księżyc przesuwał się bardzo prędko.

Aicha nie zawsze mogła dosłyszeć, co Horty zaczyna opowiadać, dlatego całym ciałem przylegała do zasłony. Czasami zdarzało się, że tracił głos jak ktoś, kto się dusi. Nie budował długich zdań jak ci marynarze-opowiadacze wstępujący czasami „Pod Głowę Żółwia", którzy kazali sobie stawiać w zamian za jakąś płomienną historię o jeźdźcach z Kalifornii, ich damach z grzebieniami głęboko wpiętymi w czarne włosy, o ich ręcznej roboty siodłach ze skóry, które lubili bardziej niż swoje konie. Układali słowa, jakby mówili resztą tchu jak umierający, który nie ma czasu zajmować się gramatyką, albo jak biedak mający jeszcze coś istotnego do przekazania i używający najprostszych słów, gdyż takie cisną mu się na usta. To nie jest kwestia wyboru, a raczej niemożność wypowiedzenia tego inaczej.

Przede wszystkim to, co opowiadał o Marii, nie dotyczyło jej absolutnie. Snuł opowieść o końcu dnia w Southampton, o wieczornym świetle, o tłustej mieszaninie brudnego deszczu, snującej się mgły i dymu statków. To było opowiadanie o porcie całkiem podobnym do tego, w którym znajdowała się tawerna

„Pod Głową Żółwia”. Słychać w nim było śmiechy mężczyzn, grający gramofon oraz przeklinających woźniców. Wyglądał tak, jakby przeświytywał przez tkaninę rozwieszoną w głębi sceny teatru zbyt nędznego, aby sprawił sobie prawdziwe dekoracje. Wszystko było oczywiście tak nędzne, że czuło się, iż tak nie może pozostać dłużej, bo ktoś odsłoni tkaniną i...

I wtedy pojawiła się Maria. Nie wyłoniła się z mżawki jak ktoś przekraczający kaskadę, lecz stanowiła część deszczu. Po prostu mgła i dymy ułożyły się w taki sposób, tworząc postać Marii wchodzącej do hotelu Reda Spithead.

W ciemności bardzo powoli zarysowywała się sylwetka otulona nieprzemakalnym płaszczem. Aicha nie bardzo wiedziała, co to takiego nieprzemakalny płaszcz. Tajemnicze słowo nasuwało jej tylko pytanie, na ile Maria musiała się różnić od innych kobiet? A zaraz potem jej rysy się rozpływały. Następnie zamazywało się to, co było wieczorem w Southampton. Maria wreszcie zostawała sama z owalną i bladą twarzą, ze znużonym ciałem, oparta ramieniem o lustro w hallu.

Horty pobieżnie opisywał jej twarz i ciało. Poprzestaw tylko na mówieniu, że była jedną z tych młodych i pięknyc kobiet. Jednak ton jego głosu wystarczał, by dokładnie opisał j w całości. Harmonia przecież nie potrzebuje słów piosenki, b zasugerować dużo więcej niż sam fakt, że powietrze wibruje jej stroikami.

Potem Horty powiedział, że schodząc po stopniach zauważył, iż jego własne odbicie ukazuje się i rośnie w lustrze obok Marii. Mimo że starannie pozapinał guziki i uczesał włosy, wydawał się sobie brzydki. Pachniał węglem. Popiół z promu z Southampton upstrzył jego kołnierzyk małymi, brunatnymi cętkami. Pomyślał, że Maria weźmie go za pracownika obsługującego hotelową kotłownię i odwróci się od niego. Ależ nie, przeciwnie, spojrzała na niego jasnym wzrokiem, uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

Bąknęła coś, dwa, trzy banalne słowa, a propos deszczu i niemożności wynajęcia pokoju ze względu na wszystkich tych ludzi zalewających Southampton. Horty znajdował się już całkiem blisko niej i chłonął jej oddech, który nie pachniał ani miodem, ani kwiatami, ani też owocami. Był to zwyczajny oddech zziębniętej kobiety - coś mdławego, coś, co przywodziło na myśl sen.

Pokochał ją w jednej chwili. Tak jak wtedy, gdy jest się narażonym na skrajne niebezpieczeństwo, ujrzał całe swoje życie. Aż dotąd nigdy nie zastanawiał

się, czy jego istnienie miało jakiekolwiek znaczenie. Zrozumiał nareszcie, osłupiały, że przeżył już pięćdziesiąt dwa lata dla tej jednej chwili, która usprawiedliwia wszystko. Cokolwiek by się teraz stało, zejdzie z tego świata bez goryczy, zachowując w pamięci na zawsze olśnienie oddechem Marii pieszczącym jego twarz. Zresztą ona zaraz się cofnęła.

— Była z niej już prawie doskonała pokojówka - powiedział

— nawet, jeśli się zważy, że odbywała zaledwie pierwszą podróż. Pokazała mi, jak stawiać na łóżku tacę ze śniadaniem. Trzeba wówczas wyciągać mocno ramiona, a zwłaszcza nie wolno nachylać się, by pasażerowie nie musieli wdychać tego, czym pachnie się rano. Nie, w żadnym wypadku.

Horty nie opowiadał o kolacji w garkuchni „Calcutta" ani o powrocie żelaznymi schodami zygzakującymi po murze manufaktury Harston and Harston. Przeszedł natychmiast do tego, co „ jego zdaniem - wydarzyło się w pokoju.

Dzięki niedyskrecjom dziewczyn z ulicy Solidor Aicha poznała niektóre z zabaw, o jakich mówił Horty, że im oddawał się przy aktywnym współudziale ciała Marii. Horty i ta znużona dziewczyna robili wszystko, co mężczyzna i kobieta, szczęśliwi i nadzy, mogą robić w zaryglowanym pokoju. Z każdym nowym odgłosem nocy - wydzwanianie godzin, ryk syreny okrętowej, turkot wózka albo po prostu wesołość jakiegoś przyszłego pasażera szukającego swojego hotelu, który śmieje się z tego, że nadepnął sobie na rękę w kałuży - Horty i Maria zamieniali się rolami do następnego odgłosu. Ten, kto był na wierzchu, mógł robić z drugim, co mu się żywnie podobało.

Niektóre z ich pieszczot były czyste i łagodne - myślała Aicha

— a inne wydawały jej się sprzeczne z naturą. Nie opierałaby się, gdyby Horty uniósł zasłonę i przyciągnął ją do siebie, by pokazać jeden z takich ruchów, o których opowiadał. Powolny, niski i chrapliwy głos dźwigowego przekonywał ją, że najbardziej poniżające uściski mogą się stać piękne w jego ramionach i pod jego ciężarem. Pierwszy raz słyszała taki głos. Mężczyźni „Pod Głową Żółwia" nigdy nie mówili o miłości, tylko wrzeszczeli, toteż sądziła, że miłość była krzykiem. Nie wiedziała, że można o niej mówić tak cicho. Tej nocy Horty miał taki głos jak matka Aichy, gdy śpiewała w wietrzne wieczory, ciągnąc kozła pod górę, ponieważ nie chciał pokrywać kóz inaczej jak tylko wtedy, gdy wiał wiatr. Dziwna sprawa. W każdym razie nikt nigdy tego nie wyjaśnił, a

Aicha i jej siostry opuściły Turcję nie dowiedziawszy się, dlaczego kozioł tak się zachowywał.

Gdy zegary w Southampton wybiły północ, Maria i Horty odrzucili narzutę, potem kołdrę i wstali z łóżka. Pomimo drzazg Woleli parkiet niż teren ograniczony materacem zaklinowanym Pomiędzy dwoma mosiężnymi ramami. Ociekali śliną, łzami, a także uryną. Maria rozpuściła włosy. Horty zgarnął sadzę Węglową z obramowania kominka, zmieszał ją z wodą i sporządził jak gdyby nietrwały atrament, który posłużył mu do napisania palcem na ciele Marii bezsensownych słów.

Aicha zgadywała, o czym Horty opowiadał, ale nic nie mówiła. Jak wiele istot tkwiących w nędznym, wciąż takim samym płaskim życiu od dawna rozumiała, że prawda jest nie do zniesienia. Starała się więc ze wszystkich sił, by się z niej wyrwać, i goniła za kłamstwem tak jak otaczający ją mężczyźni za fortuną. Czasami jej się udawało, gdy piła wódkę albo napar z liści przywożonych przez marynarzy. Żuła także sine, bardzo cierpkie grzyby, które miały tajemniczą moc kręcenia ścianami knajpy „Pod Głową Żółwia". Aicha wtedy jakby odrywała się od siebie, a potem okropnie to odchorywywała.

Marynarze sprzedawali zwykle biżuterię, narkotyki i papugi. Niektórzy oferowali książki w żółtych okładkach, kolorem przypominających zmoczony piasek. Książki były powieściami. Pewnego razu Aicha kupiła jedną tylko z ciekawości, bo nie umiała czytać.

— Spal to - powiedział Karaib. - Wszystko, co tam napisane, to nieprawda. Tak, arcyłgarstwo od pierwszego do ostatniego słowa.

— Ale o czym to jest?

Kartkowała żółtą książkę przed nosem Karaiba, który wpadł w złość. Odsunął ją zdegustowany:

— Nic ciekawego. O ludziach, którzy nie istnieją. Kupa łgarstwa.

— Szefie, bardzo lubię kłamstwa - oznajmiła Aicha. - A dlaczego strony są jeszcze trochę wilgotne?

— Bo to marynarska książka. Marynarze czytają w niedzielę na pokładzie. Nadchodzi fala...

Aicha nigdy nie dowiedziała się, co za historię zawiera żółta książka, ale nie mogła być bardziej fascynująca od tego, co Horty opowiedział jej dziś wieczorem.

Dniało, gdy wreszcie się zamknął. Aicha kilka razy wsunęła mu pod zasłonę szklankę wody z miodem, gdy czuła, że jego głos słabnie albo chrypnie.

— Voilà, teraz wiesz wszystko - powiedział Horty.

— A jej dusza? - wymamrotała Aicha.

Zapadła cisza. Poruszała się tylko zasłona, za którą przechadzał się Horty.

— A jej dusza? - powtórzyła Aicha.

— To i cała reszta, wszystko jest na dnie oceanu - powiedział Horty- - Teraz minęło już sporo dni. Wiesz, jak to jest. Robaki zaczynają od oczu. Potem zżerają policzki.

— Jej dusza jest nieśmiertelna - zauważyła Aicha. - Bóg tak powiedział Muhammadowi. Nieba - ponieważ jest ich wiele - są jedna nad drugimi tak jak warstewki cebuli. W jakim niebie ona jest? Nie wiem. Może nie dostaje niczego innego do picia oprócz wrzątku i może nic do jedzenia oprócz owocu dari? Och, jaki to cierpki owoc! Ale może pije miód zmieszany z winem. O tak, to jest dobre. Jedno jest pewne, że nie jest martwa. A w to zdaje się pan wierzy.

— Dziękuję - powiedział Horty. - Trudno to sobie wyobrazić, prawie niemożliwe, ale i tak dziękuję.

— Nie ma za co - odpowiedziała Aicha. - Mam nadzieję, że teraz pan zaśnie. W tym roku jest tu bardzo mało pająków. Jeszcze za zimno. Zadomowił się tylko jeden nietoperz, ale on nie jest zły. Dochodzi szósta i muszę zejść zmyć salę.

Włożyła wskazujący palec w obrzmiałe usta i go pośliniła. Sądziła, że zrozumiała. Horty bardzo lubi ten ciepły, syropowaty płyn. Trochę ją to dziwiło, ponieważ bywalcy „Pod Głową Żółwia” nie cierpieli picia ze szklanek, których inni dotykali wargami. A dziewczyny z ulicy Solidor odmawiały całowania mężczyzn w usta, nawet jeśli dobrze płacili. Jeżeli Horty lubił ślinę, mogła mu jej trochę dać, żeby podziękować za opowiedzianą historię. Zresztą nie miała niczego innego do ofiarowania. Wsunęła wilgotny palec pod zasłonę. Horty zrozumiał. Koń-

cem swojego palca musnął palec Aichy tak, jak robią to wierni w kościołach, przekazując sobie odrobinę wody święconej.

Karaib groził Aisze, że pacnie ją po łydkach mokrą ścierką, na której zawiąże supły, żeby bardziej bolało. Jeśli nie przestanie szturchać nosem parkietu i pieścić go, zamiast froterować, może oberwać, bo jeszcze nie urosły jej piersi.

— Ale ta historia - powiedziała Aicha i obciągnęła sukienkę najniżej na łydki, jak tylko mogła. Jeżeli Karaib przestanie widzieć jej gołe łydki, być może minie mu ochota, żeby je porządnie wyłoić.

— Co za historia? - zapytał zaintrygowany Karaib.

— Horty i pokojówka z „Titanica".

— Gdzie tam - powiedział Karaib - wszystko to lipa.

— Akurat lipa. Tak się tylko mówi.

— Co tak się tylko mówi?

— Chce mi się płakać - oznajmiła Aicha.

— No to płacz, ale pracuj - zgodził się Karaib.

— Tak, proszę pana. Tak, szefie - odpowiedziała żywo Aicha.

Karaib przysiadł na krawędzi stołu i zapalił pierwszą poranną fajkę.

Zaangażował Aichę, ponieważ była analfabetką. Potrafiła wyrecytować tylko kilka sur Koranu. Nauczyła się ich na pamięć w dzieciństwie: „Podróż nocna" (iii wersetów), „Łupy" (75 wersetów), „Kaf" (45 wersetów), „Okryty płaszczem" (56 wersetów). To wszystko, cała jej wiedza. Przed Aichą duży Mulat miał służące umiejące czytać i pisać. Było to smutne doświadczenie. Nie pilnowały swojej roboty, lecz wciąż zerkały na powieści w żółtej oprawie. Gdy je strofował, odpowiadały szybko i oschle tak jak damy w książkach. A on, nie mając wykształcenia, siedział cicho rzecz jasna.

I co teraz będzie? Powieść ożyła. Siedzi przy stoliku „Pod Głową Żółwia", śpi na poddaszu i nazywa się Horty. Stanowczo wszystko się rozsypuje i rozłazi na tym nędznym padole. Już prawie nikt nie tańczy polki. W tym roku marynarze przeklinali tylko żałosne podrygi, które nazywali tango.

Październikowa burza zerwała połowę dachu z tawerny. Karaib z cieślą okrętowym weszli na górę, żeby się zorientować, co się stało, i zobaczyli, że odsłonięte belki nasiąkły wodą. Przeżarła je jakaś drewniana zaraza, chropowata i włochata. Statki, dźwigi, szyny, ogromne łańcuchy - nic nie uchroni się przed powolnym zniszczeniem. Myślano, że zatriumfuje żelazo. I jaki rezultat? Wszędzie rdza. Białe i pachnące ciała kobiet też to dotyka i też marnieją. Colette, najwspanialsza blondynka z ulicy Solidor, zmarła poprzedniej niedzieli. Mówią, że chorowała na coś w rodzaju cholery. Mulat pomagał nieść jej trumnę. Boże, jaka była lekka. Można by pomyśleć, że w środku było tylko trochę prochu, a nie kobieta, która zasnęła na wieki.

— On cię próbuje odurzyć, żebyś cała zmiękła i była gotowa rozsunąć nogi - szepnął Karaib. - Od kiedy zobaczył Anglię, na horyzoncie pojawiły się same nieszczęścia: ponad tysiąc ofiar na „Titanicu", Zoe żyjąca jak wdowa, Sciarfoni gotów go zarżnąć. A teraz jeszcze ty nie sypiasz po nocach. Aj, aj, wszystko razem to jakieś przekleństwo!

Aicha stała jedną bosą stopą na ścierce, a drugą na chropowatym parkiecie. Ścierała go nieomal wychodząc ze skóry, jakby chciała za jednym zamachem zetrzeć ślady spluwania, widoczne na podłodze, i obrazy miłości, jakimi Horty raczył ją całą noc. Szlochała pijana sennością i emocjami.

— W końcu co on ci naopowiadał, że teraz jesteś w takim stanie? - zapytał zirytowany Karaib.

Aicha próbowała streścić mu tę opowieść. Niestety nie przywykła posługiwać się pamięcią. Wszyscy marynarze pili to samo, więc w ciągu piętnastu godzin codziennej pracy Aicha musiała zapamiętywać tylko liczbę zamawianych kieliszków do takiego a takiego stolika, czyli cyfry zawarte między dwa a dziesięć. Nawet nie musiała nauczyć się liczyć do jedenastu.

Wszystko więc jej się poplątało. Wprowadziła całe miasto Southampton do sali „Pod Głową Żółwia", całe miasto z tramwajami, z oświetlonymi i hałaśliwymi knajpami wzdłuż nabrzeży, z nadbudówkami statków pasażerskich, z okapami przeciwdeszczowymi dachów i z ciemnoniebieskimi furgonami zaprzężonymi w zwierzęta w złotych lejcach. Opisywała Hor- ty'ego i Marię jako dwoje spoconych suwerenów kontemplujących tę prostacką radość przetaczającą się u ich stóp.

— A więc - zapytał Karaib - on to wszystko widział z balkonu?

Aicha zadrżała:

— Nie, proszę pana. Horty nie powiedział, że tam był balkon. To był mały, całkiem niedrogi pokoik.

— Plecie trzy po trzy. A potem?

— Potem, proszę pana, był brzydki i brudny Horty, pachnący dymem, i pokojówka - taka śliczna i cała przemoczona. Miala białe piersi. Ale one były zimne, proszę pana, i należało je ogrzać No więc Horty je rozgrzewał, proszę pana.

— Biorąc je w ręce? - spytał Karaib.

— Tak też - potwierdziła Aicha. - Ale nie tylko.

— Pocierał je ustami? Chyba raczej tak?!

— Ale nie tylko - powtórzyła Aicha.

— Co też ty wygadujesz! - żachnął się Karaib. Domyślał się, że nigdy się nie dowie, jak w końcu Horty zabrał się do rozgrzewania piersi Marii.

— No bo... no bo to była taka długa historia, że nie mogę sobie wszystkiego przypomnieć - powiedziała pokornie Aicha.

Mulat dał znak służącej, żeby się zamknęła. Dokerzy Ala Bazeigesa przedefilowali przed oknami tawerny. Wchodzili do sali zdejmując granatowe kaptury i otrzepując się po bokach. Przyszli po Horty'ego, by eskortować go na nabrzeże kolumbijskie. Dźwigowy akurat schodził schodami. Zaczesywał palcami włosy do tyłu, które dziwnie posiwiały od czasu jego powrotu z Southampton.

— Wszystko gotowe, bo już widno - zawołał Karaib. - Czy wam się aż tak bardzo śpieszy, że nie możecie wypić kolejki?

— spytał.

Mężczyźni spojrzeli na Ala Bazeigesa. Doyen poskrobał się w gardło, a Aicha pośpiesznie przysunęła mu wielką, miedzianą spluwaczkę. Al Bazeiges zgodził się na jeden czy dwa kieliszki, szybko łyknięte. Tak, to da się zrobić, gdyż tego ranka mieli tylko jeden frachtowiec do obsłużenia. Spowity mgłą węglowiec z Gdańska dopiero wyłaniał się z oddali.

Karaib kazał, aby Aicha zostawiła sprzątanie i napełniła kieliszki. Poszedł do Horty'ego:

— Wdrapiesz się z portretem na dźwig, czy wolisz, żebym go przechował do wieczora?

— Przechowaj go - powiedział Horty.

Wyjął fotografię zza bluzy. Ruchy miał pewne i ostrożne jak akuszerka wyciągająca ręce w stronę brzucha matki, żeby wyjąc dziecko spomiędzy jej nóg. Jednak ogromne ręce Horty'ego z paznokciami rozdwajającymi się i żółtymi jak róg przypominały raczej łapy zwierzęcia.

Postawił fotografię Marii na kontuarze. Mulat prztyczkiem przysunął ją do światła lampy i odegnał dym z fajki jak ktoś, kto chce lepiej widzieć:

— Czy ona rzeczywiście była taka piękna jak tutaj?

— Ja wiem, co patron chce powiedzieć - odezwał się któryś z dokerów. - Zdaje się, że można retuszować fotografie i dzięki temu zmniejszyć usta, powiększyć oczy lub wygładzić zmarszczki.

— Słuchaj - Karaib przysunął pierwszy kieliszek przed Horty'ego - nie chcemy robić ci przykrości ani ja, ani nikt tutaj. Ale ostatecznie - pochylił się nad Marią - jeśli spojrzeć na nią i na ciebie...

— Czasami wymyśla się różne rzeczy - powiedział mężczyzna, który pochodził z Bostonu i nazywał się Deynat - na przykład, że widziało się Krakena, mitycznego węża morskiego, a to był tylko kaszalot, którego obsiadły bemikle.

— Znałem jednego kapitana - powiedział Fecampois - który ciągle słyszał fortepian grający pod górnym pokładem. W ciągu nocy potrafił dziesięć razy wysyłać porucznika z latarnią do ładowni. Do rozpaczy doprowadzała kapitana nie sama gra na fortepianie, ale fakt, że cholerny duch używający go okropnie fałszował - w każdym razie on był o tym przekonany.

Wśród dokerów był brodaty Murzyn o siwych włosach, z piersiami prawie jak u kobiety. Wszyscy szanowali go na równi z Alem Bazeigesem i nazywali poważnie Móssieu John. Ten właśnie Murzyn oznajmił, że jego zdaniem każdy mężczyzna, nie tylko Horty, ale mężczyzna w ogóle, nie ustrzeże się, by nie napotkać unicestwiającej samotności, nie ujrzeć Krakena, nie usłyszeć fortepianu,

nie spotkać pięknej dziewczyny i przed tym, aby mu się nie zdawało, że jest jej kochankiem.

— Ach! Zamknij się pan, Móssieu John! - wykrzyknął Horty.

Zabrał fotografię i poszedł w stronę swojego miejsca pod żółwiem.

Wszyscy obecni zrozumieli. Nie musieli się namawiać, by podjąć finezyjną grę. Horty będzie opowiadał.

Mężczyźni przysunęli się do dźwigowego najdyskretniej jak można. Nie chcieli przyznać się, że bardzo liczą na usłyszenie tej historii.

Karaib postawił przed nim pół butelki wódki. Horty siedział okrakiem na krześle, a czoło oparł o złożone ramiona.

Aicha dorzuciła do pieca i rozpaliła ogień.

Na dworze było jeszcze szaro. Południowo-zachodni wiatr niósł ochrypłe pomruki pław z Basse-Diegue, co znaczyło, że do portu wchodzi statek. Okna zaparowywały w miarę, jak piec się rozgrzewał. Za szybami przesuwali się ludzie, wózki, a także lokomotywa ciągnąca wagony platformy z ułożonymi wzdłuż długimi szynami poczerwieniałymi od rdzy.

Horty zaczął opowiadać. Żeby mu nie przeszkadzać, ci dokerzy, którzy jeszcze nie przysunęli krzeseł, opierali się o ściany lub siadali na podłodze, przyciśnięci jeden do drugiego, nieruchomi, z wciągniętymi szyjami jak ptaki morskie, gdy nadlatuje wiatr.

Tego ranka Horty potrzebował nieco więcej niż godzinę na opowiedzenie swojej miłosnej nocy z Marią. Kiedy skończył, wstał i zwrócił fotografię Mulatowi. W ciszy skierował się ku drzwiom. Zapomniał o Sciarfonim czyhającym na niego z nożami. Mało brakowało, a samotnie wyszedłby z knajpy, samotnie poszedł nabrzeżami do dźwigu nr 14 i prawdopodobnie samotnie skonał.

Na szczęście Al Bazeiges skinął na swoich ludzi, żeby dołączyli do Horty'ego i skupili się wokół niego.

Kilku dokerów, w tym Móssieu John, płakało z powodu usłyszanej przed chwilą historii. W swoim gronie, bez kobiet, które przecież by z nich drwiły, płakali bez żenady. A ponieważ płacz był jednym ze stanów, jaki nigdy im się nie przytrafiał, płakali źle, hałaśliwie albo piskliwie, w śmieszny sposób, trochę tak

jak myszy, ale przede wszystkim pociągali nosami i zamaszystymi ruchami wycierali szerokie twarze brunatnymi, czarnymi i niebieskimi rękawami. Kiedy popatrzyli na siebie i zobaczyli, jak płaczą - zaczęli się głośno śmiać. Szturchali się i wyzywali od idiotów. Czuli się zarazem zawstydzeni i wyzwoleni podobnie jak po pijaństwie. Mówili sobie, że owszem, spędziło się fajną chwilkę, ale trzeba ją przerwać, ponieważ zadając ból sprawia im równocześnie przyjemność.

Gdy doszli do składów, celnicy i przedstawiciele polskiego armatora sklęli ich, albowiem przychodzili do pracy spóźnieni. Podejrzewano ich nawet o strajk. Ktoś poszedł zawiadomić żandarmów. Ale dokerzy złączyli kciuk i palec wskazujący lewej ręki i w tak powstałe kółko wkładali i wyjmowali środkowy palec prawej ręki. Dawali w ten sposób wszystkim do zrozumienia, że zatrzymała ich tego ranka osoba gotowa do takiego załadunku. Po łzach, które spłynęły po ich szerokich policzkach, odczuwali potrzebę zademonstrowania, jacy są wulgarni i gwałtowni. Buchalterzy w kamizelkach nie ponaglali. Było ich o wiele mniej niż dokerów. Nawet nie mogli liczyć na ochronę żandarmów, ponieważ widząc zbliżającą się grupę, wysłali nowego emisariusza do żandarmerii z zawiadomieniem, że już nie ma po co siodłać koni.

W każdym razie polski statek wciąż jeszcze nie stał przy nabrzeżu. Widać było tylko jego światła pozycyjne, łagodnie tańczące w górę i w dół na trawersie Basse-Diegue.

Wieczorem „Pod Głową Żółwia” Horty jeszcze raz opowiedział całą historię. Dawali mu dużo pić i ani razu nie musiał o to prosić. Tylko pilnowali, żeby się nie zalał do tego stopnia, by nie móc dalej snuć opowieści.

Coraz więcej mężczyzn przychodziło go słuchać. Aicha policzyła, że było ich co najmniej dziesięć razy dziesięć, ściśniętych wokół stolika pod żółwiem. Nie wiedziała, że to jest sto, ale Karaib powiedział jej o tym. Była tym głęboko poruszona.

TEJ nocy około godziny drugiej w strugach ulewnego deszczu Sciarfoni zabił Aichę.

Po zamknięciu tawerny Karaib wysłał kelnerkę, aby ukradła kilka jajek spod dup kurom w Republice. Wpadł na pomysł, żeby na wieczory, gdy Horty będzie opowiadał swoją historię, sporządzić dla kobiet napój bardziej odpowiedni niż wódka, jaką zwykle serwował. Należało oczekiwać bowiem, że w końcu także kobiety przyjdą posłuchać tej historii.

Nazwał ten napój „mlekiem wieloryba". Była to mieszanina słodzonego mleka z rumem, do której wbito jajka. Ogrzewało się ją na piecu z odrobiną cynamonu i gałki muszkatołowej.

Aicha zaopatrzona w zaślepioną latarkę i kobiałkę z czarnego, woskowanego płótna skierowała się w stronę wydm Republiki. Gdy opuszczała tawernę „Pod Głową Żółwia" jeszcze nie padało, ale grube i ciemne chmury już nadciągały znad morza, a od czasu do czasu wystrzelała w nich wielka błyskawica. Aicha zdjęła buty, ponieważ zawsze lubiła chodzić boso po piasku. Recytowała sury Koranu i śpiewała je do melodii, które sama wymyślała. Kradzież jajek nie zaprzątała jej sumienia: czy ci z Republiki nie mówili sami o sobie, że są poza prawem? Zresztą oni pierwsi „przyzwyczajali" się do wszystkiego, co pozostawało bez opieki, wystawione na ich apetyt.

W dzieciństwie spędzonym w suchych dolinach Turcji Aicha zaznała nędzy porównywalnej z tą, jaką cierpieli mieszkańcy Republiki. Z życiowej konieczności nauczyła się kraść. Popełnianie drobnych kradzieży stało się grą, w której celowała. Cały czas szła wzdłuż wydm. Zakładała się sama ze sobą, czy tej nocy zdoła wyłuskać dwa tuziny jajek, nie budząc ani jednej czarnej kury. Jeśli psy zaczną ujadać na alarm, ona również będzie szczekać, ale najgłośniej, tak żeby pomyślały, że jest wilkiem. Ojciec nauczył ją tego. Wtedy wielkie tureckie brytany zawsze milkły i czołgały się.

Tego wieczoru Sciarfoni znudził się czatowaniem na Hor- ty'ego, który ciągle przed nim umykał. Wrócił więc do swojej odwróconej barki. W jednym ze składów ze źle zamkniętymi drzwiami zebrał trochę mąki i zrobił z niej świeże kluski. Od dawna nie jadł ciepłego posiłku. Wyżarł z miski wszystkie kluski,

chwytając je palcami. Tak mu było pilno uraczyć się, że nie tracił czasu na szukanie widelca.

Gdy kończył ucztę, zaczął padać deszcz. Włoch nadstawił ucha. Chciał wiedzieć, czy chodzi o przelotną burzę czy o długotrwałą ulewę. W tym drugim przypadku groziło mu, że jego nora zamieni się w kloakę i trzeba będzie pozatykać niektóre szpary, które ostatnio jakoś się porobiły.

Zdawało mu się, że słyszy skrobanie, jakby ktoś przytrzymywał się rękami burty przewróconej do góry dnem barki.

To była Aicha. Sieczona nagle strumieniem deszczu wyobraziła sobie, że ukryje twarz, nakrywając ją woskowanym płótnem. A ponieważ w ten sposób niczego nie widziała, kierowała się dotykając palcami burty starej barki.

Chmury przesłoniły księżyc i ciemności stały się jeszcze bardziej nieprzeniknione. Sciarfoni wziął kobiałkę z woskowanego płótna za kapiszon dokera. Sądził, że ta cicha, zgięta sylwetka to Horty, który wreszcie zdecydował się przyjść aż tutaj i stawić mu czoło.

Sciarfoni ścisnął w każdej ręce rękojeść noża i wymknął się z nory akurat w chwili, gdy cień Aichy okrążał stewę dziobową barki. Cień zniknął, ale w piasku pozostały odciski stóp. To Horty - pomyślał Sciarfoni. Świstał wiatr. Noc napełniła się nagle trzaskiem smołowanego płótna zrywanego z ruder. Dźwigowy na pewno korzystał z tego, żeby podkraść się, robiąc jak najmniej hałasu. Może chciał podpalić norę i uwędzić w niej Włocha jak lisa w jamie?

Sciarfoni dopadł Aichę w chwili, gdy przystanęła, aby wyswobodzić kostkę nogi zaplątaną w oset. Najpierw uderzył prawą ręką i wbił ostrze między łopatki z góry na dół. Prawie jednocześnie wyciągnął przed siebie nóż trzymany w lewej ręce i wepchnął prosto w nerki.

Aicha rozpaczliwie wygięła ciało, nadziewając się jeszcze bardziej na oba ostrza. Krzyknęła przeraźliwie, ale czarny worek zarzucony na głowę stłumił krzyk. Właściwie nie było żadnego krzyku, lecz miauknięcie tonące w hałasie burzy i wszystkich rzeczy walących, tłukących, brzęczących i skrzypiących w całej Republice.

Nogi Aichy rozsunęły się nienormalnie. Upadła. Wyglądała trochę podobnie jak tancerka kankana. Trwała tak chwilę z tułowiem pochylonym do przodu, a

potem przewróciła się na bok. Spod worka dał się słyszeć plusk. To nieżyjąca dziewczyna wymiotowała krwią.

Sciarfoni spostrzegł wreszcie pomyłkę. Panicznie wyrwał noże i wycierał je o piasek. Gdy tak klęczał roztrzęsiony i wstrząsany czymś w rodzaju czkawki, zaskoczyli go trzej rybacy. Wyszli sprawdzić, czy aby nie powinni wsiąść do swoich łodzi osadzonych na piaszczystej plaży i nie wypłynąć na pełne morze ze względu na przypływ i nagły powiew zachodniego wiatru.

Włoch nie stawiał żadnego oporu. Rybacy konopnym sznurem skrępowali mu ręce, a potem owiązali bardzo ciasno wokół szyi - dlatego szedł z opuszczoną głową. Zabrali go. Po ciało Aichy przyszły kobiety. Trzeba je było ukryć przed psami.

Minęło pięć długich dni, zanim uroczyście pochowano Aichę. Ksiądz od Świętego Andrzeja nie godził się na chrześcijański pogrzeb, skoro nie była chrześcijanką. Jednocześnie nikt nie wiedział, jak należy pochować młodą zmarłą według rytuału islamskiego. Trzeba było czekać, aż zjawi się na redzie statek egipski, którego kapitan wytłumaczy zasady obrządku muzułmańskiego pogrzebu. Potem pojawiła się kwestia miejsca, a mianowicie, gdzie pochować Aichę? Na dyskusji o tym znowu upłynęły długie godziny. Ostatecznie postanowiono, że spocznie na trawiastym kawałku piaszczystej Republiki. Tutaj jej twarz w naturalny sposób mogła być zwrócona w stronę Mekki.

W ciągu pięciu dni przetargów Zoe czatowała za drzwiami do późna w nocy albo w oknie, gdy zaczynał padać deszcz. Gdy dowiedziała się, że Horty'emu nie grozi niebezpieczny Sciarfoni, spodziewała się, że mąż w każdej chwili może się pokazać w górze ulicy La Villemarque.

On jednak się nie pokazywał.

Zoe myślała najpierw, że Horty ma kłopoty z wymiarem sprawiedliwości o zatarg ze Sciarfonim. Włoch był wystarczająco brudnym bydlakiem, aby wmieszać go w zamordowanie Aichy. Ludzie powiedzieli jej, że żandarmi już dawno skończyli przesłuchiwanie Sciarfoniego i przenieśli go do stolicy departamentu.

Zoe pomyślała więc, że jej mąż przyzwyczaił się do tawerny i jeszcze się nie odzwyczaił. Horty był człowiekiem twardym, ale powolnym. Spędziwszy całe życie w porcie, wciąż był wrażliwy na spokojny widok cumujących statków, skądkolwiek one przypływały. Nie należał do tych, którzy wstają od stołu prze-

łykając ostatnie kęsy. Potrzebował trochę czasu jak statki, które obsługiwał, żeby się rozpędzić i ponownie wypłynąć w rejs.

Piątego dnia Zoe znowu pożyczyła sukienkę od Batyldy Buren. Na pogrzeb Aichy poszły razem, trzymając się pod rękę. Szły drogą nad morzem jak na niedzielną przechadzkę. Zresztą akurat była niedziela, ale ten dzień nie oznaczał niczego nadzwyczajnego dla muzułmanów. Pogoda była bardzo ładna. Obie kobiety czasami przystawały i zażywały szczyptę z tabakierki Batyldy. Wspinając się na wydmy Republiki, zobaczyły z daleka tłum kierujący się w stronę łąki. Nagle Batylda kichnęła, a Zoe powiedziała „na zdrowie". Dziewczyna podziękowała. Miała nadzieję, że na jej ślubie będzie również tyle ludzi co na pogrzebie małej Turczynki.

Gdy grzebano Aichę twarzą w kierunku jej świętego miasta, owiniętą jedynie w całun, Zoe szukała Horty'ego. W końcu go znalazła. Ten zmęczony człowiek siedział na ziemi. Ubranie miał czyste, ale nie golił się co najmniej od trzech, czterech dni. Miał przekrwione oczy. Kilku mężczyzn otaczało go niby więźnia, którego kazano im pilnować.

— Horty - odezwała się Zoe. - Przyszłam z Batyldą, ale myślę, że wrócę chyba z tobą.

Spojrzał na nią, pokiwał głową i nie odpowiedział.

— Horty - głos Zoe brzmiał łagodnie. - Od kiedy zamknęli Sciarfoniego nic ci już nie przeszkadza.

— Na pewno wrócę do domu moja mała.

— Na pewno, czyli nie teraz.

— Nie teraz.

Horty mówił tak cicho, że musiała nachylić się, aby go usłyszeć. W ten sposób poczuła, że od niego mocno zalatuje alkoholem. Ale nie tak jak od mężczyzny, który właśnie przed chwilą łyknął kieliszeczek wódki lecz jak od kogoś, kto spędza cały czas na piciu. U takich ludzi nawet skóra wydziela obrzydliwy odór.

Pochyliła się jeszcze bardziej, przyglądając się jego oczom. Ruszył ręką, żeby ją odsunąć.

— To przez ten dźwig. Bez przerwy muszę wpatrywać się w to, co robię. Blask słońca od morza i od szyb, a od tego przecież bolą oczy.

— Ale to i tak chyba lepsze, niż być dokerem, co?

— Może. Nie wiem moja mała.

— Horty, jeśli chcesz wrócić do dokerowania...

Przerwał jej żywo:

— Wiem, Simeon. Ale ja nie chcę, żeby wszystko wróciło i było jak dawniej. A zresztą - dodał trochę gwałtownie - to niemożliwe.

— Mówisz tak, bo „Titanic" poszedł na dno. Dobrze wiem, co dla ciebie znaczył, jak i twój ostatni konkurs, ostatnia wygrana. Ale tak naprawdę był dla ciebie niczym, Horty. Ani go nie ładowałeś, ani nie rozładowywałeś, ani nie znałeś nikogo na pokładzie.

Wstał. Spod czystej bluzy wyjął fotografię. Natychmiast zalśniło na niej słońce, zamigotało i zaiskrzyło. To był portret kobiety w czarnej sukience i w białym fartuszku. Była blondynką. Miała zamyślone spojrzenie. Była tak piękna, że Zoe pomyślała najpierw, że jest narysowana.

— Kto to jest? - zapytała nagle zatrwożona.

— To długa historia - powiedział Horty. - Chcesz ją zrozumieć, to wysłuchaj do końca i nie przerywaj mi. Jak ci powiem, że padało, musisz sobie wyobrazić deszcz. Tak samo, jak powiem, że była noc, powinnaś spróbować wyobrazić sobie noc. Słowa są takie ubogie, moja mała.

Jeden z otaczających go mężczyzn uśmiechnął się i podał srebrną flaszkę z wygrawerowaną nazwą jakiegoś amerykańskiego klipra:

— Golnij sobie Horty. To ci dobrze zrobi.

Dźwigowy wypił i skrzywił twarz. Odrobina alkoholu pociekła mu po wargach i spłynęła na brodę. Oddał flaszkę i uśmiechnął się. Poprosił o chusteczkę do otarcia ust. Ktoś mu podał czerwony fular. Już zbliżali się inni mężczyźni. Pogrzeb Aichy dobiegał końca.

— No więc - zaczął Horty - no więc to było w Southampton. Takie miasto, port na południu Anglii...

Wśród tych, którzy przyszli popatrzeć, jak chowają młodą kelnerkę z tawerny „Pod Głową Żółwia", znajdowali się Włosi. Ich obecność tłumaczono tym, że, ostatecznie, to jeden z ich rodaków zamordował Aichę. Cóż z tego, że oprócz Karaiba nie było nikogo, komu można by złożyć wyrazy ubolewania w imieniu ich wspólnoty.

Jednym z nich był wenecjanin Giuseppe Brassatto. Nosił czerwony surdut ze złotymi wyłogami. Było to jego najporządniejsze ubranie. Wkładał je wieczorami, idąc do pracy do cyrku Continentali. Niestety trupa nigdy nie zawadziła o to miasto. A może właśnie dobrze, bo tym sposobem nikt nie wiedział, że to cyrkowy strój. Zresztą większość ludzi brała go za oficera obcej marynarki wojennej.

Ten uniform to wszystko, co pozostało Giuseppemu z pobytu w cyrku Continentali. Nosił go tej nocy, gdy na czele woltyżerek przepędziła go signora Antonella. Kostium nie stanowił jego własności. W odruchu wstydu chciał go zdjąć i oddać, ale signora nakazała wynosić się natychmiast. Gdyby nie signora Antonella, z pewnością oddałby kostium. Woltyżerki machały szpicrutami i Giuseppe obawiał się, czy aby nie uderzą go w twarz. Publiczność na ogół sądzi, że woltyżerki to małe, szczupłe dziewczyny z posiniałymi od chłodu nogami pod kusymi spódniczkami, ale one wcale takie nie są. Z daleka wydają się delikatne. Niebieskawy odcień na nogach nie powstaje z chłodu, lecz od smarowidła, które nakładają na siebie do konnej woltyżerki.

Teraz Giuseppe gratulował sobie, że zatrzymał czerwony | surdut. Hotelarzowi nigdy nie przejdzie przez myśl, że tak | ubrany człowiek może być wagabundą, oszustem, byłym boyem cyrkowym wyrzuconym za złe zaryglowanie bramki tunelu, I którym lwy z Continentali wychodziły na arenę.

W nędznych pensjonatach, w których zamieszkiwał, podawał | się za dozorcę w galowym mundurze z luksusowego hotelu przy plaży. Ot, wyskoczył na kilka godzin. Konfratrzy pomagali mu, bo co drugi dawał nocleg albo posiłek.

No cóż, zaspokoić głód i spać pod dachem, to już coś. Oprócz | tego Giuseppe Brassatto pragnął powrócić do Wenecji. Niestety uniform ze złotymi wyłogami nie wywierał takiego samego wrażenia na konduktorach w pociągach jak na restauratorach, Prawie od dwóch miesięcy Giuseppe osiadł na tym szarym i zimnym wybrzeżu, nie widząc nawet sposobu, jak się stąd wyrwać. Przyszedł na pogrzeb Aichy, bo chciał spotkać ziomków. Może ten czy ów pomoże przemie-

rzyć Francję i kawał Italii. Usłyszał, jak ludzie powtarzają: Horty, Horty będzie mówił, i pomyślał, że ten Horty pisze się Orti i że on też jest Włochem.

W końcu razem z innymi skierował się w tamtą stronę.

Gdy Giuseppe był już całkiem blisko, przyszło mu na myśl, że wszystko to przypomina epizod z opowieści o Sermonie z Gór — przeczytał o nim kiedyś w mszale*[11]

Ludzie podchodzili do Horty'ego małymi grupkami. Siadali na trawie i słuchali z zamkniętymi oczami, żeby lepiej chłonąć słowa dźwigowego. Horty górował nad nimi wzrostem. Gdy lekko rozkładał ramiona dla podkreślenia jakiejś oczywistości, słońce rzucało spoza niego cień za mały, zasłuchany tłumek. Cień przywodził na myśl człowieka błogosławiącego.

Dźwigowy umilkł. Tłum pozostawał milczący, jakby pozwalając długiej historii dźwięczeć jeszcze trochę. Podszedł Karaib i otoczył ramieniem barki Horty'ego.

— No dobra - powiedział Mulat - słucham tego co najmniej drugi raz i wcale mnie nie nudzi.

Zapowiedział donośnym głosem, że dzisiejszego wieczoru, około dziewiątej, Horty zobowiązuje się powtórzyć historię dla wszystkich, którzy przyjdą „Pod Głowę Żółwia" jej posłuchać. Oprócz zazwyczaj podawanych trunków z myślą o damach będzie serwowany pyszny napój wzmacniający. Karaib z góry prosił o wybaczenie, ale musiał trochę podnieść cenę konsumpcji. Czy nie tak jest w tawernach, w których występują artyści?

Ciągnął dźwigowego, wciąż trzymając go za ramiona. Horty miał kamienny wzrok, nieruchomy i pałający zarazem, jak bokserzy posłani na deski. Czasami potykał się.

Zoe widziała tę scenę, ponieważ siedziała razem z innymi. , Bardzo szybko zmusiła się, żeby nie słuchać. Kogo mogą interesować wszystkie te szczegóły? Jedyne, co uchwyciła, to to, że Horty spotkał w Southampton kobietę i ją poko-

---

[11] *Powieść Bousseta opublikowana pod koniec XVIII w., zawierająca motyw nędzy i wielkości człowieka.

chał, a przede wszystkim, że ta kobieta też go pokochała. Teraz nie żyła. Ale to oczywiście nic nie zmienia, nic z tego wszystkiego, co się stało. Może nawet dlatego wszystko jest jeszcze gorsze. Śmierć nie zostawiła czasu ani Horty'emu, ani tej kobiecie, by mogli zobaczyć, co w nich jest brzydkiego.

Ta kobieta nigdy nie widziała Horty'ego śpiącego na wznak z brzuchem zwiotczałym snem. Nie widziała, jak przy każdym chrapnięciu zapadają mu się wtedy boki i jak bardzo był podobny do chorej szkapy, takiej, którą wykańcza się na nabrzeżach, zaprzęgając do wagonów, żeby zaoszczędzić trochę węgla do lokomotyw. Jeśli Zoe nadal kochała go w takich momentach to dlatego, że ten jego sterany wygląd przypominał jej wszystkie lata, które upłynęły od ich nocy poślubnej. Jak wiele minęło tych lat, jak bardzo były one wyniszczające... Oczywiście, że już nie przeżyją tylu lat. Jedynie Zoe mogła jeszcze nocą odczuwać pożądanie do Horty'ego. Bo czy można się powstrzymać, żeby nie kochać wściekle tego, o czym wiadomo, że wkrótce zniknie? Tamta kobieta nie znała Hor- ty'ego po ciemku, ponieważ zostawili zapalone światło i nie spali, zbyt żarłoczni i zbyt spragnieni jedno drugiego.

Horty też nie widział tamtej kobiety, jak zamyka się w sobie w „okresach", gdy jej brzuch pracuje, i jak bywa nieobecna, chociaż obecna, niby nadąsana królewna albo jakiś zabłąkany meteor. Słowa miłości stają się wówczas słowami agresywymi, a pieszczoty - nieznośnymi gestami. Nawet Batylda Buren z tymi swoimi pięknymi ustami i z całą tą swoją młodością też podlega prawu „okresów". Widuje się ją wtedy, jak schodzi ulicą La Villemarque do „babskiego portu", gdzie z nadętą twarzą, z zaciśniętymi wargami siada, płacze i ciska kamienie do morza. W taki dzień na pewno nie pożyczy sukienki ani nie poczęstuje tabaką. Lepiej się do niej wówczas nie zbliżać. Ona wtedy nawet pachnie jakoś inaczej.

Podeszła Batylda i wyciągnęła rękę do Zoe:

— Chodź, nie zostawajmy tu dłużej.

— Zostaw mnie - powiedziała Zoe, chwytając dłoń Batyldy, żeby wstać. Miała bowiem wrażenie, że nogi jej nie utrzymają.

— Nie wiem, co ci powiedzieć - mruknęła Batylda, otwierając tabakierkę. - To jeszcze okropniejsze od tego, co przydarzyło się tej małej Turczynce. No bo ty żyjesz. Co teraz zrobisz, Zoe?

— Znienawidzę go.

Zabrzmiało to tak, jakby nagle postanowiła rozpędzić się po łące, rozłożyć krótkie ramiona i wzbić się w powietrze na oczach wszystkich. Na pewno nie była bardziej zdolna do latania niż do znienawidzenia Horty'ego.

— Niedobrze mi - powiedziała.

Idąc w stronę wydm czuła, jak zagnieżdża się w niej cierpienie. Domyślała się, że uniemożliwi ono nienawiść, ponieważ wypełniało ją całkowicie i przenikało, nie pozostawiając ani chwili wytchnienia. Zoe próbowała je odpędzić. Na próżno. Czasami miała wrażenie, że cierpienie ustąpi, ale nie, trwało nieruchome i przyczajone. Znowu zaczynało nękać i cierpliwie drążyć jak morze.

— Nazywaj mnie Zeppe - powiedział Giuseppe.

— Zeppe - powtórzył Horty.

— Nie tak się wymawia, przez „z". Coś pomiędzy „z" i „s". Tak jakby wstawić tam jeszcze przedtem „d". Dzsseppe, no nie?

— Dzsseppe - powtórzył posłusznie Horty. - Od tego chce się pić.

— Mam co trzeba - powiedział człowiek w czerwono-złotym ubraniu.

Postawił na stole pięknie spotniałą karafkę białego wina. Zgarnął ją z kontuaru, zanim przysiadł się do dźwigowego.

Teraz, gdy historia dobiegła już końca, wokół nich znowu rozmawiano. Amelia zaoferowała swoje usługi Karaibowi na wieczór, na dwa wieczory, zamiast Aichy. Amelię nazywano Gloria-Jagniątko dlatego, że miała kręcone włosy i chętnie pozwalała klientom klepać się po tyłku, a nawet bić. Teraz miała anginę i nie mogła pracować w przeciągu na ulicy Solidor. Błyszczące gorączką oczy Amelii przyciągały mężczyzn. Na sali zostało jeszcze kilka kobiet. Bawiło je oglądanie z bliska oficjalnej kurwy. Kończyło się „mleko wieloryba". Mulat promieniał. To był jeden z najpiękniejszych wieczorów, jakie pamięta „Pod Głową Żółwia". Prawie równie wspaniały i radosny jak bal po konkursie na najlepszego dokera portów północnych.

— Słowo daję - powiedział Zeppe - ma pan w garści to i owo. Trącił się z Hortym.

— Tak, szklankę.

— Przyszłość - sprostował Zeppe. - Wspaniałą przyszłość. Coś lepszego niż sława: przyszłość i fortunę. Pana przyszłość, sława i fortuna są zapewnione, jeśli mnie pan posłucha.

Idąc wydmami Republiki, Zeppe długo zastanawiał się i drobiazgowo rozważał swój plan. Żeby zarobić pieniądze, niekoniecznie trzeba areny wysypanej piaskiej, lwów i wol- tyżerek, chyba że lwy są zabójcami, a woltyżerki aniołami. Nie, wystarczy jeden artysta, jeśli jest wyjątkowy pod każdym względem. Uważał, że dobrze poprowadzony Horty potrafi przyciągnąć i oczarować publiczność, jakiej nie powstydziłaby się signora Antonella, dyrektorka cyrku Continentali. Nie ma wydatków na mięso, na siano i na wozy cyrkowe. Wszystko będzie proste i opłacalne.

Zacznie się od tego podwójnego miasta (Górne i Dolne, zupełnie jak Buda i Pest). Potem pojedzie się koleją, etapami, na południe Francji. A jak już tam się będzie, Wenecja znajdzie się w zasięgu ręki. Poza tym nic nie stoi na przeszkodzie, żeby przemierzać półwysep i kontynuować występy. Horty nie mówi po włosku. To nic. Przetłumaczy się jego historię i niech wkuje na pamięć. Zestawił cyfry i komentował je:

— Dzisiejszego wieczoru, tutaj, miał pan blisko dwustu słuchaczy. Jutro dwustu pięćdziesięciu, założę się. A jeśli nawet to nie będzie rosnąć, to i tak... Niech pan popatrzy. Dwieście franków co wieczór, Horty, fifty-fifty.

Dźwigowy spojrzał na Włocha. A więc ten Zeppe nie zrozumiał, że Horty nie ma nic do sprzedania ani do podarowania. Opowiadał dla samego siebie. Jeśli ludzie słuchali, tym lepiej albo tym gorzej. A zresztą cała ta historia to tylko długie łgarstwo. Szepnął:

— Zeppe, muszą to panu powiedzieć. To się nawet nie wydarzyło. To, o czym opowiadam. Bardzo chciałbym, żeby coś takiego mi się przytrafiło, ale niestety. Spałem obok Marii i jej nie dotknąłem. Była śpiąca i zmarzły jej stopy.

Zeppe spojrzał osłupiały. Jego lalko wata twarz stała się ze zdumienia zupełnie okrągła. Lekko poczerwieniał i wybełkotał:

— Ależ to znaczy, że jest pan jeszcze lepszy, niż myślałem. A więc to wszystko zmyślone?

— Oprócz tego, że Maria była piękna.

— Ale po co pan to robi?

— Maria nie żyje. Jej jest wszystko jedno. A mnie pomaga.

— Śnić?

Horty wzruszył ramionami. Z pewnością to normalne, że Zeppe niczego nie zrozumiał. Nawet Zoe wysłuchała historii na jące i odeszła bez słowa z nieobecnym spojrzeniem jak ktoś przygnębiony. Dokończył karafkę wina i powiedział:

— Śnić? Nie, żeby nie śnić. Chcę powiedzieć, żeby nie śnić w nocy, bo wtedy nie można zamawiać snów. Boję się myśleć o niej jak o utopionej. Zeppe, pan nigdy nie widział topielca. Nie ma pan pojęcia, jak wygląda. A więc śnię na jawie i w ten sposób śpię w nocy. Owszem, piję, ale to raczej otępia.

Zeppe powiedział, że wszystko rozumie. Pośpiesznie dał znak, żeby Gloria-Jagniątko przyniosła więcej wina. Sen czy nie sen, to w niczym nie zmieniało jego projektu:

— ...Ba, trzeba się nawet śpieszyć, Horty. W tej chwili pańska historia jest piękna i zupełnie nowa. Ale co się stanie, jeśli tutejsi ludzie będą ją znali lepiej od pana? Potraktują pana jak kogoś zidiociałego, klepiącego w kółko to samo. Powiedzą, żeby się pan przymknął, a może nawet wyrzucą pana. Widziałem, jak wyrzucali z areny chłopaka3 który omal nie pozwolił uciec lwom. Te nędzne, brudne ladacznice woltyżerki przyszły ze szpicrutami...

Horty przyglądał mu się. Oczywiście nigdy nie był w cyrku. Skąd więc mógł wiedzieć, że wystawny czerwony kostium ze złotymi wyłogami należał do chłopaka, o którym mowa. Jemu Zeppe przypominał agenta artystycznego odpowiedzialnego zaangażowanie nadzwyczajnych ludzi i klownów do włoskich cyrków.

— Zastanawia się pan, czy znam twarde prawo spektaklu? Ależ tak, znam - wciąż zmieniać.

— Ja nie mogę zmienić Marii - powiedział Horty. - To byłoby tak, jakbym się obudził, prawda? A ja nie chcę się obudzić.

— No więc niech pan jedzie ze mną. Zabiorę pana do miast, w których za każdym razem to będzie nowa historia. Obiecuję, że będzie pan pił tyle, ile pan zechce, i że nigdy się pan nie przebudzi. A propos, gdzie pan nocuje?

Horty wskazał sufit:

— Poddasze. Mała Turczynka spała z jednej strony, a ja z drugiej. Teraz zostałem sam. Jest tylko jeden nietoperz, ale on nie jest zły.

Nieświadomie powtórzył słowo w słowo zdanie, jakie wypowiedziała Aicha pierwszej nocy.

— Rzeczywiście - powiedział zamyślony Zeppe. - Jest jeszcze ta historia z zamordowaną kelnerką. Mój Boże, mam nadzieję, że nie jest pan w to zamieszany ani trochę?

Horty nie odpowiedział. Wstał. Chwilę przytrzymywał się oburącz stołu. Knajpa „Pod Głową Żółwia" przechylała się raz w jedną stronę, a raz w drugą jak statek. Ponad stołem uśmiechał się do niego żółw wyrzeźbiony przez marynarzy z „Conga". Nie przyszło mu do głowy, że jest pijany i że uśmiech żółwia to halucynacja. Pomyślał jedynie, że zmarli dobrze się rozumieją i bardzo lubią.

Podszedł Karaib z bosakiem. Podniósł klapę i pozwolił opaść sznurowej drabince, która służyła do wchodzenia na poddasze. Karaib z szacunkiem przytrzymywał drabinkę, a Horty wspinał się. Towarzyszyły temu oklaski.

Ma wdzięk słonia - ocenił Giuseppe, ale to go odróżnia od woltyżerek.

CZTERDZIEŚCI osiem godzin później, po gorączkowych zabiegach, Giuseppe Brassatto uzyskał dla Horty'ego pierwszy engagement.

Joanna de Waltorg ostatecznie zrezygnowała z mszy dziękczynnej. Wolała zorganizować w lasku Halphen popołudnie miłosierdzia, z którego dochód przeznaczała na częściowe odrestaurowanie dachu pałacyku.

Wokół sadzawki, gdzie pluskały się węgorze z jej hodowli, można będzie kupić i skosztować na miejscu ciasteczka upieczone przez damy z parafii Świętego Andrzeja. Potem odbędzie się losowanie tomboli - główne wygrane to kilka małych flamandzkich obrazów, lichtarze z brązu i naczynia stanowiące część dziedzictwa Waltorgów, następnie konkurs łowienia węgorzy, a później - o ile nie będzie lało - przejażdżka automobilem po leśnych alejkach.

Całej zabawie będzie przewodzić młoda Marjorie McLeod. Niedawno wróciła z Nowego Jorku. Na zakończenie dnia Marjorie opowie z młodzieńczą naiwnością o „Titanicu" i o tym, jak wyszła cało z katastrofy. Pokaże kamizelkę ratunkową, dzięki której utrzymywała się na powierzchni lodowatej wody aż do wczesnych godzin rannych, kiedy to marynarze z „Carpathii" wciągnęli ją na pokład swojego statku. Następnie kamizelka zostanie sprzedana na licytacji.

Zeppe zastanawiał się, ile warta będzie historia Horty'ego o kobiecie, która nie miała takiego szczęścia jak Marjorie McLeod. Sądził, że na zasadzie kontrastu może być jeszczfl bardziej wstrząsająca niż opowiadanie tej małej.

— Słyszałam o tej historii - Joanna de Waltorg zawahała się

— Ludzie mówią, że nie jest zupełnie odpowiednia.

— Ależ to miłosna historia! - zaoponował Zeppe.

— No właśnie - uśmiechnęła się i na pewno wyobraziła sobie, co chciał przez to powiedzieć. - Ale czy nie mógłby pan wymóc na naszym drogim Hor-

tym, żeby ją nieco złagodził? Może niektóre szczegóły, ale naturalnie bez naruszania sedna.

— Nie, madame - powiedział Zeppe. - Wszystko albo nic.

Pomyślał, że Horty jest niewiele więcej wart niż lwy w cyrku

Continentali z wyglądu drapieżne, ale niezdolne przeskoczyć na inny taboret niż ten, do którego przywykły.

Joanna de Waltorg westchnęła. No cóż, jeśli Horty wystąpi na końcu, będzie już prawie ciemno i trochę chłodno. Większość zaproszonych już odejdzie, a w każdym razie najbardziej leciwe damy. Prawdopodobnie zostaną już tylko ludzie wynajęci przez Joannę na ten jeden dzień i pomogą jej wszystko przygotować. Tylko oni wysłuchają opowiadania dźwigowego. Jednym uchem będą wpuszczać, a drugim wypuszczać. Będą się kręcić tam i z powrotem, dopijać z kieliszków i znosić szkło.

Ciastka z parafii Świętego Andrzeja i grzane wino odniosły przewidywany sukces. Kupiono ponad sto dwadzieścia losów tomboli. Marjorie McLeod nagrodzono gorącymi brawami. Wyglądała uroczo w spódniczce ze szkockiej wełny. Kamizelka ratunkowa uzyskała tak wysoką cenę, że odcisnęła na niej ślad swoich ust, grubo pociągniętych pomadką do warg. Joanna krążyła między gośćmi i dawała im do zrozumienia, że jest tak co wieczór, gdy zapada zmrok, a szkodliwa wilgoć opada z wiązów lasku Halphen. Zapewniała, że nie będzie miała za złe tym spośród swoich gości, którzy uznają, że ostrożniej wycofać się do pomieszczeń pałacyku, gdzie właśnie napalono drewnem w kominkach.

Niestety, kobiety deklarowały, że wolą zostać i posłuchać Horty'ego. Już się rozniosło od Dolnego do Górnego Miasta, że to jedna z tych historii, których się nie zapomina. Kobiety uważały, że nie wypada im pójść „Pod Głowę Żółwia" i tam posłuchać opowiadania. Zresztą większość z nich nawet nie wiedziała dokładnie, gdzie w całym tym labiryncie niskiej zabudowy znajduje się tawerna Mulata. No, ale wysłuchać historii tutaj pod pretekstem święta miłosierdzia, w ogrodzie, który był świadkiem tylu innych zuchwałych czynów to zupełnie coś innego. Czyż latem 1790 roku baron Emmanuel de Waltorg nie wystrzelił pierwszych ogni sztucznych upamiętniających zdobycie Bastylii?

Horty wynurzył się z cienia wielkich wiązów. Zeppe dał mu się napić i obiecał, że dostanie drugie tyle, jeżeli jego opowiadanie zdoła poruszyć tych ludzi,

zaciekawionych, ale nieco oziębłych, no i... zdoła otworzyć szerzej ich portmonetki.

Sadzawka z węgorzami leciutko parowała niby atlantycka mgła wokół „Titanica” w nocy 14 kwietnia. Z powodu tej mgły marynarze pełniący wachtę wysoko w bocianim gnieździe - nazywali się Fleet i Lee - nie zauważyli góry lodowej, która rozpruła burtę statku płynącego z prędkością ponad dwudziestu węzłów.

Horty postawił fotografię Marii na ogrodowym krześle. Sam usiadł twarzą do zdjęcia na drugim krześle. Zeppe przestraszył się, że wilgoć opadająca z drzew zniszczy fotografię, ale teraz było już za późno.

— Ściemnia się - powiedział Horty. - Może nie widzicie dobrze Marii Diotret, więc ją wam opiszę.

Wodził po fotografii końcem palca, żeby podkreślić ten czy ów szczegół. Ludzie przysuwali twarze, aby lepiej zobaczyć rysy pokojówki. Niektórzy wstawali, przybliżali się i otaczali Hor- ty’ego, dwa białe krzesła i tę twarz niknącą z wolna w półmroku.

Horty mówił bitą godzinę. Naraz zamilkł. Większość słuchaczy sądziła, że był w tym momencie zbyt poruszony, by kontynuować opowiadanie. Dlatego zachowywali się cicho i oczekiwali dalszego ciągu. Nie było jednak dalszego ciągu, ponieważ Horty nie miał nic więcej do powiedzenia. Jedynie ptaki świergotały w drzewach. Trochę zdziwiona Joanna de Waltorg nachyliła się do Zeppego:

— Czy to się tak kończy? Nie opowie nam o katastrofie ani o tym, jak zginęła ta biedna dziewczyna?

Zeppe wyraźnie rozdrażniony odpowiedział:

— Katastrofa, katastrofa, wie pani dobrze, że Horty nie był przy tym.

Niemniej Giuseppe Brassatto czuł, że Horty pominął coś ważnego. Ta historia prosiła się o punkt kulminacyjny. Brakowało w niej opisu otchłani rozwartej w lodowatą noc, dudnienia ładowni statku w chwili, gdy się zanurzał, wyrzygując burtami całe zawarte w nim powietrze, czyli opisu potwornego bąbla, w którym wirują ciała, kufry, krzesła z wysokimi oparciami, futra i skrzypce orkiestry. Nie ma co! Gdy opadły emocje wywołane zatonięciem „Titanica”, cała historia sprowadziła się do zwyczajnej przygody miłosnej — do jednej z powieści w żół-

tych okładkach, w których rozczytują się dziewczyny z ulicy Solidor leżące na brzuchach na sofach. Zeppe postanowił przejrzeć następnego dnia wszystkie wycinki prasowe relacjonujące ostatnie chwile „Titanica". Chciał z nich wydobyć tworzywo do ostatniego aktu. Brakowało go w oczywisty sposób w opowiadaniu Horty'ego. To należało do niego jako do organizatora odpowiedzialnego za tournee. Tutaj znajdowali się nad brzegiem morza w portowym mieście, którego mieszkańcy nie mieli żadnych trudności z wyobrażeniem sobie agonii wielkiego statku, ale w głębi Francji będzie zupełnie inaczej. Tam, wśród dolin i wzgórz, mieszkają ludzie, którzy nigdy nawet nie widzieli morza, a słowa : „fala", „rozkołys", „grzywy", wprawiają ich w niepewność i zmieszanie.

Jeśli Zeppe i Horty chcą dotrzeć do Wenecji, historia musi być na tyle doskonała, żeby wieść o niej wyprzedzała ich i biegła szybciej niż pociąg, a dyrektorzy teatrów specjalnie wychodzili im na spotkanie aż na dworcowe perony z już przygotowanymi engagements.

Zaklaskał, dając innym przykład do aplauzu, ale goście wstawali bez słowa. Zabierali krzesełka i ławki i pośpiesznie kierowali się do dwóch czy trzech sal zrujnowanego pałacyku, gdzie napalono w kominkach, gdzie zaraz podadzą płonący poncz i gdzie rozegrają partyjkę w karty. Zeppe sądził, że opowiadanie Horty'ego nie spodobało się. W rzeczywistości ludzie byli poruszeni. Nie zauważył nawet tego, bo zmyliła go reakcja publiczności. Często dzieje się tak z osobami zobowiązanymi do wystawiania, prezentowania albo krytykowania dzieł kameralnych i ulotnych. Jednakże pocieszyła go grubość koperty zawierającej owoc kwesty.

Ponad wiązami wschodził jeszcze blady księżyc.

— Chodźmy, wracamy - powiedział Zeppe, kładąc dłoń na ramieniu Horty'eg.

Odjechali dorożką. Po drodze Zeppe dzielił pieniądze na dwie równe części.

Horty patrzył obojętnie, jak układa monety na ławce i liczy je powoli. Czasami wstrząs zrzucał wszystkie na podłogę i Zeppe musiał zaczynać od nowa. Ale tak naprawdę nie miał nic przeciwko temu. Lubił liczyć pieniądze.

— Nieźle, co? - powiedział. - A to dopiero początek. Wszystko dopracujemy. Może pan na mnie polegać. Miałem okazję zapoznać niejakiego Edmonda Geirarda z „Le Grand Théâtre". Może czeka nas nieoczekiwanie pomyślne zrzą-

dzenie losu za trzy dni, to znaczy w sobotę przed południem, po podniesieniu kurtyny, przed występem dziewcząt z konserwatorium. Jedna z nich mogłaby panu akompaniować i improwizować muzykę do pana słów...

Horty mu przerwał:

— Niech pan powie woźnicy, żeby zatrzymał na ulicy La Villemarque. Tam wysiadam.

— Wraca pan do Zoe?

— Do Zoe, do siebie.

Zeppe zaniemówił. Nie podobał mu się ten pomysł. Dowiadywał się wcześniej o Zoe. Pomimo niskiego wzrostu miała reputację osoby, której nikt niczego nie mógł narzucić. Przypuszczał, że była to kobieta z gatunku signory Antonelli i jej woltyżerek. A co będzie, jeżeli ona przekona Horty'ego, żeby rzucił to wszystko? Albo jeżeli ona też zechce odbyć podróż do Wenecji? Może zażąda dwóch posiłków dziennie, noclegów w prawdziwym łóżku, raz na tydzień kąpieli i odpoczynku w niedzielę? Zeppe śpieszył się, bo pilno mu było zbić fortunę i znaleźć się w Italii. Podróż do Wenecji widział jako kawaleryjską szarżę, a nie jak turystyczną promenadę z bedekerem w ręku. Dlatego zaproponował:

— Niech pan posłucha. Znam pewien dom otwarty do późna w nocy. Teraz, kiedy mamy pieniądze, możemy sobie wynająć piękny, duży pokój. I dwie kobiety. Czyste, śliczne, nie takie jak Gloria-Jagniątko. No, a jeśli jest pan zmęczony albo po prostu zbyt mocno myśli pan o Marii, można kazać tym kobietom, żeby kochały się ze sobą. A my obaj będziemy na nie patrzyli, popijając coś dobrego. To bardzo podniecający widok, zapewniam pana.

— Wieczorem wracam do Zoe i do siebie - powiedział Horty.

— Dobrze - zgodził się Zeppe. - Zgoda. Naturalnie, jest pan wolny. Może pan iść, gdzie się panu podoba. Czy jest pan w jakikolwiek sposób moim więźniem? Czy ja mam do pana jakieś prawo?

— Żadnego prawa — potwierdził Horty,

— Absolutnie żadnego - powtórzył Zeppe. - Ale mam zobowiązanie w stosunku do Geirarda. Dałem słowo temu człowiekowi, że będziemy tam na podnie-

sienie kurtyny. Wydrukuje afisze z pańskim nazwiskiem. Jeśli pan się nie zjawi, ja i tak muszą zapłacić.

— Przyjdę - powiedział Horty.

— Jestem pewien, że tak. Ale to dopiero za trzy dni. Nie będzie pan przechowywał zdjęcia Marii trzy dni za koszulą. Przesiąknie potem i zniszczy się. Lepiej pan zrobi, jak mi je pan odda.

Woźnica skręcił w stronę Dolnego Miasta. Nie wiadomo, skąd przybłąkały się bezdomne psy, które biegły za nimi i ujadały, płosząc konia.

Drzwi nie były zamknięte. Świeciła się tylko jedna lampa. Ze źle wyregulowanego knota unosiła się długa smuga szarego dymu. Horty wszedł. Powstał przeciąg i rozwiał dym.

Zoe stała w halce na środku pokoju. Miała obnażone piersi. Jęknęła i raptownie zasłoniła je ramionami, jakby zaskoczył ją ktoś obcy.

Patrzała na Horty'ego i nie odzywała się. Wodziła za nim oczami, tak jak śledzi się błędny lot nocnej ćmy, zastanawiając się, gdzie też w końcu usiądzie. Rzeczywiście Horty sprawiał wrażenie, że nie wie, co ma zamiar zrobić. Spoglądał wokół siebie. Zaczynał jakieś gesty i ich nie kończył. Zaskoczył go zapach domu. Wydawało mu się, że dom pachniał ciepłem, cukrem, woskiem jak ul otwarty na słońcu. Tej nocy pachniało niepozmywanymi naczyniami, naftą i chłodem. Czyżby nie było go tak długo, że już nie poznaje stęchlizny własnej nory? Wreszcie Zoe powiedziała:

— Jeśli jesteś głodny, został węgorz w sosie. Rondelek jest w zlewie.

Zauważył, że Zoe zawsze twierdziła, iż nie lubi węgorza. Wzruszyła ramionami, wciąż przytrzymując piersi piegowatymi rękami:

— Batylda niedawno mi przyniosła.

— Powiedz jej, że nie potrzebujesz miłosierdzia - powiedział Horty. Wykładał na stół zarobione złocone monety. - Masz za co jeść. A niedługo będziesz miała dużo więcej.

Zoe pomyślała najpierw, żeby odepchnąć pieniądze na krawędź stołu. Niech spadną, niech Horty schyli się, niech uklęknie i niech je zbiera. Ale taki pogardliwy sposób traktowania pieniędzy - które zresztą zawsze szanowała - nie zwie-

dzie Horty'ego, bo dojrzy w tym znak, że jest zagubiona i nieszczęśliwa. Nie chciała, żeby się nad nią litował, więc zgarnęła drobniaki i przeliczyła na głos powoli, jak należy. Wzięła z etażerki pudełko, w którym trzymała szpulki nici, igły, nożyczki i mały złoty naparstek. Dostała go od Horty'ego w dniu ślubu. Włożyła pieniądze do pudełka i powiedziała:

— Będziesz wiedział, gdzie ich szukać. Ja ich nie tknę.

Jednak nalegał:

— To dla ciebie moja mała. Ja mam Zeppego. On mówi, że się wszystkim zajmie.

Potrząsnęła głową. Czuła niesmak i przerażenie. Handlarz z wraków nie powinien opowiadać wszystkich tych historii o tragicznych towarach. Handlowanie śmiercią, żeby zarobić na chleb, nie było w porządku.

— A teraz wynoś się stąd!

Spojrzał zdumiony:

— Dlaczego? Zoe? Jestem u siebie?

Pokazał drzwi ich pokoju:

— Tam jest nasze łóżko, a ja mam zamiar w nim spać.

— Ale najpierw przypniesz do ściany zdjęcie tej dziewczyny, tak?

— Już go nie mam - powiedział.

Rozchylił koszulę i pokazał nagą pierś:

— Zeppe je zabrał, przecież widzisz...

Zoe powtórzyła łagodnie:

— Wynoś się stąd.

Wielu mężów zdradzało swoje żony, zarówno w Dolnym jak i w Górnym Mieście. Wszystkie kobiety, zanim się dowiedziały, że są zdradzane, powtarzały sobie, że kto jak kto, ale one nie popełnią powszechnego błędu i nie przepędzą winowajcy wśród łkań. Przeciwnie, otoczą go staraniem większym niż kiedykolwiek. Pójdą do fryzjera i sprawią sobie nową sukienkę. Nocą zdobędą się na

pieszczoty, które napawały je lękiem i na które nigdy dotąd nie pozwalały. W razie potrzeby same wymyślą coś nowego. Nakupią wstążek i udekorują nimi cztery rogi łóżka. Zaproponują mężczyźnie, aby je nimi związał. Będą walczyć z rywalką i pokonają ją jej własną bronią - urokiem. Oto co sobie obiecywały, gdy paplały w „babskim porcie" pochylone jak praczki, wygrzebując z piasku jakieś znaleziska. Zoe mówiła tak samo jak inne. Dodawała tylko ze śmiechem, że już dawno odłożyła pieniądze na nową sukienkę i na fryzjera. W zakładzie przy bulwarze Petit-Jean używają pudru z Arabii nadającego włosom nierzeczywistego blond połysku. Dzięki temu jej urok stanie się nieodparty.

Jednak Maria utopiona w prądzie labradorskim była niedosiężna. Utonęła zbyt daleko. Morze nigdy nie wyrzuci jej wyblakłego ścierwa, nadżartego przez zwierzęta i słoną wodę. Kto zdoła pozbawić czaru tę młodą nieboszczkę zakrzepłą w swojej piękności. Nie ma nawet grobu, na którym można by zatańczyć. Zoe pozostał tylko wiatr i tylko jemu mogła urągać.

Jako dziecko, gdy miała osiem, a może dziesięć lat, Zoe kochała mężczyznę w podeszłym wieku, który wówczas wydawał jej się stary. Był nim lekarz. To on otworzył jej wrzód na dziąśle. Sterroryzował ją i zadał wściekłe cierpienie. Pamięta siłę tego mężczyzny, gdy rozchylał jej szczęki. Bardzo białymi palcami zadał gwałt jej ustom nasączonym środkiem dezynfekcyjnym. Środek był tak gorzki, że omal nie zwymiotowała. Pamięta, jak włożył rękę w jej usta, żeby nie mogła go ugryźć. Potem czuła szalony ból... i wyciągnął zakrwawione palce. Pogłaskał ją po głowie. Tak, tak, grzeczna mała dziewczynka. Zoe znienawidziła go za te słowa, ale nie na długo. Jeszcze tego samego dnia wieczorem włożyła w obolałe usta własne palce i próbowała sobie wyobrazić, że to palce doktora. Żyła nadzieją, że jeszcze zobaczy tego mężczyznę i że on, zanim odejdzie ze słowami: tak, tak, grzeczna mała dziewczynka, jeszcze zada jej ból, spowoduje, że popłyną jej z oczu łzy. Zmuszała się, żeby zachorować. Kilka razy nawet udało się, ale na próżno. Lekarz z twardymi palcami wyjechał do innego miasta. A przecież nie zapomniała o nim. Czasami budziła się w nocy z uczuciem, że wielka ciężka ręka siłą rozwiera jej usta i je rani.

Zoe mogła być pociągająca i piękna, ale i tak nie przewyższy Marii, podobnie jak na próżno starała się zachorować, żeby znowu ujrzeć doktora. Maria i doktor zniknęli. Stali się legendą, osobami zadającymi ból i niedosiężnymi. Zoe pozostał tylko Horty. On był osiągalny i jego można ukarać.

Zapadła noc. Zoe czuła się brzydka, brudna i bezradna. Nie chciała, żeby Horty wrócił teraz, w chwili, gdy już go nie oczekiwała. Gdy pchnął drzwi, kończyła zdejmować sukienkę. Szła spać, ale nie zdjęła halki i majtek, żeby nie zmarznąć. Zawstydziła się niezbyt świeżej halki. Była pewna, że w tym dziwacznym stroju wyglądała śmiesznie. Próbowała zachować się jak kobieta zakochana albo po prostu pobłażliwa. Powiedziała:

— Dziś znowu widziałam się z przewodniczącym Simeonem.

— Dziś znowu?

— Daję mu trochę. No przecież wiesz! Zrobił cię już dźwigowym.

Patrzył na swoją żonę. Nie odwracała wzroku. Jeśli nawet nie była taka piękna, jak tego pragnęła, nigdy nie była tak odważna jak tego wieczoru.

— Tak - powiedział. - Tak mi się zdawało, że coś w tym jest

— Myślisz, że co, że mówię o tym, żeby ci odpłacić tą s monetą? U mnie to jest fałszywa moneta. To nie tak jak z dziewczyną i z tobą w Southampton. Oczywiście że nie. Wiesz co on mi robi? To, co robiliśmy, jak byłam dzieckiem. To si nazywa zabawa w doktora. To nas bawiło. A on od tego płacze Nawet gdybym ja chciała, on nie może. Nic poza nędzny pieszczotami, a ja ich nawet nie czuję. Horty pragnęłam pomóc, a Simeon chciał mi zrobić przyjemność. Ale teraz już późno. Mówią, że pijesz. Na nabrzeżu boją się wypadku Wyrzucą cię pod koniec tygodnia.

Horty wiedział o tym. Ostrzegł go Al Bazeiges. Doye powiedział ze zwykłą sobie szczerością, że sam głosował, żeby g wyrzucili. Owszem, żałował go, ponieważ Horty był dobry kolegą. Doyen liczył po cichu, że Horty zajmie jego miejsce. T więc Horty zszedł z dźwigu numer 14 i długo ściskał Al Bazeigesa na oczach wszystkich, żeby pokazać, że nic do nieg nie ma. Nie przeżywał żadnego wewnętrznego rozdarcia a nawet nie czuł głuchej goryczy. Śmierć Marii przeorała go j przesieki wyrąbane w żywym lesie dla zagrodzenia drogi płomie niom. Nawet nie spojrzał ostatni raz do góry na swój dźwig Jeszcze pozostały na nim, częściowo spłukane ostatnim desz czem, inwektywy nasmarowane ręką Sciarfoniego.

— Może będziesz mógł wrócić jako doker? - powiedział doyen. - Tam nie będziesz niebezpieczny, chyba że tylko dla siebie. A jeśli nie trafisz na deskę, wiesz dobrze, że wyciągniemy cię z wody.

Czy był dokerem, czy nikim, to nie było najważniejsze. I tak zaraz odjeżdżał z Zeppem. Najważniejsze było to, że Zoe tu zostaje. Gdy ją zobaczył prawie nagą, przyciskającą ramiona do piersi, przyszło mu do głowy, że na pewno jest jej zimno. Pomyślał, że pownien jej dać coś do okrycia. Zoe nie wiedziała, że rozgrzewanie zziębniętej kobiety poruszało Horty'ego równie silnie jak kochanie się z nią. Chciał jej to wytłumaczyć. Może to był taki jego sposób, żeby jej powiedzieć, ile wciąż jeszcze dla niego znaczy. Ale poczuł, że jest za późno. Poza tym nie znalazł odpowiednich słów. Za dużo mówił o miłości przed chwilą w lasku Halphen.

Wszedł do pokoju i zerwał z łóżka narzutę z długimi frędzlami z białej wełny, którą przywieźli mu z Rio de la Plata. Wrócił i zarzucił ją na ramiona Zoe. Zaskoczyło go tajemne zadowolenie w jej oczach. Zauważał je za każdym razem, gdy rozgrzewał kobietę.

— Zoe, odchodzę, bo ty tak chcesz. Ale przedtem ci powiem, że wszystko, czego słuchałaś o tej pokojówce, to nieprawda.

Uśmiechnęła się do niego może dlatego, że już jej nie było tak zimno jak przed chwilę. Z tym uśmiechem była oczywiście jeszcze smutniejsza, niż gdyby w ogóle się nie uśmiechała.

— Po co to wszystko wymyśliłeś? A przede wszystkim, jak to wymyśliłeś? Nigdy nie umiałeś niczego opowiadać. Na naszym weselu każdy opowiedział jakąś historię oprócz ciebie. Mówiłeś, że nie znasz żadnej historii, a w każdym razie nie umiesz opowiadać. Bo jeśli to jest coś, co sam wymyśliłem, to jeszcze gorzej, bo oznacza, że to, co masz tutaj ze mną, nie wystarcza ci.

Wychodząc, zostawił niedomknięte drzwi. Zoe będzie musiała podejść do progu, żeby je zamknąć. Wtedy zobaczy, jak odchodzi w noc. Może go zawoła, choćby pod błahym pretekstem, który nie zwiedzie ani jego, ani jej.

Pozostała nieruchoma na środku pokoju. Dłonie oparła płasko na stole jak ktoś, kto podpiera się z obawy, by nie upaść.

Zeppe czatował na Horty'ego w górze ulicy, siedząc na balustradzie. Wyciągnął butelkę.

— Za wolność! Wiedziałem, że w końcu porzuci pan klatkę. Kiedy zaznało się tego, czego pan zaznał w Southampton, nie można już dłużej w niej siedzieć.

Wskazał przysadzisty dom z jeszcze półotwartymi drzwiami. Gwałtowne uderzenie wiatru zatrzasnęło drzwi.

Zeppe nie odprawił dorożki. Kazali się wieźć do tego domu, o którym wspomniał Zeppe. Dom stał w górnej części miasta, w małym parku z groteskowo przystrzyżonymi bukszpanami i sadzawką obrośniętą fasolą. W salonie Zeppe wybrał dwie dziewczyny: Agatę i Józefę, i zamówił wino. Gdy poszli do pokoju, dziewczyny oznajmiły, że wiedzą, kim jest Horty. Uparły się, że chcą koniecznie usłyszeć jego historię. Zeppe powiedział im, że nie po to wzięli je do pokoju. Dziewczyny odpowiedziały wrzaskliwie, że dobrze o tym wiedzą, ale w zamian będą wyjątkowo uprzejme.

Zeppe zastanawiał się. Jeśli dziewczyny opowiedzą potem tę historię szefowej burdelu i swoim koleżankom, to będzie to darmowa reklama. Reputacja Horty'ego wyjdzie spoza murów jednego z najbardziej cenionych domów w Górnym Mieście. Tak, to będzie zachęcający sygnał.

— Nie dłużej niż kwadrans - szepnął do Horty'ego. Te dziwki poświęcą nam tyle samo czasu, zanim się zdrzemniemy. Czy prosi pan o zdjęcie?

Horty powiedział, że nie potrzebuje, ponieważ iedna z dziewczyn trochę przypomina Marię. Tak naprawdę nie była do niej podobna, ale czuł, że sprawi tym przyjemność Agacie, drobnej i rudawej jak Zoe. Horty spodziewał się, że w końcu zaśnie właśnie przy jej drobnym ciele. Z pewnością należała ona do tych kobiet, które marzną w nocy i szukają po omacku, w półśnie okrycia. A kiedy podać im kołdrę - dziękują z dziecinnym uśmiechem.

GIUSEPPE Brassatto za pieniądze, jakie mu zostały z występu w lasku Halphen, zamówił u fotografa Georgesa Lebensa przy ulicy Neuves-Ecoles powiększenie portretu Marii.

Lebens najpierw zrobił negatyw zdjęcia i dopiero z tej kliszy wykonał powiększenie do naturalnych rozmiarów. Zeppe nie wiedział, ile centymetrów mierzyła Maria, więc powiedział Lebensowi, że około metr sześćdziesiąt.

— Powiększenie do takich rozmiarów nie wyjdzie już dobrze

— uprzedził Lebens. - Będzie za duże i nieostre. Odniesie pan wrażenie, że widać tę damę jakby przez mgłę. Czerń nie będzie czystą czernią, biel wpadnie w szarość.

Pierwsza próba nie powiodła się. Georges Lebens nie miał wystarczająco dużej kuwety, by papier odbitki zanurzyć w utrwalaczu. Obaj patrzyli bezsilni na ogromną, jeszcze mokrą fotografię, która stopniowo czerniała, aż znikła zupełnie. Ostatnim znikającym szczegółem z uwagi na czystą biel był fartuszek pokojówki.

Zeppe obszedł całe miasto w poszukiwaniu kuwety długości metr sześćdziesiąt. Niestety, nie znalazł nigdzie i musiał zadowolić się cynkową miednicą wyszperaną u antykwariusza. Wyczerpał już fundusze i zabrakło mu na miednicę, więc zastawił srebrny sygnet.

Lebens z powątpiewaniem oglądał tę miednicę. Owszem, rozmiar odpowiedni, ale cynkowa? Cynk może przecież połączyć się z utrwalaczem i grozi nieprzewidziana reakcja chemiczna. Na przykład może zacząć wydzielać się trujący gaz. Żeby sia zabezpieczyć przed takimi wyziewami, obaj mężczyźni owinęli twarze zmoczonymi ściereczkami. Zanurzyli powiększenia w roztworze. Kąpali wielkie zdjęcie, jak gdyby to była prawi dziwa kobieta, nierzeczywista i nieskończenie lekka.

Zeppe odczuwał niejakie zażenowanie, widząc twarz Marii — teraz już naturalnej wielkości - zagłębiającą się w cieczj i ociekającą po wynurzeniu. Jej szeroko otwarte oczy nawet nil mrugnęły. Nie potrafił powstrzymać się od myśli, że

może tan właśnie wyglądała wówczas, gdy ześlizgiwała się w głęboką mroczną otchłań oceanu

Po wywołaniu zdjęcia fotograf chciał sprawdzić, jak działa utrwalacz. Jeżeli całe powiększenie nie zostanie zanurzona równomiernie w roztworze, istnieje ryzyko, że w świetle reflekl torów pokryje się plamami. Zeppe i Lebens wynieśli jeszczl mokre zdjęcie na podwórko przylegające do pracowni. Rozl wiesili je na gałęzi wierzby, umocowując spinkami do bielizny i wystawili na działanie ostatnich promieni słonecznych.

Usiedli i czekali, dzieląc się jedynym cygarem, które Zeppe ukradł antykwariuszowi, kupując miednicę. Pod wieczór znad morza powiał lekki wiatr, wprawiając fotografię Marii w drżenie.

— Niestety, tego się obawiałem - westchnął fotograf. - Ta pani jest nieostra.

— Cała nadzieja w tym, że będą ją oglądać przez łzy - pocieszał się Zeppe.

Następnego dnia Zeppe wrócił do Lebensa z długą i płaską deską. Przykleili do niej zdjęcie Marii, które kiwało się całą noc na gałęzi wierzby, wystawione kolejno na blask książyca, światło latami ulicznych i promienie wschodzącego słońca. Jego jakość nie pogorszyła się pod żadnym względem.

Następnie wycięli deskę według konturów fotografii, a w klocu drewna wydrążyli głębokie wycięcie i umocowali w nim deskę. W ten sposób fotografia została prosto przytwierdzona.

Na jednym z krańców Rynku wznosiła się długa, kremowa fasada „Le Grand Théâtre”. Zbudowany za czasów Drugiego Cesarstwa, dedykowany Eugenie de Montijo, pysznił się rzeźbionym medalionem z jej podobizną na frontowej ścianie.

Kwiaciarki kręciły się między kasztanowcami, dopiero zaczynającymi puszczać pąki, posadzonymi na cześć nowego stulecia. Przechadzały się też między kolumnadą, gdzie widzowie spacerowali w czasie przerw, by rozprostować nogi. Czasami kwiaciarki przystawały przy fontannie i wystawiały bukieciki fiołków, żeby je odświeżyć.

Według tradycji podobno z czasów cesarzowej fiołki hodują więźniarki z kobiecego zakładu karnego. Jego wysoki mur ciągnie się z tyłu za teatrem, wzdłuż uliczki, gdzie znajduje się wejście dla artystów. W dni przedstawień

więźniarki, których cele wychodziły na tę uliczkę, przylepiały nosy do krat i oglądały aktorów i śpiewaczki.

Zgotowały Marii żywiołową owację, gdy Zeppe wyciągał fotografię z dorożki. Oparł ją na chwilę o ścianę teatru i w tym czasie płacił dorożkarzowi. Więźniarki chyba wzięły fotografię Marii za figurę do rzucania nożami, bo z zakratowanych okien poleciały widelce i łyżki z cichaczem zaostrzonymi trzonkami służące jako ostrza. Wszystkie te blaszane rzeczy, nieumiejętnie ciskane, odbijały się od fartuszka pokojówki i spadały u jej stóp. Zeppe, patrząc na to, pomyślał cnwilę. Wydawało mu się, że wpadł na doskonały pomysł. Trzeba będzie zasugerować Horty'emu, aby zakończył historię mniej więcej tak: Maria wirująca w głąb otchłani oceanicznej, a wokół niej stosy posrebrzanych i srebrnych sztućców, które powypadały z kredensów „Titanica".

Chwycił fotografię pod pachę i wśród wiwatów więźniarek pchnął drzwi przeznaczone dla artystów.

Gdy Horty zobaczył stojącą, naturalnej wielkości Marię, zupełnie jak żywą, nieruchomą i zamyśloną, zastygłą w tej pozie — miał wrażenie, że czas cofnął się o wiele tygodni i jest u chińskiego fotografa na nabrzeżu transatlantyków w Southam- pton. Kulisy teatru podobnie pachniały drewnem i nagrzanym przez reflektory, pomalowanym płótnem. Zza opuszczonej jeszcze kurtyny dolatywał szmer widowni, ludzi szukających swoich miejsc. Horty przypomniał sobie tupot i śmiechy pasażerów idących do transatlantyku.

— W ten sposób będzie ją widać z daleka, nawet w półmroku — wyjaśnił Zeppe. - Ludzie nie będą musieli przybliżać się jaj w lasku Halphen, a pan nie będzie musiał tracić czasu nJ opisywane jej twarzy i ubrania, lecz od razu może pan przyl stępować do rzeczy. I niech pan tak dzisiaj zrobi. ProszJ pamiętać, że występujemy przed właściwym podniesienie™ kurtyny. Oni wszyscy przyszli posłuchać gry swoich pociechl A tak między nami Horty, wygwiżdżą „Titanica", Marię i pana. Poza tym dyrektor zaleca unikania śliskich szczegółów. Tu nie jest pan „Pod Głową Żółwia", tu nikogo nie obchodzi, jakie piersi i pośladki miała Maria. Tak samo niech pan się zbytnio nie rozwodzi o ustach, bardzo pana proszę. Jeden pocałunek czy dwa, zgoda, ale daj pan spokój z tymi wszystkimi rodzajami lizania, o których zwykle długo pan opowiada. Ludzie tego nie lubią, zapewniam pana. Ma pan przed sobą chłodną publiczność. Horty, w tym świecie nie zdejmuje się rękawiczki, podając dłoń do pocałunku, ani woalki, gdy nadsta-

wia się policzek. Niech pan nie liczy, że tu ktoś się rozmarzy na myśl o ustach pokojówki. Geirard próbował anulować kontrakt, gdy dowiedział się, że księża od Świętego Andrzeja zarezerwowali cały dwunasty rząd. Taka strata! Za co kupowalibyśmy bilety do Amiens? Bo ja bardzo liczę, że w poniedziałek wieczorem będziemy już w Amiens. Znam tam doskonały mały hotelik z oranżerią. Wystarczy przesunąć kilka donic z palmami i zmieści się tam nawet i sto osób. W hotelu i tak mieszka pięćdziesięciu pensjonariuszy, więc bez trudu da się zgromadzić dodatkowo jeszcze pięćdziesięciu widzów.

Horty słuchał go jednym uchem. Podszedł do fotografii Marii. Dotknął jej. Była ciepła dzięki mocnym światłom w teatrze. Czy dalej będzie się nagrzewać? I dokąd tak? Czy z gorąca nie odklei się od cienkiej deski, do której przytwierdzili ją Lebens i Zeppe? Prawdopodobnie Horty będzie musiał zająć się tą papierową pokojówką tak, jak zajmował się prawdziwą: w garkuchni „Calcutta" i na żelaznych schodach fabryki Har- ston and Harston, i w samym pokoju hotelu Reda Spithead.

— Co do tego wielkiego zdjęcia - ciągnął Zeppe - przyszło mi na myśl, że moglibyśmy przepiłować je na pół, na wysokości węzła fartuszka. O tu, tu, w miejscu, gdzie pan teraz przyciska policzek. Dorobi się zawiasy i będzie składana na pół i dużo wygodniejsza do przewożenia koleją.

Horty osobiście ustawił powiększenie na scenie nie w centrum świetlnego kręgu, lecz na jego skraju. Widywał Marię przede wszystkim w półmroku, więc inni też powinni ją tak widzieć. Usiadł obok niej na czarnym krześle i lekko pochylił się do przodu, a dłonie wetknął między uda. Wyglądał jak człowiek siedzący na cmentarzu przed grobem. Ponieważ pochylił trochę twarz, najpierw słabo było słychać, co mówi. Na widowni rozległy się niecierpliwe wołania: głośniej! głośniej! Ale nie podniósł głosu i ludzie musieli zachować zupełną ciszą, żeby chwytać jego słowa.

Horty był na scenie od czternastej trzydzieści do piętnastej czterdzieści, dużo dłużej niż dwadzieścia minut przyznane mu przez dyrektora. Po dwudziestu minutach Geirard podszedł za kulisami do Zeppego:

— Panie Brassatto, niech go pan powstrzyma. Czy pan wie, że oprócz tego mam jeszcze dwanaście małych pianistek i pięć flecistek? Czy jest pan w stanie opanować sytuację? Tak czy nie, signor Zeppe?

Zeppe wolał nie odpowiadać. Wreszcie zrozumiał to, czego nie pojął podczas święta miłosierdzia u Joanny de Waltorg: cisza widowni stanowiła najdoskonalszą formę manifestacji uczuć. Cisza zapadająca z wolna w sali „Le Grand Théâtre" była przytłaczająca. Giuseppe Brassatto jeszcze nie był świadkiem takiej ciszy. Znał tylko jedno zjawisko, które można do tego przyrównać: Wenecja pod śniegiem.

Geirard był zrozpaczony. Dał znak reżyserowi, by opuścił kurtynę. Ten wybrał jeden z konopnych sznurów zwisających spod stropu. Coś zaskrzypiało na górze. Złote frędzle kurtyny zadrżały i zaczęły opadać, lekko falując i uderzając o siebie. Na widowni wstał jakiś mężczyzna i zażądał, żeby natychmiast wyciszono niedopuszczalne odgłosy.

Horty nie trzymał się żadnych wskazówek Zeppego. W tej chwili mówił właśnie o języku Marii. Za pomocą ograniczoneg słownictwa, jakim władał, próbował oddać to, co odczuwał, gd po raz pierwszy język Marii ślizgał się po jego skórze. Wytęż umysł, by znaleźć odpowiednie słowa. Od tego wysiłku nabrzmiały mu żyły na skroniach. Były tak samo grube i niebies kie jak wówczas, gdy zarzucał ciężar na plecy. I tak jak wtedy teraz miał podobne wrażenie. Czuł, że się dusi i trawi go ogii w piersi. W takich chwilach często zdawało mu się, że zar skona i że stanie się to dużo wcześniej, zanim dojdzie do trap statku i zrzuci ciężar.

Kurtyna poszła w górę i pozostała tam aż do końca występ Horty'ego.

Korespondenci z „Telegramu", „Latami Północy" i z „ Depeche" zadali sobie trud i przyszli posłuchać muzykalnyc dzieci. W rezultacie prawie wcale o nich nie napisali. Jeśli chodzi o Horty'ego, określili jego występ w ten sposób: Horty raczej przeżywał historię, niż ją opowiadał, a wszyscy na widowni mieli wrażenie, że przeżywają to razem z nim. Tymczasem sama historia nie była niczym nadzwyczajnym - podkreślali dziennikarze. Nie opierała się na oryginalnym pomyśle. Nie wynikała z niej żadna nauka i nie oznajmiała niczego nowego. Z powodzeniem można by ją sobie darować. A jednak, słuchając jej, człowiek przenosi się na tak długo do innego świata, jak długo o niej pamięta. Była to historia człowieka wyjątkowo prostego, wręcz prymitywnego, który pokochał młodą kobietę - także bardzo prostą - i był przez nią kochany. Historia kończy się przed katastrofą. Rozstają się, przy czym żadna okoliczność nie staje na przeszkodzie tej miłości. Rozstają się, ponieważ każde z nich musi iść w swoją stro-

nę. Ot i wszystko. Nie mają nadziei na ponowne spotkanie i nie rozpaczają z tego powodu. Wydaje się, że krótkie chwile, które spędzili razem, były dość bogate w przeżycia, chociaż słowa, które wymienili, były równie skromne jak oni sami. Korzystali tylko z tego, co mieli przed oczami. Dali sobie wszystko aż po kropelki śliny, aż po kropelki uryny, co zazwyczaj jest odpychające. Ale oni zrobili z tego podarunki równie bulwersujące jak kulki zwiniętego papieru nie zawierające w środku niczego albo jak bezużyteczne kamyki. Czasami dzieci dają takie kamyki dorosłym, którzy przechowują je długo w głębi szuflad, a jeszcze dłużej w pamięci.

Nie było braw. Publiczność w „Le Grand Théâtre" pozwoliła Horty'emu zejść ze sceny w tej samej przytłaczającej ciszy, w której wysłuchała opowiadania.

Gdy Horty zniknął, a dwaj maszyniści zabrali wielką fotografię, sala ożyła. Matki pośpiesznie zarzucały płaszcze na ramiona małym solistom. Geirard wypchnął reżysera na proscenium, aby przypomniał publiczności, że to nie koniec i teraz zaczną się popisy młodocianych muzyków. Wszyscy czuli, że coś się dokonało. To coś sprawiło, że nie można było dłużej tam pozostawać. „Le Grand Théâtre" opustoszał. Ludzie rozproszyli się po Rynku. Pogoda była ładna. Kwiaciarki nie przewidziały wcześniejszego zakończenia poranku i rozeszły się po okolicznych kawiarniach. Zanim zapłaciły i zebrały bukieciki fiołków - nie było już komu sprzedawać kwiatów.

Horty i Zeppe wsiedli do dorożki. Zeppe powiedział do woźnicy:

— Jedziemy gdziekolwiek, tam, gdzie o tej porze podają szampan. Najlepiej, jeśli będzie to lokal z widokiem na morze.

Dorożka toczyła się nadmorskim bulwarem, gdzie wymieniano bruk z uwagi na bezpieczeństwo automobilów. Horty miał nadzieję, że woźnica pojedzie skrótem i skręci w ulicę La Ville- marque. Może Zoe ujrzy go rozpartego w dorożce niczym jakiegoś nababa i zrozumie, że Maria nie tylko przynosi nieszczęście.

Zoe nie stała ani w progu, ani w oknie. Woźnica minął dom nie zwalniając, ale Horty i tak zdążył zauważyć, że Zoe zabrała rośliny i zamknęła okiennice. Dotknęła go i zmieszała myśl o jej wyjeździe z miasta. Zawsze sobie wyobrażał, że tak będzie wyglądał ich dom, gdy on i Zoe zejdą z tego świata - bez kwiatów

z pozamykanymi okiennicami.

Któregoś wieczoru długo rozmawiali o tym, co się stanę z domem po ich śmierci. Oboje nie mieli już rodzin i nie znali nikogo, komu mogliby go zostawić w spadku. Może dom dostań Błażej i Maurycy, kuzyni Zoe, którzy mieszkają nad Loarą. Ra do roku tylko przyjeżdżają na północ na Wszystkich Świętych Nigdy nie przejawiali najmniejszego zainteresowania domem Jakby w ogóle nie zauważali, że ten dom istnieje. A przecież Zo nigdy po pobycie na cmentarzu nie zapominała zaprosić ich n obiad. Jeśli Zoe i Horty w końcu ustanowią ich spadkobiercami to pierwszą sprawą, którą oni się zajmą - będzie wystawieni domu na sprzedaż ze wszystkim, co zawiera. Nabywca zastani dom opuszczony. Takim właśnie Horty widzi go dzisiaj.

Zastanawiał się, czy teraz, kiedy Maria nie żyje, jej przyjaciół ka Mauren zatrzymała ich wspólne mieszkanie w Londynie Może Mauren po prostu znalazła sobie nową przyjaciółk i zamieszkała z nią? Pokazała jej rzeczy należące do Marii powiedziała: „Teraz możesz je sobie wziąć". Albo skorzystał ze słonecznej soboty i poszła na pchli targ, aby je sprzedać Młodzi ludzie, a zwłaszcza dziewczyny - myślał Horty - maj romantyczną, ale nietrwałą wizję śmierci. Czego one nie wy prawiają, żeby na pogrzebie mieć sukienkę lepszą od innych A potem niecierpliwią się - tak im pilno - żeby ją natychmias zdjąć. Horty nie pamiętał już, czy w młodości myślał podobnie Przerażała go myśl, że ci, których kocha, mogliby umrzeć. Jeśl się nad tym dobrze zastanowić, była to z jego strony reakcj egoistyczna: przeraźliwie bał się zostać sam.

Maria była pierwszą osobą, którą kochał i której śmierć ni wywarła żadnego bezpośredniego wpływu na jego życie. Śmier Marii nie wniosła nic nowego ani do teraźniejszości, ani też d przyszłości Horty'ego. Tak czy owak nie istniała szansa, ż pewnego dnia znowu ją zobaczy. Zniknął kawałek jego parnię dotyczący Marii. Ten fragment nie miał nic wspólnego z co dziennym światem Horty'ego. Pamięć o niej nieomal mogłaby do niego nie należeć. Dlatego nie odczuwał żadnych wyrzutów sumienia opowiadając historię zupełnie inaczej, niż potoczyła się w rzeczywistości. To było tak jak we śnie. Horty nigdy nie przeżył snu na tyle spójnego, żeby odważyć się opowiedzieć to, co się mu przyśniło. Dlatego starał się przerabiać sny i nadawać im pozory logiki, a Zoe wysłuchiwała ich z przyjemnością. Jaki to w końcu miało znaczenie, skoro w kilka godzin później zacierało się nawet wspomnienie tych snów?

Dorożka przejeżdżała teraz przed domem, w którym w przyszłości po ślubie mieli zamieszkać Jean-Marie Steuze i Batylda. Z zewnątrz był to najpiękniejszy

dom na całej ulicy. Cztery szerokie okna wychodziły na południe, skąd często wiały wiatry gdzie było najwięcej słońca. Horty wiedział, że budynek był na razie pustym pudełkiem, teatralną dekoracją, za którą kryły się puste pokoje. Wielka fasada pochłonęła wszystkie oszczędności Steuze'ow i Burenów.

W jednym otwartym oknie wisiała biała firanka. Okno wychodziło na ogród pełen chwastów. Horty'emu wydawało się przez chwilę, że widzi swoją żonę przycupniętą i rozdmuchującą ogień pod kotłem z praniem.

Zastanawiał się, czy na tym polegała kara Zoe: zamknąć własny dom i schronić się u Batyldy? Czy chciała mu dać do zrozumienia, że tamtego wieczoru, wypędzając go, faktycznie odrzucała całe ich minione życie? Czy nie mogła już dłużej znieść sypiania z nim pod jednym dachem? Wolała byle jakie posłanie niż zrujnowany dom, z którego śmiali się wszyscy na całej ulicy.

Raniła go myśl o bólu, jaki zadała sobie Zoe, by go zawstydzić. Postanowiła być twarda i chciała mu pokazać, iż od tej chwili uważa się za jego wroga.

Popełnił błąd tej nocy, gdy dowiedział się o katastrofie „Titanica" i o śmierci Marii, ponieważ poszedł za Sciarfonim i bił się z nim, a powinien wrócić do domu. Wtedy Zoe zobaczyłaby, jak bardzo cierpi. Na pewno pomogłaby mu, bo przecież zawsze mu pomagała.

Odwrócił się do Zeppego, mrużąc oczy, bo słońce nieprzyjemnie odbijało się w złoconych wyłogach kostiumu boya cyrkowego. Powiedział:

— Zeppe, niech mi pan pozwoli wysiąść. Trzeba być szczęśliwym, żeby pić szampan.

— Szampan niekoniecznie jest napojem szczęścia - odrzekł Zeppe. - To również wino sukcesu.

— Nie odniosłem żadnego sukcesu.

— Niech pan posłucha - w głosie Zeppego zabrzmiało znużenie. - Byłem już świadkiem triumfu w Wenecji w teatrze „La Fenice". Widziałem, jak cała sala wstaje i krzyczy entuzjastycznie. Śpiewaczka musiała uciekać, gdyż spadł na nią taki deszcz róż. To wszystko nic w porównaniu z tym, co panu przytrafiło się przed chwilą. Właśnie za to się napijemy.

— A więc dobrze - powiedział spokojnie Horty - wypijemy także za rozstanie. Nie jadę do Wenecji.

— Zaczynamy od Amiens - oznajmił Zeppe z niewzruszonym spokojem.

Miał znużony głos, jakby przewidywał wszystkie te małe komplikacje i przygotował się do skutecznego stawienia im czoła.

— Amiens nie jest daleko. Niech pan spróbuje w Amiens. Jeśli się panu nie spodoba, wróci pan. - Uśmiechnął się. - Ale przedtem niech pan spróbuje szampana.

Z Amiens pojechali do Compiegne, a potem do Berek, gdzie lało, ale Horty był szczęśliwy, bo znowu zobaczył morze.

W Berek, tak jak gdzie indziej, Zeppe spędzał całe dnie na poczcie, bo wysyłał telegramy proponując „swój spektakl". W imieniu Horty'ego posyłał Zoe pieniądze zarobione przez niego. Później wracał do hotelu i oczekiwał na odpowiedzi. Otrzymał je na prawie wszystkie telegramy. Co prawda niektóre odmowne. Zoe nigdy nie potwierdziła odbioru pieniędzy.

Trasa, którą posuwali się Horty i Zeppe, nie przybliżała ic1 do Wenecji. Przeciwnie, jak na ironię miasteczka, które od powiadały twierdząco, uporczywie leżały po tej stronie Oise Dreptali w kółko jak armia odnosząca drobne, lokalne zwycię stwa i nie potrafiąca zdobyć się na decydujące uderzenie Zdarzało się nawet, że powracali do miasta, które opuścili trz dni wcześniej.

Zeppe wydawał się tym nie zrażony. Owszem, nie przybliż się w stronę południa, jak przewidywał, ale przynajmnie zaokrąglał uciułaną sumkę. „Spektakl" okrzepł i zyskał sweg rodzaju reputację, dzięki czemu Zeppe nie musiał długo tłumaczyć, co zawiera i w rezultacie mniej wydawał na telegraf.

Początkowo wynajmowali ponure, zarobaczone pokoje w pensjonatach. Z czasem zaczęli mieszkać w nowoczesnych hotelach, w których ludzie podróżujący w interesach okazywali się dla Zeppego niewyczerpanym źródłem informacji.

W teatrach występowali tylko wyjątkowo. Na ogół Horty „produkował się" w szkołach, a niekiedy w zadaszonych halach. Potrzebował tylko kilku naftowych lamp od oświetlenia wielkiego zdjęcia pokojówki. Horty wolał pozostawać w półcieniu. To nie on się liczył, ale przede wszystkim słowa, jakie wypowiadał tym swoim dziwnie zachrypniętym, grubym głosem. Ten głos od razu uciszał

publiczność. Ludzie słuchali go początkowo na stojąco z kapeluszami na głowie, ale wkrótce - sami nie wiedząc dlaczego - wszyscy zdejmowali nakrycia z głów.

Jedna rzecz w tym wszystkim była zastanawiająca: Horty wyznał mu na samym początku, że opowiadając kłamie. Zeppe tak by odgadł. Niemożliwe, by młoda i piękna kobieta, taka jak Maria, mogła tak szybko pokochać wielgachnego, chropawego chłopa, który usypiał na plecach ze sztywno wyprostowanymi ramionami leżąc jak kłoda, z oczami wlepionymi w sufit, zanim nie zmorzył go sen. Jego ciało to same guzy, nabrzmiałe żyły, wyraźne, wypukłe blizny i przerośnięta masa mięśni pulsujących pod skórą. I żeby się w kimś takim zakochać, potrzebowała tylko tyle czasu, ile zajmuje wejście po schodach, zrzucenie mokrego płaszcza oraz ogarnięcie wzrokiem pokoju.

Zeppe sam był kłamcą i wiedział, że natężenie kłamstwa w pierwszym oszustwie z czasem się nasila. Dlatego oczekiwał, że Horty powoli zmodyfikuje swoje opowiadanie. Jednak on wnosił do tej historii jedynie niedostrzegalne zmiany. Może w końcu sam we wszystko uwierzył?

Przed pokazaniem się publiczności Horty rozstawiał nogi

pochylał czoło aż do poziomu rozsuniętych kolan. Zeppe miał wrażenie, że jego wielka, masywna sylwetka jest równie giętka jak ciała kobiet-gum, które widywał w cyrku Continentali. Horty koncentrował się w ten sposób przez wiele minut. Wyglądał, jak gdyby spał, ale oczy miał otwarte. Zeppe niekiedy nachylał się nad nim, by mu szepnąć, że widzowie się niecierpliwią. Czasami widywał łzy na jego policzkach. Ależ to mylące! — myślał. Prawdziwi łgarze płaczą na scenie, a nie za kulisami.

Wszystko to budziło respekt w Zeppem. Upijał Horty'ego i nie odczuwał z tego powodu wyrzutów sumienia, mimo to nie potrafił się przemóc i mówić mu na „ty".

Gdy opowiadanie dobiegało końca, Horty znowu przybierał pozę uśpionej nimfy. Stąd właśnie było wiadomo, że kończył już swoją historię. Zeppe sugerował, żeby dorobić „finał", ale Horty sprzeciwiał się temu ze złością. Przerywał jak zwykle niespodziewanie po jakimś zwyczajnym zdaniu.

Zeppe zazwyczaj czekał, aż wszyscy wyjdą, i podchodził do niego z butelką wina. Radośnie ogłaszał, ile zarobili. Horty słuchał tego jednym uchem i mówił:

to dla Zoe. Wypijał duszkiem pełną butelkę i prawie zawsze prosił o drugą i również opróżniał ją w taki sam mechaniczny sposób. A potem wychodził. Sam.

— Trafi pan do hotelu? - niepokoił się Zeppe. - Pamięta pan? To jedna z tych małych uliczek tuż za katedrą.

Horty zawsze trafiał do hotelu, chociaż czasami rzeczywiście przychodził bardzo późno w nocy. Co robił? Gdzie się po- dziewał? Spacerował, czy raczej wstępował do burdelu? Zepp nigdy się tego nie dowiedział.

W rzeczywistości Horty nigdzie nie chodził. Siadał na ławc albo na murku, gdy w pobliżu nie było ławki, zawsze w świetl latami albo w blasku księżyca, gdy nie było latami. Czekał Prawie zawsze z mroku wyłaniała się kobieta i zbliżała się do niego. Często była to kobieta prosta, bez znaczenia, niezamężna, bez pieniędzy. Najczęściej była to służąca.

— Czy to pan? - pytała cicho.

— Owszem - odpowiadał Horty.

— Byłam tam dzisiaj - mówiła nic nie znacząca kobieta. - Moi państwo zafundowali mi bilet. Dobrzy państwo. A spektakl by bardzo piękny.

— Gdzież tam - odpowiadał Horty. - To nie spektakl by piękny. Piękne było tylko to, co się wydarzyło właśnie w Southampton.

— No właśnie, to chciałam powiedzieć - mamrotała służąca

Zbliżała się jeszcze trochę. Horty wiedział, że zaraz usiądzie koło niego. I siadała. Horty domyślał się też, co zaraz powie.

I rzeczywiście tak mówiła:

— Ja chyba znałam tę dziewczynę, o której pan opowiadał. Widziałam ją w innym mieście, gdzie przedtem pracowałam. Czy ona nigdy panu nie mówiła o ciastkami Bigot? Jestem prawie pewna, że spotkałam ją właśnie w tej ciastkami.

W małych, spokojnych miasteczkach, w których zatrzymywał się Zeppe, zawsze znalazła się jakaś kobieta przekonana o tym, że znała Marię Diotret. Oczywiście nie była to prawda. W istocie ta kobieta chciałaby po prostu stać się - choć przez chwilę - Marią. Jeżeli była ładniutka, Horty pozwalał jej na to. Po-

nieważ bardzo uważnie słuchała opowiadania, potrafiła odtworzyć na twarzy Horty'ego wszystkie pieszczoty, jakimi darzyła go pokojówka.

— Och! Kocham pana! - szeptała całując i głaszcząc. - Taki mężczyzna jak pan nie powinien pozostawać sam na sam z tymi strasznymi wspomnieniami.

Nadeszło lato. Było ciepło. Czasami trochę wiało, gdy gdzieś daleko zbierało się na burzę. Horty miewał ochotę na wypróbowanie tego sposobu całowania, jakiego nauczyła go Zoe w noc przed odjazdem na odcumowanie „Titanica". Ale nie śmiał, gdyż nie wiedział, jak przyjmie to służąca. Kiedy na dzwonnicy wybijała północ, kobieta zrywała się jak oparzona:

O Boże! Tak już późno! Jak wrócę sama o tej porze? Wtedy Horty wstawał i odprowadzał ją. Wspaniale było tak iść nocą pod rękę z kobietą, o której nic nie wiedział. Nie znał nawet jej imienia, ale za to czuł jeszcze na twarzy wilgotne ślady jej naiwnych pocałunków.

Historia, którą opowiadał wieczorem, przyznawała rację miłości, a potem śmierci.

Tymczasem taki spacer dawał pierwszeństwo życiu.

PEWNEGO wieczoru Horty występował na przedmieściu Boulogne. Nad rozległym terenem w pobliżu kanału rozpostarto płócienny dach. Około trzystu osób zajęło miejsca na drewnianych ławkach.

Horty ze swoją historię stanowił tylko część spektakl złożonego z wielu numerów. Jakiś Amerykanin połykał ogień, szablę, żyletki i w ogóle wszystko, co mu dawano do połknięcia. Pewna kobieta demonstrowała za pomocą zachwycających marionetek najnowszą modę paryską: kapelusze, buty i biżuterię. Był nawet krótki pokaz kinematografu, podczas którego operato wyświetlał film o zimie w Prusach. Widok śniegu odnosił ty~ większy sukces, im bardziej kontrastował z nieznośnym upałe pod zbyt szczelnym dachem. Nocne powietrze nie mogło tutaj swobodnie krążyć, a w każdym razie nie na tyle swobodnie, b znad kanału przegnać komary natrętnie wciskające się n widownię i przyprawiające ludzi o męki.

Organizator wynajął dla artystów pociąg złożony z pięci wagonów mieszkalnych.

— Ja nie potrzebuję - zaprotestował Horty. Nie musiał si przecież ani charakteryzować, ani też wkładać sceniczneg kostiumu.

Zeppe natomiast umierał z ochoty, żeby znowu, choć kilk godzin, spędzić w takich wagonach, w ich ciasnych, niewygód nych i trzęsących pomieszczeniach. Takimi właśnie przyjech z Wenecji do północnej Francji, skąd nie potrafił się wydostać. Północna Francja bawiła się nim jak dziecko w jojo. Zeppe i Horty zamieszkali więc w ostatnim wagonie.

Zeppe poczuł się tam tak dobrze, że postanowił tylko jeden jedyny raz odstąpić od zwyczaju słuchania za kulisami, jak Horty opowiada swoją historię.

Była już północ. Zza firanki w oknie wagonu mieszkalnego zobaczył kobietę. Zastukała w szybę. Zeppe wstał i poszedł otworzyć drzwi. Kobieta nie była sama. Przy stopniach stało jeszcze sześć innych. Wydały mu się podobne do

sióstr zakonnych, gdyż także nosiły czarne sukienki i białe fartuszki obszyte falbanką.

Nie były na przedstawieniu, bo już na pamięć znały historię o pokojówce z „Titanica", ale jeździły za Hortym z miasta do miasta. Chciały jedynie, by doker zobaczył je i - kto wie - może wybrał jedną z nich.

— Wybrać? - zakrztusił się Zeppe. - Po co wybrać?

Odpowiedziały, że nie wiedzą. Nie do nich należy decyzja. Do niedawna pracowały w przędzalni, którą na początku lata zamknięto. Zostały bez pracy i nic je obecnie nie zatrzymuje. Zdają sobie sprawę, że są zaledwie nieudolnymi kopiami Marii Diotret. Ona była taką delikatną i śliczną blondyneczką, a one są przysadziste i mają grube rysy oraz włosy nieokreślonego koloru.

Mimo wszystko są bardziej żywe niż wielka, zresztą trochę niewyraźna fotografia. Jeśli Horty sobie tego zażyczy, ta którą wybierze, mogłaby zastąpić na scenie portret pokojówki, a nawet wypełnić w wędrownym życiu dokera miejsce, którego nie zdążyła zająć Maria, z wyjątkiem pamiętnej nocy w hotelu Reda Spithead.

Straciły źródło utrzymania. Wykosztowały się na stroje pokojówek. Ta spośród siedmiu, którą wybierze Horty, dostałaby na zmianę kostiumy pozostałych dziewczyn. W ten sposób szczęśliwa wybranka zawsze będzie czysta, świeża i bez zarzutu.

Pozostałym na pewno będzie smutno, skoro tak się starały

wiązały z tym duże nadzieje. Nie szkodzi, są na wszystko przygotowane. Obiecują, że Zeppe nie zobaczy ich łez. W przędzalni pracowały w tej samej hali. Szły ręka w rękę na czele pochodu strajkujących 29 czerwca i razem uciekały przed szarżą wojska, toteż zwolniono je tego samego dnia. Wszystkie przeżycia uczyniły z nich serdeczne przyjaciółki, więc szczerze ucieszą się szczęściem jednej z nich.

A ponieważ signor Brassatto też jest przyjacielem Horty'ego, bliskim przyjacielem, który wie o nim wszystko, czy mógłby im powiedzieć - nie wskazując konkretnie żadnej - czy chociaż jedna z nich ma jakiekolwiek szanse?

Zeppe był zmieszany, ale nie chciał, żeby te poprzebierane dziewczyny to zauważyły. Mimo ciężkich, a nawet okrutnych, przeżyć zostało w nich coś dzie-

cinnego. Widać to było w ich zachowaniu, w sposobie, w jaki stały, w zaokrąglonych kształtach, w mizernych policzkach. Zachowywały się jak dzieci czekające na pocałunek.

Z ciszy, która zapadła nagle pod kopułą, Zeppe wywnioskował, że doker właśnie skończył swoją historię. A ponieważ był tchórzliwy, powiedział:

— Zaraz wróci. Jego zapytacie. To porządny człowiek.

— Pan też, signor Brassatto. Pan też jest porządny. Co by się z nim stało, gdyby nie pan?

Zeppe zawsze skrupulatnie unikał tego pytania. Wrócił do wagonu.

Horty zauważył przebrane pokojówki, ale nie odezwał się do nich ani słowem. Jeszcze tkwił w swojej historii i potrzebował trochę czasu na powrót do rzeczywistości. Natomiast one, zaskoczone jego obecnością, tym bardziej nie odważyły się odezwać. Jedna próbowała uśmiechnąć się do niego, ale on tego nie zauważył.

Siedem kobiet szepczących po nocy liczyło, że Zeppe powie mu o nich i wytłumaczy, dlaczego tu są.

Zeppe na pewno tak zrobi.

Upłynęło kilka minut od chwili, gdy wszedł do wagonu. Trwało to wystarczająco długo, by uspokoić się i odzyskać jasność umysłu.

Było oczywiste, że nie stać go na utrzymywanie jednej z tych dziewczyn aż do Wenecji, o ile w ogóle tam dotrą. Wielka fotografia przybrudziła się od częstego przenoszenia i aż prosiło się, żeby zrobić nową. Niestety, tym razem inwestycja będzie dużo droższa, ponieważ wszyscy wiedzą, jaki użytek z niej zrobi.

Powiedział Horty'emu, że próbował spławić dziewczyny, ale one wciąż wracają i tłuką się o wagon jak nocne ćmy. Nie wiadomo, czego właściwie chcą. A przy tym brzydko pachną. Dodał, że prawdopodobnie to jakieś wariatki uciekły ze szpitala. Czasami zdarza się tak jesienią, gdy zmrok wcześniej zapada, a personel nie jest dostatecznie czujny, że chorzy korzystają z okazji i przesadzają mur.

— My też powinniśmy zamknąć okiennice - powiedział Zeppe. - Przypuszczam, że w końcu pójdą sobie stąd.

— Zastanawiam się - odezwał się Horty - dlaczego one tak się ubrały?

— Sława, mój drogi - odpowiedział Zeppe. Otworzył okna wagonu i szybko zatrzasnął okiennice. - Stał się pan znany wśród wariatów.

Zapadła cisza i zdawało się, że nie będzie mieć końca. Często tak bywało. Zeppe zdążył niekiedy zapomnieć, o czym doker mówił. W końcu Horty powiedział:

— A może to ja sam jestem wariatem? Zeppe, pan dużo podróżował, niech pan mi powie, po czym rozpoznać wariata?

Siedział na skraju ławki i gładził butelkę wina, którą Zeppe pośpiesznie do niego przysunął. Takim samym ukradkowym ruchem pogromca z cyrku Continentali dawał kawałki mięsa lwom.

— Ciekawe pytanie - zauważył Zeppe i starannie zamknął ostatnią okiennicę.

Wielu ludzi wypytywało go o artystów cyrkowych, na przykład co musi jeść najgrubsza kobieta świata? Chcąc dotrzymać kontraktu, powinna ważyć co najmniej 200 kilogramów. Czy optyk sprawdza systematycznie wzrok trapezistek? Czy żonglerom zdarza się na co dzień stłuc szklankę albo talerz? Ale nikt nigdy nie pytał go o niego samego.

Tymczasem on, ubrany w czerwono-złoty uniform, dostawał wysypki z powodu uczulenia na trociny, którymi wysypywano arenę. Był tak samo człowiekiem jak inni. Miał zdolność wypowiadania opinii na wiele tematów nie mających nic wspólnego z cyrkiem.

Dlatego poczuł się mile połechtany, gdy Horty zapytał go, co myśli o wariatach. Zagadnienie co najmniej tak samo ważne jak przesadna elegancja Kronprinza, o czym rozpisywały się gazety. Niestety nie mógł odpowiedzieć na pytanie Horty'ego nie raniąc go. Otóż uważał, że Horty jest wariatem.

Gdyby Zoe zechciała, mogłaby zamknąć męża w szpitalu dla umysłowo chorych z zemsty albo dla zdobycia nędznego dobytku, jaki do niego należy. Nie miałaby trudności z wykazaniem, że człowiek biorący cały świat na świadka swojej ogromnej miłości, która nigdy nie istniała, powinien przebywać pod ścisłą kontrolą

być leczony, chociaż nie był niebezpieczny dla otoczenia. Może już poczyniła odpowiednie kroki pod czułą opieką przewodniczącego Simeona? Obawiał się, że któregoś wieczoru przyjdą po Horty'ego. Jeżeli zaczekają, aż będzie wychodził z przedstawienia, bez trudu doprowadzą go do swojego wozu, gdyż w tym momencie był jak małe dziecko.

Takie właśnie zachowanie decydowało o fatalizmie spektakli z udziałem dziwolągów, ludzi i zwierząt. Zeppe wiedział, że treserzy małp i psów zawsze mieli na uwadze fakt, iż jeszcze się nie zdarzyło, by zwierzęta w końcu nie rozchorowały się i nie zdechły wcześniej od nich.

Dlatego Zeppe, mimo iż zarabiał dość pieniędzy, by wynajmować dwa oddzielne pokoje, w dalszym ciągu wynajmował tylko jeden dla siebie i dokera, bo w ten sposób mógł lepiej o niego dbać i chronić tak długo, jak długo tylko się da.

Zeppe potwierdził, że pytanie dotyczące wariatów jest bardzo ciekawe, a potem umilkł. Milczał ostrożnie, a jednocześnie kiwał głową, żeby nadać sobie wygląd myślącego człowieka.

— Tak, tak, widzę - rzekł Horty i też zaczął kiwać głową.

— No, dalej - powiedział Zeppe i odkorkował nową butelkę.

— Niech się pan jeszcze napije. Co się z panem dziś dzieje? Nie czuje pan pragnienia? Tak długo pan dziś mówił?

Gdy wreszcie wyszli z wagonu, pokojówek już nie było. Pozostał po nich tylko zapach tanich perfum, którymi skropiły się obficie. Zeppe skrycie żałował teraz kłamstwa. Powiedział przecież Horty'emu, że te kobiety brzydko pachną. Była to jedna z małych złośliwości, których miał zawsze pełną głowę. Na ogół starał się ich unikać, ale czasami coś mu się wyrwało - raz lub dwa razy dziennie - zupełnie mimochodem, a potem pamięć o tej małostkowości ciągnęła się godzinami jak kac po pijaństwie.

Chcąc to powetować, usiłował powiedzieć coś uprzejmego

tych biednych dziewczynach, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Czy wtedy, gdy signora Antonella i jej woltyżerki wyrzucały go, ktoś pomyślał, żeby powiedzieć mu kilka sympatycznych słów? Jasne, że nie. Zwyczajnie demontowali kopułę

śpieszyli się, ponieważ niskie chmury zaczynały zasłaniać gwiazdy. Zanosiło się na deszcz. A kiedy płótno nasiąknie wodą deszczową i zrobi się dużo cięższe do zwijania, wtedy demontaż i składanie trwałyby prawdopodobnie godzinę dłużej. Zresztą wszystkim strasznie chciało się spać, zarówno tym, którzy lubili Zeppego, jak i tym, którzy nim pogardzali.

Tłum powoli rozpływał się. Ludziom było bardzo gorąco i szli wzdłuż kanału w poszukiwaniu odrobiny chłodu.

Naraz Horty znieruchomiał. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się. Stanął jak wryty.

— O co chodzi? - niecierpliwił się Zeppe. - No, dalej, niech pan idzie. Już pierwsza w nocy, a pociąg odchodzi o szóstej rano.

— Tam - wykrztusił wreszcie Horty – tam koło kanału zobaczyłem kobietę w sukni koloru zielonych migdałów z parasolką.

— Po co parasolka w nocy? Jeszcze jedna wariatka? - Zeppe roześmiał się.

Horty nie odpowiedział. Zeppe kuksańcami chciał go poruszyć z miejsca, ale on wpatrywał się z niedowierzaniem w kierunku brzegu kanału.

Zafrapował go zielony kolor sukni i niestosowna obecność parasolki. Horty zawsze i przede wszystkim zauważał u wszystkich spotykanych ludzi rytm ich kroków. Rozpoznawał, czy mają sztywny czy też sprężysty chód. Również zalety i wady dokera poznaje się po chodzie. Gdy widział kogoś idącego, nigdy go nie zapominał. A teraz wśród setki widzów wędrujących wzdłuż kanału w stronę miasta jego wzrok wyłuskał jedną osobę, która spacerowała z wdziękiem. Tak chodziła młoda kobieta w zieleni. Pożyczył jej kiedyś kilka pensów na omnibus. Potem wsiadła na „Titanica", żeby kantować w amerykańskich hotelach i ekspresach.

Jakiś mężczyzna obejmował ją w talii. Musiał być jej towarzyszem, a może wspólnikiem. Nazywał się Duncan Edmund, Helmut albo Gemmo w zależności od kraju, w którym działali. A jednak nie miał okazałej, trochę wyniosłej postawy tamtego oszusta ani jego eleganckiego, dyskretnego chodu. Osobnik towarzyszący kobiecie w zieleni był karłowaty, o małpiej zręczności. Nosił monokl, w którym odbijały się krótkie błyski księżycowego światła. To był Mr Cheapman z Thedford w Nebrasce.

Nie wiadomo, czy Mr Cheapman i kobieta w zieleni rozpoznali Horty'ego? W każdym razie nie dali po sobie nic poznać. Spokojnie oddalali się w stronę miasta. Kobieta kręciła parasolką, a od czasu do czasu wybuchała śmiechem. Zdaje się, że Mr Cheapman w dalszym ciągu pozostawał tym, kim był w hotelu Reda Spithead: duszą towarzystwa.

Horty nie przypominał sobie, żeby widział nazwisko Cheapmana na liście uratowanych. Być może je przeoczył, gdyż nie szukał tego nazwiska. Jeśli chodzi o kobietę w sukni koloru zielonych migdałów, znał tylko jej imię - Kamila. Natomiast urzędnicy z White Star wypisywali tylko nazwiska na tablicy, a imiona wyłącznie w przypadku jednakowo brzmiących nazwisk.

Horty obserwował ich, aż weszli na kładkę nad kanałem i zniknęli po drugiej stronie. Chciał za nimi biec i dogonić ich. Chciał zapytać, co tutaj robią pośród rozbawionego tłumu, ale powstrzymał się. Nie zniósłby, gdyby Cheapman drwił z niego, a kobieta zaczęła głośniej śmiać się na jego widok.

Później, gdy znaleźli się w pokoju hotelowym, Zeppe powiedział Horty'emu, że to normalne, statystycznie rzecz biorąc, gdy w końcu spotyka się ludzi, którzy wyszli cało z katastrofy, akurat w miejscach, dokąd przychodzi się dla rozrywki, żeby o tym zapomnieć.

— Ależ to dla nich nie rozrywka - wymamrotał Horty.

— Opowiadałem historię, która z pewnością musiała przypomnieć im straszne chwile, które przeżyli. A jednak odchodząc, tak się śmiali...

Niemożliwe, żeby Mr Cheapman nie spotkał Marii w wąskich korytarzach statku i nie rozpoznał w niej młodej kobiety, z której tak nędznie drwił, gdy była przywiązana za nadgarstki do zardzewiałych schodów fabryki Harston and Harston. Mimo to wysłuchał do końca historii Horty'ego i milczał razem z innymi widzami, a potem odszedł jakby nigdy nic, zabawiając ładną kobietę. Może teraz już zaprasza tę kobietę na wytworną kolację. Może rozmawiają bez żenady o Hortym i jego nocy z Marią. Może im również przyszła ochota robić to samo? Może w jakimś pokoju, byle gdzie, kobieta odstawi parasolkę, zdejmie suknię koloru zielonych migdałów i - wciąż się śmiejąc - zacznie parodiować ruchy Marii?

Czy po przedstawieniu nie powinni raczej spotkać się z Hortym i powiedzieć, co im wiadomo o Marii i w jaki sposób zginęła?

— Kto panu powiedział, że oni cokolwiek wiedzą? - zapytał Zeppe. - Może już wtedy byli daleko w jednej z szalup? Poza tym, kto zwraca uwagę na zwykłą pokojówkę w normalnym czasie? A cóż dopiero w takich okolicznościach...

— Ależ ona konała - powiedział Horty.

— Boże miłosierny! - zniecierpliwił się Zeppe. - Przecież panu mówię: kogo obchodzi umierająca pokojówka?

Zeppe już dawno zauważył, że cierpienie i śmierć jednej istoty ludzkiej nie były wydarzeniami wystarczająco znaczącymi, by inne istoty ludzkie zaniechały rozrywek. Prawdopodobnie w ogóle nie istniało wydarzenie dostatecznie wstrząsające, aby pozbawić świat wspaniałej ochoty do życia. Właśnie dzięki temu świat podskakuje radośnie niby wielka piłka (którą zresztą jest) w nieskończonej pustce. Nawet Zeppe, gdy przewoził wielką fotografię Marii na własnych plecach z miasta do miasta i każdego wieczoru wycierał ją delikatnie zamszową ściereczką, żeby nie zawilgotniała i nie dostała purchli, nie był całkowicie pewien, czy Maria była postacią z krwi i kości. Stała się dla niego rekwizytem spektaklu takim samym jak ten przeklęty zakratowany tunel, którym wchodziły i wychodziły lwy w cyrku Continen- tali. Że też któregoś dnia zapomniał sprawdzić rygle!

Tej nocy, zamiast położyć się spać, Horty przysunął krzesło do okna, usiadł i wpatrywał się w widoczny z daleka kanał. Czatował na rzecz niemożliwą, na ponowne ukazanie się Mr Cheapmana i kobiety w zieleni. Ale jedynie ukazywały się, i to z rzadka, barki płynące w kierunku basenów portowych. Przesuwały się wolno po kanale, gdyż ciągnęły je konie.

Zeppe leżał w łóżku i widział tylko lekko pochylone plecy, kark z opadającą siwą czupryną i ogromne bary byłego dokera. Co jakiś czas tą wielką, nieruchomą masą wstrząsał dreszcz, aż krzesło poskrzypywało, a z gardła Horty'ego wydobywało się coś w rodzaju charkotu, coś, co z pewnością miało być szlochem.

Próbując zasnąć, Zeppe pomyślał, że jeżeli Zoe nie zrobi nic, żeby zamknąć Horty'ego, być może on, Giuseppe Brassatto, w jakiś sposób będzie musiał pozbyć się dokera. Obliczał w pamięci, ile dotychczas zarobił na Hortym. Od chwili, gdy cyrk Continentali wyjechał z Italii, było tego dużo więcej niż u signory Antonelli. Smutek Horty'ego okazał się opłacalny. Co będzie, jeśli ten smutek przerodzi się w rozpacz? W najlepszym razie doker stanie się niezdolny do opowiadania swojej historii, to znaczy do opowiadania z godnością, która tak poru-

sza audytorium, zmuszając je do ciszy. W milczeniu, a czasami również i na stojąco okazywano mu uznanie, gdy schodził ze sceny. W najgorszym razie może stać się niebezpiecznym człowiekiem. Dotąd wszystko szło dobrze, ale czy nie zrobiłby lepiej, gdyby przestał igrać z ogniem i odbył sam dalszą drogę do Wenecji?

Przede wszystkim trzeba honorować engagement na serię nowych przedstawień w „Le Grand Théâtre" Górnego Miasta. Edmond Girard właśnie potwierdził je telegraficznie. No tak, gdyby na tym skończyć, Horty zostanie u siebie, a Zeppe nie będzie musiał kłopotać się o bilet powrotny również dla niego. Z tą myślą zasnął. Nad Boulogne wreszcie rozpętała się burza.

★

Zawadzili o male miasteczko nad belgijską granicą, Roubaix. Gdy wychodzili z dworca, podmuchy wiatru tak się nasiliły, że lekko skrzywiły deskę z przyklejonym portretem pokojówki z „Titanica". W pierwszych dniach zimy znowu wrócili do N... Zeppe udał się do teatru, by zdeponować fotografię Marii w bezpiecznym miejscu. A Horty krążył dalej po porcie.

„Pod Głową Żółwia" Karaib przemalowywał i natłuszczał szyld z myślą o przyszłych klientach. Przyjął Horty'ego skwapliwie. Poczęstował go butelką lakowanego wina i opowiedział

bogatym w wydarzenia lecie. Przewodniczący Simeon wynajął wóz bydlęcy (zdaje się, że bardzo lubił organizować podróże). Tym wozem kilku zasłużonych dokerów udało się na miejsce, gdzie bladym świtem zgilotynowano Sciarfoniego. Nie widzieli zbyt dobrze, bo egzekucja odbyła się, gdy dopiero szarzało, no

stali daleko w tłumie. Małżeństwo Batyldy i Steuze'a okazało się mniej wspaniałe, a przede wszystkim mniej udane, niż przewidywano. Batylda zastąpiła któregoś wieczoru w tawernie Glorię-Jagniątko, której śliczne ciało pokryło się naraz dziwnymi plamami powodującymi gorączkę. Grób Aichy został sprofanowany dwa razy: raz przez bezdomne psy, więc żandarmi poszli ich śladem i zastrzelili je, i drugi raz przez ludzi z Republiki, którzy wbili sobie do głowy, że nie grzebie się Turczynki nie dając jej całej fury egzotycznej biżuterii. Al Bazeiges zbudził się któregoś ranka ze sparaliżowaną prawą połową ciała. Odjęło mu mowę, więc na kawałku papieru nagryzmolił, że chce księdza. Kapłanom od Świętego Andrzeja nie było śpieszno do wezgłowia starego człowieka, bo zbyt

dobrze znali jego libertynistyczne poglądy. Czyż Al Bazeiges nie zaklinał się, że ekipę swoich dokerów postawi do dyspozycji pierwszego lepszego deputowanego na tyle zuchwałego, by zaproponować zburzenie kościołów w Dolnym Mieście?

— A mój dom? - zapytał Horty.

Mulat rozumiał, że prawdziwe pytanie, jakie chciał zadać doker, powinno brzmieć: „Co u Zoe?"

— Twoja żona znowu w nim mieszka - powiedział Karaib.

— Czasami nocuje u niej Batylda, kiedy pokłóci się ze Steuze'em, a ostatnio zdarza się to coraz częściej. Batylda powiedziała mi, że Zoe sporo zrobiła. W pokoju są nowe firanki i drugi piec.

— Tak - stwierdził Horty - w tym pokoju było zimno.

— Teraz wszędzie jest zimno - odrzekł Karaib, machinalnie przecierając szybę. Za oknem zastygła gęsta, szara mgła, w której tonęły wierzchołki dźwigów. Zaryczała syrena przeciwmgielna statku pilotowego wychodzącego z portu. Karaib ciągnął:

— Batylda mówi, że Zoe uważa cię za zmarłego. W każdym razie tak postępuje.

— Umarli nie przysyłają pieniędzy - zauważył Horty. Teraz Zoe jest bogata, nareszcie bogata na tyle, na ile mogą być bogaci tacy ludzie jak oni.

Karaib przytaknął. Oprócz nowych zasłon i pieca w pokoju Zoe pokazuje się czasami w ślicznych nowych toaletach, ale tym razem nie są to przerobione sukienki Baty Idy.

— No i jak w końcu będzie? Mimo wszystko wracasz do domu, czy śpisz tutaj, na poddaszu?

Horty nie od razu odpowiedział, ale wreszcie wycedził:

— Zeppe też jest bogaty. Płaci za hotel.

Zobaczyli dno w butelce. Karaib otworzył drugą. Przez chwilę mężczyźni pili w milczeniu. Potem Horty poprosił Mulata, żeby za pośrednictwem Batyldy zawiadomił Zoe. Byłby szczęśliwy, gdyby mógł ją zobaczyć. Może któregoś

wieczoru zechce przyjść do teatru? Zabrałby ją na kolację do jednej z tych restauracji przy małych, przyjemnych uliczkach przylegających z tyłu do Rynku otwartych do późna w nocy. Nie oczekuje odpowiedzi wyznaczającej dzień i godzinę spotkania. Zanim rozpocznie historię, rzuci okiem na salę. Jeżeli Zoe tam będzie, rozpozna ją, nawet gdyby nosiła suknię i kapelusz, którego nigdy przedtem nie widział. Wtedy pośpieszy się. Zeppe wytłumaczył mu, na czym polega istota spektakli, w jakich bierze udział: albo trzeba skracać historię, albo niech trwa godzinę lub dłużej.

— Zeppe jest dla mnie jak ojciec - powiedział Horty. I dodał z dumą: - Wiesz, w ogóle przestał chodzić w tym czerwo- no-złotym ubraniu, bo jak byliśmy w jednym hotelu, ktoś go wziął za portiera. Dlatego kupił sobie czarne ubranie, białą koszulę i szary krawat z perłą pośrodku.

— A co ty myślisz? - Karaib odkorkowywał trzecią butelkę pod pretekstem, że niby trzeba uczcić elegancję Giuseppego Brassatta. - Tu też zaszły zmiany. Sam zresztą zobaczysz. Poprosiłem Batyldę, żeby się ubrała tak jak twoja piękna przyjaciółka z Southampton. Szkoda tylko, że ma takie czarne włosy. Ale - tu pokazał w uśmiechu wszystkie zęby - akurat ja nie powinienem jej tego zarzucać.

— Zaraz, zaraz - Horty uderzał płaską dłonią w kontuar.

— Nie wiem, czy masz prawo to robić. Pokojówki nie pracują w knajpach. Naprawdę nie. To nie jest dla nich odpowiednie miejsce.

— Możliwe, ale mężczyźni mają to gdzieś. Lubią je oglądać. -1 dodał ze złośliwym uśmieszkiem. - Może mają nadzieję robić z Batyldą to samo, co ty robiłeś w Marią?

Skinął na Horty'ego, żeby poszedł za nim. Wprowadził go do komórki, w której trzymał puste beczki. W półmroku klitki Horty zobaczył czarną sukienkę i biały fartuszek z długimi trokami do zawiązania nad biodrami dużej, wystającej kokardy, i mały nakrochmalony czepek.

W tym momencie na redzie zaryczała syrena statku tak chrapliwie i blisko, że zadzwoniły butelki wina ustawione na macie.

Horty wyciągnął ręce, chwycił sukienkę i zanurzył w niej twarz. Pachniała Batyldą. Próbował sobie przypomnieć zapach Marii, ale nie pamiętał. Tak naprawdę Maria nie pachniała. Być może czuć było tylko jeden charakterystyczny,

ale dosyć słaby zapach węgla i mokrych włosów. Ale to oczywiście z powodu dymu statków i deszczu w Southampton. To nie był zapach, o którym opowiadał w swojej historii, i nie ten, który tak podniecał wyobraźnię słuchających mężczyzn.

— Skąd to masz? - zapytał.

— Ach! - Karaib machnął ręką - dałem ogłoszenie: „«Pod Głową Żółwia» poszukuje dla swojego personelu kompletnego ubioru pokojówki. Wymagany dobry stan. Pisać do gazety, która przekaże wiadomość". Za dwa dni nadeszła oferta. Cena była rozsądna, więc się nie targowałem. Nie widziałem dziewczyny, bo podała paczkę przez jakiegoś chłopaka, a ja brzdącowi wręczyłem pieniądze. Tak było, bez oszukaństwa. Batylda musiała trochę podłużyć sukienkę, bo była na nią zbyt krótka.

— Brakuje bucików - zauważył Horty odkładając sukienkę i fartuszek.

Karaib powiedział, że buciki też były, ale pozbył się ich, gdyż były zniszczone i poplamione jakby wydobyte z wody.

— Buciki nieszczęśliwej pokojówki. Woda wlała się do bucików - powiedział Karaib i roześmiał się. - Wieczorami te dziewczyny chodzą po pokojach i przygotowują łóżka. Uklepują poduszki, a na nocnych stolikach stawiają karafki z wodą i szklanki. Widzisz, wiem o nich prawie tyle co ty. Moim zdaniem ta, która mi to sprzedała, służyła w jakimś pałacu. Chyba wywróciła tam sporo karafek przy wielu łóżkach.

Horty nie sądził, by pokojówka, od której Karaib kupił ubranie, pracowała w pałacu.

Na jednej stronie długiego troczka i na wewnętrznej stronie nakrochmalonego czepka zauważył małą czerwoną gwiazdkę. Emblemat White Star Line powinien być odwrotny - biała gwiazdka na czerwonym tle. Być może hafciarka uważała, że wygodniej będzie wyhaftować w ten właśnie sposób? I w pewnym sensie miała rację, ponieważ odwrócenie koloru gwiazdy nie przeszkodziło Horty'emu zgadnąć, skąd pochodzi ten czepek, fartuszek i czarna sukienka - pomimo że nie były zaznaczone.

Jednak nie doznawał takiego bezładnego pomieszania jak wtedy, gdy rozpoznał Kamilę i Cheapmana idących wzdłuż kanału. To ubranie mogło pochodzić z

któregokolwiek statku linii White Star. Oczywiście, że nie nosiła go Maria, ponieważ utonęła w stroju pokojówki. Możliwe, że była naga albo w nocnej koszuli, gdy „Titanic” zawadził o górę lodową. Schwyciła co miała pod ręką, czyli swój kołyszący się na wieszaku strój roboczy, ubrała się szybko i wybiegła na pokład.

Horty tonął w kłamstwach, a nie w marzeniach.

TLR

NOCĄ temperatura spadła poniżej zera. Rano gruba warstwa szronu powlekała trotuary. Oszronione ciężkie i martwe liście zaczynały opadać na ziemię. Miejscy dobosze ustawiali się na skrzyżowaniach i odczytywali zakaz ruchu pojazdów automobilowych ze względu na bezpieczeństwo. Z kominów Górnego Miasta buchał gęsty, ciemny dym, który mieszał się z chmurami i oblepiał wszystko nieruchomą, ciężką mgłą czepiającą się budynków, skrywającą dachy. Nadawało to śródmieściu wygląd miasta ściętego bombardowaniem. Mieszkańcy Dolnego Miasta jeszcze nie ogrzewali domów, bo też i morze było cieplejsze niż ląd, i unosiła się nad nim szarawa para. Obie części miasta okrywała blada jakby sproszkowana zasłona z pyłu kredowego.

To były oznaki, że zima za pasem. Na dodatek wszystkich męczył kaszel, na który nie pomagały żadne syropy ani kataplazmy. Wszystko razem skłaniało Zeppego, by przyspieszyć przygotowania do wyjazdu do Wenecji. Wyłaził więc ze skóry, żeby wycisnąć z Horty'ego, ile się da i póki się da.

Dnie były krótkie i chłodne. Mieszkańcy zaprzestali ulubionej rozrywki. Nie spacerowali już po nadmorskim bulwarze. Każdego wieczoru coraz więcej widzów przychodziło do teatru. Zyski stawały się do tego stopnia bardziej niż zadowalające, że Geirard przebąkiwał o ewentualnym przedłużeniu występów do 10 grudnia, bo potem, przed świętami, musiał dać trochę bogatszy i trochę weselszy program.

Horty występował w teatrze przede wszystkim wieczorem. Zeppe wpadł na pomysł, by wykorzystywać również martwe popołudnia. A gdyby tak zaproponować „Pokojówkę z Titanica" towarzystwom dobroczynnym? Przecież próbują umilać tę nieprzyjemną porę ludziom i tak już smutnym z natury rzeczy.

Owszem, zdjęcie niszczało od przenoszenia z jednego krańca miasta na drugi, ale z daleka nie było widać, że się odkleiło, pomarszczyło, zmatowiało i że traci kontrast w miarę wietrzenia utrwalacza. Lebens długo je oglądał. Próbował

nawet retuszować pędzelkiem najbardziej nieostre miejsca, ale w gruncie rzeczy był bezsilny. Twarz Marii stawała się niewyraźna, bladła i bezlitośnie rozmazywała się.

Horty opowiedział historię w więzieniu kobiecym, które znajdowało się tuż za teatrem. Po przedstawieniu Zeppe robił mu wyrzuty, że tym razem nie był tak wzruszający jak zazwyczaj. Zamiast zwykłej ciszy, rozległy się frenetyczne brawa i krzyki. Horty tłumaczył, że to z powodu lodowatego przeciągu hulającego w pawilonie, ponieważ wiele szyb było powybijanych. Zakonnice opiekujące się więźniarkami nosiły rękawiczki z jednym palcem i pelerynki z czarnej wełny, a więźniarki miały na sobie tylko cienkie, szare sukienki. Było im o wiele za chłodno, żeby dać się ponieść uczuciom, dlatego klaskały dla rozgrzewki.

Horty opowiadał także w szpitalu, gdzie jego występ nie wypadł tak okazale jak w teatrze, ale tym razem nie tyle przez publiczność, co przez niego samego. Nie mógł oderwać oczu od łóżka, na którym umierała, nie wiedząc o tym, Gloria-Jagniątko. Uśmiechała się jak zawsze, gdy klienci źle się z nią obchodzili, tyle że teraz pokazywała w uśmiechu obrzękłe, bezzębne dziąsła.

— Prawda jest taka - powiedział Horty przy wyjściu - że nie jest to historia dla ludzi dotkniętych nieszczęściem.

Zeppe wzruszył ramionami. Żadna historia nie jest taka sama, a ta nie jest lepsza od innych. Historie warte są tyle, ile w nich ożywczego ducha, to znaczy w jaki sposób się opowiada. A co? Czy może Horty uważa, że w „Le Grand Théâtre” ze złoconym sufitem i wspaniałymi lustrami wszyscy widzowie siedzący w welurowych czerwonych fotelach są naprawdę szczęśliwi?

— Wśród nich bywają tacy, którzy nie są ani szczęśliwi, ani nieszczęśliwi - dorzucił doker. - Prawie wszyscy są tacy nijacy.

Zeppe zastanawiał się, czy Horty uważa się za nijakiego. Spoglądał, jak idzie bulwarem z szyją wciśniętą w kołnierz bluzy. Kroczy spokojnie z wielkim zdjęciem zarzuconym na ramię jak ktoś, kto nie ma nic szczególnego do roboty.

Już niedługo Zeppe odjedzie pociągiem do Wenecji. Z pewnością nie zamieszka tam w jasnoczerwonym pałacu przy Canale Grande, ale w wilgotnej izdebce na parterze przy via del Ghetto. Większość chłopów z nieurodzajnych wiosek, które pociąg mija po drodze, nigdy by się nie zgodziła na pogrzebanie żyw-

cem między czterema ścianami mieszkania takiego, w jakim urządzi się Giuseppe Brassatto.

Jednak te ściany były w Wenecji. Już sama nazwa wystarczała, by poczuł wzruszenie. Szybko zapadał zmrok. Czy istnieje jakaś nazwa, wszystko jedno jaka, potrafiąca tak wzruszyć Horty'ego? Więźniarki? Gloria-Jagniątko?

Czy słowo „przyszłość" potrafi wywołać coś więcej niż słabe, nieustanne wibrowanie, bez szczytów i otchłani, drżenie tego, co nazywają życiem? Zeppe wątpił. Wszyscy wkraczali w zimę z jedną tylko nadzieją, że zima się skończy. Niczego nie mogli zrobić. Godzili się z codziennym znikaniem słońca, a wraz z tym przystawali na całą resztę.

— Horty? - zapytał znienacka Zeppe. - Co pan będzie robił, gdy ja wyjadę?

— Spróbuję wrócić do domu. Zoe nie jest taka zatwardziała.

— A jak już pan będzie u siebie - naciskał Zeppe - co pan będzie robił?

Horty przystanął i spojrzał na niego. Śmieszne, doprawdy, znowu być z Zoe i rozgrzewać ją, gdy zmarznie. Na pewno marzła pomimo wstawionego do pokoju pieca. Czy nie wystarczy po prostu być? Czy trzeba jeszcze coś robić?

— A! Zobaczy się - powiedział.

Przełożył fotografię Marii na drugie ramię i ruszył.

— Gdybym ja był na pana miejscu - Zeppe zrównał się z nim -nie przestałbym opowiadać historii. Jedną już pan wymyślił, co stoi na przeszkodzie, żeby wymyślić następną? O proszę, choćby zamordowanie tej małej Turczynki. Jakże ona się nazywała? To się świetnie nadaje. Wystarczy tylko dodać to i owo, na przykład że Sciarfoni całkiem stracił głowę z powodu gołych nóg i silnego zapachu młodości. Mówię to, ponieważ pan dobrze opisuje tego rodzaju szczegóły, a zwłaszcza zapachy. Mógłbym wrócić latem przyszłego roku i znowu wyruszylibyśmy w trasę, tym razem z historią o Sciarfonim i Turczynce.

— Nie, niech pan nie wraca - powiedział Horty.

Przyspieszył kroku. Zeppe został z tyłu, bo chwycił go atak kaszlu. Zgięty w pół szperał w kieszeniach czarnego ubrania w poszukiwaniu flakonu z syropem.

Tego wieczoru chory i rozdrażniony Zeppe nie czekał po przedstawieniu na Horty'ego. Doker trochę na niego poczekał, po czym wyszedł sam z teatru. Przed fasadą stara kobieta gasiła latarnie. Padał mokry śnieg.

Po drugiej stronie Rynku Horty zobaczył Marię Diotret, siedzącą jak amazonka na gniadym koniu. Spod długiej, ciemnoniebieskiej sukni wystawały nogi i dyndały z uroczą nonszalancją. Spod szerokiego beretu wysunęło się kilka blond kosmyków. Patrzała na Horty'ego. W jej wzroku nie było najmniejszego wahania, jak gdyby spodziewała się, że on ukaże się dokładnie w tej chwili i w tym miejscu. Uśmiechnęła się do niego. Ręką, w której trzymała krótką szpicrutę, dała mu dyskretny znak. Potem uderzyła konia piętą i zniknęła w ciemnych uliczkach.

Nie mógł złapać tchu. Serce podeszło mu do gardła jak po długim biegu z przerażonym cielakiem na ramionach. A przecież nie zdążył nawet drgnąć. Gdyby nawet miał czas, to i tak nie wiedziałby, jaki wykonać gest. Z wrażenia aż usiadł na stopniach przed teatrem.

Stara kobieta skończyła gasić latarnie. Podeszła do niego, puknęła w ramię i zapytała, czy przypadkiem nie poczuł się źle. Powiedział, że nie, że tylko zrobiło mu się zimno.

Długo tak siedział. Kobieta weszła do teatru. Słyszał brzęk zamykanych na łańcuch drzwi.

W końcu wszystko ucichło. Roztopiony śnieg ściekał rowkami do rynsztoków.

Tej nocy Horty jeszcze sobie wmawiał, że to nieprawda i że tak naprawdę nie widział Marii.

A kogo? Jakąś kobietę, którą w ciemności i z daleka wziął za Marię. Nie wiadomo tylko, po co kręciła się przed teatrem. Na pewno z równie głupiego powodu jak siedem tamtych robotnic w Boulogne przebranych za pokojówki, które czyhały koło wagonu, a on zamknął się w środku i nie odezwał się do tych wariatek, tylko pił wino przygotowane przez Zeppego.

Następnej nocy kobieta czekała dłużej, zanim dała koniowi ostrogę. Tym razem nie uśmiechnęła się i nie skinęła ręką ze szpicrutą. Wydawało się, że chce jedynie, aby ją podziwiać. Włosy miała upięte w kok. Nosiła jasną, piaskową

suknię obszytą u dołu dwiema brązowymi wstążkami. Horty równie nieruchomy jak amazonka obserwował ją w milczeniu dopóty, dopóki tkwiła pod kasztanami. W końcu lekko kiwnęła nogami i wierzchowiec ruszył. Gdy zniknęła, skierował się do tego miejsca po drugiej stronie placu, gdzie stała. Na mokrym bruku pozostał koński nawóz. Horty dotknął go. Nawóz był miękki i ciepły, ale to był jedynie ślad żywego konia, a nie Marii.

Postanowił, że jeszcze nic nie będzie mówił, lecz poprosi tylko o więcej wina niż zwykle. Tego dnia Zeppe kupił sobie bilet kolejowy do Wenecji. Stwierdził przy tym, że zostało mu więcej pieniędzy, niż przewidywał, dlatego stać go było na szeroki gest. Powiedział więc Horty'emu, żeby pił tyle, ile mu się podoba.

— A jak się pan przewróci, położę pana do łóżka i okryję tak, jak pan okrywa kobiety, które pan kocha.

Następnego dnia Maria była w teatrze. Siedziała na galerii i wachlowała się szerokim beretem. Blond włosy opadały swobodnie na ramiona.

Opowiadając historię, Horty przez cały czas usiłował patrzeć na młodą kobietę i mówić tylko do niej, ale widział wyraźnie, że ona zasłania się i przemierza niecierpliwie galerię wielkimi krokami.

Po skończonym przedstawieniu Horty rzucił się w stronę schodów, aby do niej podbiec. Przedzierał się przez tłum wychodzących widzów. Gdy dotarł na górę, Marii już tam nie było. Zapytał szatniarek, czy nie widziały młodej kobiety dość podobnej do tej, której powiększona fotografia jeszcze stała na scenie, delikatnej i nerwowej blondynki w skórzanych bucikach i ze szpicrutą schowaną w fałdach sukni. Szatniarki powiedziały, że nie zwracały uwagi na ludzi na sali. Stały koło szatni, pijąc kawę, i stawiały horoskopy.

Horty krążąc wokół teatru polował na ślady gniadego konia, na którym Maria siedziała jak amazonka. Pogoda była pod psem. Widzowie wezwali wiele dorożek, toteż wszędzie leżał koński nawóz. Horty poczuł ulgę, że nie ma Zeppego i że on nie widzi, jak pochyla się nad ekskrementami, by odnaleźć w nich ślad kobiety. Wybiła pierwsza, gdy wreszcie zdecydował się powrócić do hotelu. Do tej pory uważał, że w życiu jest coś niesprawiedliwego, ale samo życie uznawał za trzymające się kupy. Teraz życie ukazało mu się w całej swej absurdalności.

Zeppe czekał na niego - niepokoił się. Siedział na łóżku z kołdrą podciągniętą pod brodę, bo zaczynało boleć go gardło. W pokoju zalatywało wodą do ust. Horty wypił trochę, ale nie za dużo. Bał się, aby Zeppe nie pomyślał, że bredzi po pijanemu. Opowiedział jednak, kogo widział przez trzy wieczory z rzędu.

— To Zoe - powiedział Zeppe, gdy Horty skończył opowieść.

— Zoe nie jest ani taka młoda, ani taka piękna. Jest ruda i niziutka. Tylko, że to też nie może być Maria - rozumował doker. - No bo ona nie żyje. Poza tym, gdyby to była Maria, podeszłaby do mnie.

— Ja nie twierdzę, że widział pan Zoe, a już na pewno nie Marię - sprostował Zeppe. - Ja powiedziałem tylko, że Zoe zapłaciła tej kobiecie podobnej do Marii. Pan ją widział z daleka, prawda? Przecież sam pan zauważył, że unika spotkania z bliska.

— Po co Zoe miałaby to robić?

— Żeby pana zranić - wyjaśnił Zeppe.

Horty mu nie wierzył, lecz Zeppe był przekonany, że ma rację. Zoe rozpoczęła działania mające doprowadzić męża do straszliwego pomieszania zmysłów, które następnie zostanie uznane za rodzaj demencji.

Tymczasem jak na złość Maria przestała pokazywać się dokerowi, ale Horty nie odczuł z tego powodu ulgi. Przeciwnie, nękało go uczucie frustracji. Mimo że noce były coraz bardziej wilgotne i chłodne, coraz bardziej opóźniał powroty do hotelu. Długo błądził uliczkami wokół Rynku i nasłuchiwał, czy nie doleci go głuche rżenie, stukot podków o bruk, brzęk ostróg i szelest długiej sukni ocieranej o boki konia. Słyszał jedynie odległe odgłosy ze statków w porcie, a czasami, gdy przechodził pod kobiecym więzieniem, krótki krzyk. To wołała za nim któraś z więźniarek.

Trzy pierwsze wizje miały tak mało wspólnego z tym, co wiedział o Marii. Nieobecność zjawy nasunęła mu myśl, czy na pewno jednak Maria nie żyje, skoro żyje Mr Cheapman i kobieta w zieleni? Może Maria trzyma się od niego z daleka, bo wyszła z katastrofy oszpecona? Może jakiś kawałek metalu oderwał się od statku i przeorał jej twarz? Może rzuciła się do szalupy, która oddalała się, a ktoś okrutnie uderzył ją wiosłem, aby nie próbowała dostać się do przeładowanej łodzi? Może długo leżała w amerykańskim szpitalu, ale chciała pokazać się doke-

rowi i udowodnić mu, że żyje? A że zrobiła to ukradkiem, żeby nie zorientował się, co stało się z jej twarzą?

Horty musi ją odnaleźć i wytłumaczyć, że spędził tyle wieczorów mówiąc jej o miłości i wpatrując się w jej fotografię oświetloną teatralnymi reflektorami, gdyż w ten sposób w dalszym ciągu ją widywał. Nie ma więc powodu wstydzić się czegokolwiek. Niech wreszcie zbliży się do niego i niech wreszcie pozwoli mu zrobić to, w czym przeszkodził policjant na nabrzeżu w Southampton. Chciałby wziąć ją w ramiona i jedną ręką otoczyć talię, a drugą szyję. A potem przytulić do jej szyi głowę i lekko kołysać jak żółw „Pod Głową Żółwia", gdy patrzał na ludzi przed śmiercią, i wargami dotknąć jej jasnych włosów.

Wdychałby jej zapach - to wszystko, czego pragnął. Zamknąłby oczy, gdyby tego wymagała. To trwałoby tylko tyle, ile chciałaby. Odsunąłby się od niej natychmiast, gdyby tego

TLR

zażądała, a nawet nie musiałaby żądać. Wystarczyłoby, żeby leciutko drgnęła, wówczas on zaraz odszedłby.

Nie powinna sądzi, że wszystkim mężczyznom tylko jedno w głowie - kochać się. Niektórzy potrafią poprzestać na czymś

wiele skromniejszym. Czasami wystarcza im tak niewiele, że aż nie ośmielają się prosić, żeby nie uchodzić za zboczeńców. Czasem chcą poczuć czyjś oddech na twarzy. To coś tak ulotnego

naprawdę nic nie kosztuje tego, kto to ofiarowuje. Nawet nie będzie pamiętał, że coś takiego podarował.

Doker czatował i czatował, ale nie spotkał Marii. Którejś nocy napotkał Czarną Bandę z chilijskiego parowca. Nie wiedzieli, że na zasadzie niepisanego prawa marynarze nie mieli wstępu do Górnego Miasta. Ci ludzie już byli pijani, ale szukali jakiegoś otwartego lokalu. Horty powiedział im łamanym hiszpańskim, żeby zeszli do Dolnego Miasta, zanim zatrzyma ich patrol straży. Oni zrozumieli to opacznie, że straszy ich wezwaniem żandarmów, dlatego zaczęli go wściekle okładać. Porzucili go nieprzytomnego przed sklepem mięsnym Żyda Abla Cohena.

Zeppe przemywał mu rany i robił wyrzuty:

— Bawi się pan w to samo co Zoe? Kto pana stamtąd zabrał? Żandarmi? Może pan być pewny, że sporządzą o panu raport: mężczyzna leżący w rynsztoku, skąpany we własnej krwi i w wymiotach. Napadnięty przez palaczy? Jakich palaczy? Nikogo nie było. Obsesja byłego dokera zwolnionego z pracy za pijaństwo. Stał się smutnym klownem. Wszędzie dostrzega zjawę tej nieszczęsnej dziewczyny, która zginęła na „Titanicu". Facet był kompletnie pijany. Oto cała prawda. Upadł i rozwalił sobie łeb

o krawężnik. I to jest właśnie to, czego Zoe potrzebuje przeciw panu. To jest pewne tak samo jak fakt, że greką władam równie płynnie jak francuskim i włoskim.

Następnego dnia wypadał piątek. Horty siedział sam po ciemku w garderobie. Próbował pozbierać się przed wyjściem na scenę. Wtedy właśnie Maria Diotret zapukała do drzwi.

Ponieważ Horty nie odpowiadał, weszła.

Siedział skurczony w fotelu i odwrócony plecami do drzwi. Na głowie miał jeszcze opatrunek założony przez Zeppego. Przypominał mumię porzuconą na chwilę przez balsamow- ników, którzy poszli po więcej białych bandaży. Gdy otworzyły się drzwi, Horty nawet nie drgnął.

Maria stanęła w progu i obrzuciła garderobę szybkim spojrzeniem. Pod ścianą stała jej fotografia naturalnej wielkości. Za chwilę miał przyjść maszynista i zanieść ją na scenę.

Stamtąd, gdzie stała, Maria widziała jednocześnie i swoją twarz sfotografowaną wiosną przez Chińczyka w basenie portowym, i odbicie własnej twarzy w lustrze nachylonym nad stolikiem do makijażu. Była w wieku, w którym kilka miesięcy nie zmienia jeszcze wyglądu kobiety. Może mam trochę ostrzejsze rysy - pomyślała. Zniknęła tylko gdzieś zaduma widoczna jeszcze w Southampton. Ale przecież tam była u kresu sił.

Maria podeszła do fotografii. Podniosła szpicrutę i uderzyła gwałtownie. Rozległ się suchy trzask, przypominający wystrzał. Na fotografii powstało wielkie, poprzeczne rozdarcie od białego czepka aż do nasady szyi, tam, gdzie wystawał mały kołnierzyk obszyty koronką.

Horty powoli wyprostował tułów, ręce i nogi. Otworzył oczy. Nie musiał się odwracać. Wszystko widział w lustrze przed sobą. Widział Marię. Patrzała na niego. Energicznie wycierała szpicrutę, jakby ją zakrwawiła i uderzyła kogoś naprawdę żywego.

Horty zobaczył, że twarz Marii pozostała nietknięta i ogarnęła go radość. W tej chwili wydawało mu się to bardziej cudowne niż fakt, że ona w ogóle żyje. Chyba dlatego, że przywykł już do myśli, iż nie żyje. Przecież dobrze wiedział, jak ohydnie rozkładają się topielcy. Odsuwał od siebie obraz tego, co morze zrobiło z Marią. A teraz ze szczęścia chciał krzyczeć tak, jak krzyczał w dzieciństwie, gdy mimo wszystko nastąpiło coś nieoczekiwanego.

Większość ludzi, którzy widzieli fotografię Marii, uważała że jest ona świeża i urocza. Najczęściej mówili o niej milutka i to takim tonem, jakim mówi się o dzieciach, młodych roślinach i zwierzętach. Dla Horty'ego Maria była kimś więcej niż śliczną dziewczyną. Była doskonalszą formą życia, do jakiej on nigdy

nie miał dostępu. Dlatego nie przestał kochać Zoe. Tak, Zoe. Ze swoimi coraz większymi i coraz bardziej wzruszającymi niedociągnięciami była kobietą na miarę tego, co uważał za rozsądne w dziedzinie piękna. Zoe mógł chwycić i rozewrzeć. Mógł jej włożyć nawet wtedy, gdy był brudny, gdy miał koszulę przesyconą uryną cielaka i gdy jego gors pachniał winem. Był mężczyzną brudnym i brutalnym, który kładł się na małej, codziennej kobiecie z wadami. To właśnie zawsze widział wokół siebie na dwóch ulicach, gdzie uprawiał miłość: na ulicy Solidor i La Villemarque.

Wyciągnął ręce do lustra, jakby chciał chwycić odbicie Marii. Pomyślał, że może ona jest tylko odbiciem? Może zniknie, gdy się odwróci?

Ale ona tam była. Chodziła nerwowo po garderobie i końcem szpicruty muskała nieliczne sprzęty. Dotknęła szpicrutą rąk Horty'ego, pokazując tym samym, by je opuścił. Bez sprzeciwu usłuchał.

— Przydarzyła mi się długa historia - powiedziała wreszcie.

— Dużo dłuższa od tej, którą pan opowiada co wieczór. Moja ma tę przewagę nad pańską, że jest prawdziwa. Sala jest już pełna, więc zaraz pana zawołają. Kiedy mogę zobaczyć się z panem?

Chciał powiedzieć, że jutro, bo dziś czuje się pełen wrażeń, ale nie zostawiła mu czasu na odpowiedź:

— A więc dobrze, zaraz po przedstawieniu. Ale nie w pańskim hotelu. Tam jest ten Włoch. Nie chcę mieć z nim do czynienia, przynajmniej jeszcze nie teraz. Poczekam więc na pana tutaj.

Maszynista wszedł bez pukania, bo chciał zabrać fotografię. Zauważył, że jest zniszczona. Powiedział, że trzeba pomyśleć o zamówieniu nowego powiększenia, jeżeli występy potrwają do 10 grudnia. Widział Marię, ale nie zauważył żadnego podobieństwa między nią a fotograficznym portretem. Czyżby Maria aż tak się zmieniła? - pomyślał Horty. Uważał, że wciąż pozostawała taka sama. Raz tylko była inna w Southampton, gdy zaczęła mówić ochryple. Wtedy nie podobał mu się ten głos.

Widzowie nie powinni dostrzec z daleka długiej pręgi, jaką Maria zrobiła uderzeniem szpicurty na własnym wizerunku.

Na scenie Horty siedział obok fortepianu, tuż przy zdjęciu i widział tylko tę pręgę.

Przypuszczał, że Maria wstydzi się tego okresu, gdy była pokojówką. Nie wiedział, co teraz robi, ale przecież jeździ konno i nosi luksusowe toalety. A więc na pewno nie jest służącą. Z wściekłością smagnęła zdjęcie, jakby smagała przeszłość. Z podobną wściekłością drze się ostatni list od kogoś, kogo już się nie kocha.

Tego wieczoru opowiadał historię machinalnie, prawdopodobnie zupełnie żałośnie.

Gdy zaczął powtarzać dwa, trzy razy to samo, to co już mówił przed chwilą, jakby szukając właściwych słów - balkon go wygwizdał.

Damy zaczęły szeptać i bawić się lisami zarzuconymi wokół szyi. Jakiś mężczyzna roześmiał się. Tu i ówdzie na sali wszczynało się zamieszanie. Horty wiedział, że dzisiaj nie bawi publiczności.

A przecież słowa pozostały te same i tak samo potęgował napięcie dramatyczne. Błąd nie tkwił w historii, ale w Hortym.

Każdy dotychczasowy wieczór uczył go czegoś nowego o Marii. Każdego wieczoru lepiej oddawał piękną powolność jej ruchów, bijące od niej spokojne ciepło po tym, jak okrył narzutą jej uśpione ciało, zapach strachu, gdy przywiązywał ją na schodach Harston and Harston, i zapach wyśmienitych perfum na fartuszku i za uszami następnego dnia rano, zanim weszła na pokład „Titanica", i tę uroczą manię wysuwania koniuszka języka między wargami, nim coś powiedziała, choćby to było zwyczajne „tak" albo „nie", sposób, w jaki przechylała na bok głowę, a także dziecinny napad śmiechu, gdy zdołała za pierwszym razem ściąć skorupkę jajka. Opowiadał też ze szczegółami to, co istniało jedynie w jego wyobraźni. Sam się tym wzruszał -wzruszając innych. Malował przed oczami widzów sprężystość dwóch halek Marii, tak nieoczekiwanych pod zawodowym, szorstkim, nakrochmalonym uniformem, rozwarcie jej gołych nóg, wilgotną miękkość wewnętrznej strony ud, spazmy szerokiego i płaskiego brzucha, paznokcie orzące pomarszczone sukno, nagły krzyk: „Nie odwracaj mnie, doker!" - a przecież

i tak sama się odwróciła, strużkę potu spływającą po wygiętych plecach, delikatną skórę na ramionach, zapach piżma w pokoju w Redzie Spithead i wreszcie ich sen aż do rana.

Jakich wzruszeń mógł doznawać Horty przy tej wielkiej, oświetlonej fotografii, pachnącej klejem i rozgrzanym drewnem? Fotografia sterczała obok drętwo, gdy tymczasem w garderobie czekała na niego prawdziwa Maria, z krwi i kości. Cóż mogła poradzić wyobraźnia Horty'ego przeciw prawdziwej Marii? Przed chwilą, gdy przechodził obok niej, parsknęła jak rozdrażniona kotka. Pośpiesznie wciągnął tę odrobinę jej oddechu

bardzo dobrze zrozumiał, że są rzeczy niemożliwe do opowiedzenia.

Dlatego zatrzymał się w połowie opowiadania. Wstał. Oślepiały go reflektory, a on mrugał i chwiał się. Widział setki głów zwróconych w jego stronę, podobnych do równo poukładanych małych, czarnych kulek. Wystarczy mniej niż nic, jedno słowo, które zaraz wypowie, żeby potoczyły się bezładnie.

— To koniec.

— Zaczekaj ! - wrzasnął ktoś z jaskółki. - Pieprzyłeś pokojówkę? Tak czy nie? Doker! Ja zapłaciłem, żeby się dowiedzieć?!

— Dzisiaj - powiedział Horty - pan Brassatto jest nieobecny, gdyż bardzo kaszle. Przyjdzie jutro między godziną dziewiątą a południem i zwróci pieniądze wszystkim, którzy zechcą. To normalne. Jeśli Zeppe będzie się czuł bardzo źle, ja przyjdę z pieniędzmi.

Wyszedł wśród gwizdów. Personel „Le Grand Théâtre" pośpiesznie otwierał przed nim drzwi, powtarzając:

— Wychodzić, to już koniec, to koniec...

TERAZ nazywam się Maria Derlanges - powiedziała Maria Diotret. - Mam te same inicjały. Musiałam je zachować ze względu na chusteczkę, jaką miałam przy sobie w chwili katastrofy. Wciąż trzymałam ją w ręku, gdy wypytywał mnie oficer amerykańskiego biura imigracyjnego.

Gdyby nie ten przymus, gdyby nie te inicjały, mogłaby przybrać nazwisko naprawdę nie mające niczego wspólnego z jej dawnym nazwiskiem. Powinna upuścić chusteczkę do morza jeszcze przed przybyciem do Nowego Jorku albo powiedzieć oficerowi imigracyjnemu, że te inicjały nic nie znaczą, gdyż to pożyczona chusteczka, podobnie jak i cala toaleta, jaką miała na sobie. Rozbitkowie byli poubierani groteskowo, ponieważ przyjęła ich na pokład „Carpathia" i każdy założył na siebie to, co otrzymał od pasażerów. Stąd ta chusteczka.

Na „Carpathii" Marią zajęła się Amerykanka, wdowa. Wybrała się do Europy, by zapomnieć o śmierci męża. W Rzymie i w Paryżu kupiła wiele sukien zbyt jaskrawych jak dla kobiety w żałobie. Zaproponowała Marii, żeby jedną z nich wybrała dla siebie. Być może był to rodzaj pokuty, którą sobie narzuciła dla odkupienia chwil kokieterii.

— Zabrała mnie do swojej kabiny i rozebrała. Sama nie dałabym rady. Byłam zbyt zziębnięta. W szalupie konałam z chłodu. Łódź godzinami dryfowała po oceanie jak na ironię spokojnym i gładkim niby lustro, ale lodowatym. Wzięła wielki ręcznik i wytarła mnie. Zaczęła od włosów i twarzy. To wystarczyło, żeby zmoczyć ręcznik. Wezwała stewarda, by przyniósł drugi ręcznik, ale on nie wracał bardzo długo, ponieważ tej nocy na pokładzie „Carpathii" wszyscy rzucili się na ręczniki i kołdry.

Amerykanka zaczęła więc osuszać Marię gąbką. Energicznie rozcierała jej ramiona, piersi i plecy. Gdy doszła do ud, Maria przypuszczała, że teraz powie jej, aby dalej wycierała się sama.

— Ale zdaje się, że sprawiało jej przyjemność, gdy mnie dotykała. Miałam lodowatą skórę i plamistą jak zbity owoc. Widziałam się w owalnym lustrze nad toaletką. Wyglądałam brzydko i mizernie, a ta kobieta całowała mnie tak ładnie, prosząc równocześnie, abym pozwoliła jej to robić.

Margaret Knebworth poruszała się powoli i łagodnie. Klęknęła, żeby wytrzeć nogi i stopy Marii, która z przyjemnością wdychała miły zapach jej ciemnych włosów. Te perfumy o woni heliotropu kupiła też w Paryżu. Natomiast Marię czuć było mokrym węglem i olejem mineralnym. Nie wiadomo, dlaczego przesiąkła nim szalupa, do której wsadzili ją marynarze.

Missis Knebworth otworzyła walizkę. Szukała sukienki odpowiedniej do wzrostu i karnacji Marii. Wybrała różową z wiśniowymi obszyciami. W walizce było mnóstwo ładnych rzeczy. Znajdowały się w niej nie tylko bluzki i sukienki, lecz także przedmioty z kości słoniowej inkrustowane srebrem i drobiazgi, które Margaret Knebworth wiozła z Europy jako upominki. Niestety, zatrzasnęła i zamknęła walizę, zanim Maria zdołała ukraść jeden z tych drobiazgów.

— A zresztą i tak wciąż jeszcze byłam całkiem naga. Gdzie mogłabym to schować?

Missis Knebworth ubierała Marię takimi samymi pieszczotliwymi ruchami jak wtedy, gdy suszyła jej brzuch i uda. Margaret Knebworth zawsze chciała mieć córeczkę. Przed laty urodziła martwe dziecko. Zabrali je natychmiast i nawet nie pokazali. Lekarze twierdzili później, że to był chłopczyk, ale przypuszczała, że tylko tak powiedzieli, bo chcieli ją pocieszyć. Była pewna, że wydała na świat małą dziewczynkę. Jednak na kamieniu grobowym wyryto imię William. Gdy Margaret Knebworth myślała o swoim nieżyjącym dziecku, uparcie nazywała je Alicja. Dodała, że gdyby Alicja żyła, teraz byłaby w wieku Marii: miałaby dwadzieścia dwa lata.

Odwróciła Marię do lustra. Kazała jej złączyć dłonie i powtarzała w uniesieniu: *Oh! So cute, so really cute/*12*

— Jednak nie uważałam, żeby w różowym było mi do twarzy. Jestem zbyt jasną blondynką do takich mdłych kolorów. Już nie mam tej sukienki, bo któregoś wieczoru sprzedałam ją na trotuarze w Brooklynie. Kupiła ją ode mnie jakaś Murzynka. Od razu założyła na to wszystko, co już na sobie miała. Była taka drobna i piękna, że wcale nie wyglądała w tym jak baleron. Potem zrobiła dwa lub trzy taneczne kroki. Tymczasem w głębi ulicy zobaczyłyśmy policjantów na

---

[12] *' Och! Ładnie, naprawdę bardzo ładnie!

koniach. Ona chyba zauważyła wcześniej niż ja i zwiała. Ja też. Ta Murzynka zapłaciła mi za różową sukienkę siedem dolarów. Gdyby nie policjanci, cena doszłaby do dwunastu, może piętnastu, a może nawet do dwudziestu dolarów. Tak, lekko. Wiem już, ile da się wyciągnąć od ludzi, ile od Murzynów, a ile od innych.

Missis Knebworth nalegała, by Maria zamieszkała z nią w kabinie. Odstąpiła jej swoje łóżko. Powiedziała, że położy się w fotelu i będzie jej tam bardzo wygodnie. W każdym razie po tym, co spotkało „Titanica", nie sądzi, by kiedykolwiek zdołała usnąć na płynącym statku.

— Kilka razy pocałowała mnie i dotknęła dziwnie powoli, wydając przy tym ciche, stłumione okrzyki. Dobrze wiedziała, że to, co robiła, nie było w porządku, ale nie wymagała, żebym odwzajemniała pieszczoty. Ostatniej nocy powiedziałam jej, że jeżeli chce, może na mnie mówić Alicja. Westchnęła dwa razy: „Och! Alicja, Alicja!". Na pewno przybrałabym to imię, gdyby nie pytanie amerykańskiego oficera imigracyjnego. A przede wszystkim, gdybym nie przykładała do oczu tej chusteczki z pierwszym inicjałem M.

„Carpathia" pruła fale, mijała ławice mgieł i strefy przejaśnień. Po czterech dniach przybiła do Nowego Jorku. Statek zamienił się w gigantyczny, pływający kiermasz miłosierdzia.

Wśród uratowanych pasażerów najwięcej było kobiet, których mężowie znaleźli śmierć na „Titanicu". Toteż pasażerowie „Carpathii" nieustannie organizowali zbiórki na fundusz pomocy wdowom.

— Ale ja, oprócz sukienki, nie dostałam nic. Dlatego mówię, że byłoby sprawiedliwie, gdyby Murzynka zapłaciła mi za nią przynajmniej dwadzieścia dolarów. Poza tym piękna sukienka nie mydliłaby oczu długo. Ludzie szybko dowiedzieliby się, że byłam pokojówką. Gdy spacerowałam po pokładzie, wydawali mi polecenia. Wysyłali mnie po filiżankę bulionu, kazali zacerować płaszcz i zabawiać dzieci, które zgubiły rodziców. Mogłam to wszystko robić, ale nie chciałam. Pod koniec podróży prawie wszyscy źle się o mnie wyrażali.

Dochodziła dziewiąta rano, gdy statek wpłynął na rzekę Hudson. Wiatr niósł smród śmieci od barek zmierzających do wysp w zatoce. Starej „Carpathii" towarzyszyło mnóstwo stateczków z reporterami. Dziennikarze wydzierali się. Chcieli wiedzieć, jak było naprawdę. Fotografowali szalupy „Titanica" umocowane do

burt „Carpathii”. Na brzegach zgromadziły się dziesiątki tysięcy ludzi, ale oni zachowywali się stosunkowo cicho. Niektórzy klęczeli wokół księży i modlili się. Holowniki przeciągnęły „Carpathię” do pirsu White Star, gdzie wyładowano szalupy „Titanica”. Potem zacumowano statek do nabrzeża Cunarda.

Oficer urzędu imigracyjnego, który zajął się Marią, był bardzo młodym człowiekiem. Bez przerwy ssał dolną wargę, wydając ciche cmokanie. W namiocie Cunarda panował chłód, ale oficer cały spływał potem.

Zadawał Marii pytania. Czy zachowała przy sobie jakieś papiery? Zaprzeczyła. Czy zdołała uratować jakieś przedmioty osobiste? Pokazała chusteczkę. Oficer znowu obtarł spocone czoło i zapytał o nazwisko, bo trzeba wystawić prowizoryczny paszport.

Już umoczył pióro w kałamarzu, postawił kropkę w rubryce i przygotował się do pisania. Maria miała sekundę na podjęcie decyzji.

Powiedziała, że nazywa się Maria Derange. *Der,* ponieważ była to jej ostatnia szansa (po francusku *derniere),* a przynajmniej tak jej się wydawało. Ange, bo Margaret Knebworth powtarzała w kółko, że Alicja została aniołem (po francusku *ange*). Takie właśnie słowo przyszło jej na myśl w ułamku sekundy.

Oficer powtórzył kilka razy: Derange, Derange, Derange, przespelował i zapytał:

— Czy tak jest poprawnie, mademoiselle?

Maria spostrzegła, że Derange nie brzmi najlepiej, więc zrobiła zirytowaną minę:

— Ależ nie, powiedziałem Derlanges. W środku jest „l”.

Wygięła szyję, żeby zobaczyć, jak młody oficer to napisze. To „s” na końcu dodała dla lepszego rytmu: Derlanges. Oficer dodał posłusznie „l” i „s”, każdą literę we właściwym miejscu. Następnie sprawdził listę pasażerów i oświadczył, że nazwisko Derlanges nie figuruje wśród osób, które wsiadły na „Titanica” ani w Southampton, ani w Cherbourgu, ani w Queenstown. Jednak nie wyglądał na przejętego tym faktem.

— Może pani to wytłumaczyć, miss Derlanges?

— Chyba tak, sir. Szuka pan mojego nazwiska na liście pasażerów. Tymczasem ja byłam tylko pokojówką. I żeby wszystko było jeszcze bardziej skomplikowane - zmusiła się do śmiechu - wsiadłam na statek w ostatniej chwili. Zastąpiłam etatową pokojówkę, która musiała zostać na lądzie z powodów rodzinnych.

Stwierdził, że to brzmi wiarygodnie, mimo że zatonięcie „Titanica" robiło wyjątkowe wrażenie. Wcześniej były przecież inne katastrofy, które także pociągnęły za sobą wiele ofiar. Za każdym razem sekretarki sporządzające spisy były poruszone, zresztą tak jak wszyscy, i popełniały wiele naprawdę strasznych błędów. Z czasem jednak wszystko wracało do normy.

— Szukałam jego wzroku, ponieważ chciałam wiedzieć, czy coś podejrzewa. Miał bladoniebieskie, puste oczy.

Maria szła szeroką, szarą ulicą. W miarę jak zbliżała się do Manhattanu, domy stawały się coraz wyższe. W Londynie wiatr powodował skrzypienie zdobionych szyldów, na których wymalowano konie, charty, lisy, wieloryby i korony. W Nowym Jorku wiatr łopotał wielkimi sztandarami, na których nie było nic prócz barw, a mimo to były wesołe i radosne. Urwisy siedzieli na schodkach i coś wykrzykiwali. Nie mogła jednak zrozumieć co. Mówili zmienionym angielskim. Pomyślała, że musi nauczyć się wyrażać jak oni. Postanowiła zostać w Ameryce. Miała nowe nazwisko. Niczym nie ryzykowała, w razie gdyby próbowała sprzedać gazetom swoją relację o katastrofie. Reporterzy zanudzali jeremiadami uratowanych milionerów, nudnymi szczegółami technicznymi uzyskanymi od marynarzy, którym udało się przeżyć.

Maria opowiedziałaby im raczej o beztrosce wszystkich tych ludzi śpiących, grających w karty, oglądających gwiazdy, podczas gdy statek pruł wprost na górę lodową. Opisałaby, jak docierała do nich świadomość czegoś nieodwracalnego. Jak jedni okazywali się odrażającymi tchórzami, a inni wykazywali wyjątkową odwagę. Na przykład ta nieznajoma dygocąca kobieta w żółtej sukni, o wiele za cienkiej jak na katastrofę na północnym Atlantyku. Ta kobieta zaproponowała Marii, żeby zajęła jej miejsce w szalupie. - Please, you're sill a child*[13].- Naprawdę powiedziała please w taki sposób, jak gdyby prosiła o przysługę. Maria zauważyła później jej kapelusz pływający na falach. Albo te małe Irlandki uwię-

[13] * Proszę, jesteś taka młodziutka.

zione za drzwiami oddzielającymi sektor dla emigrantów od schodów prowadzących na pokład załadunkowy, które szalały, przepychały się, drapały, gryzły jak szczenięta próbujące wydostać się z koszyka. Widziała je wyraźnie przez szybę. Głośno krzyczała, aby zbiły szybę, ale Irlandki nie miały pod ręką niczego dostatecznie twardego, jedynie jakieś pakunki, z których wystawały skarpetki z białej wełny, lniane halki i naręcza kwiatów zebranych w rowach przy drodze z Queenstown.

Maria nadstawiała ucha na plotki, jakie zaczynały krążyć. Podobno w nocy w niedzielę 14 kwietnia na jakiejś idiotycznej ceremonii, zamiast pieśni „Bliżej Ciebie, Boże", orkiestra grała bardzo wesołe melodie taneczne. Było tak wesoło, że race alarmowe wzbijające się w niebo brano za sztuczne ognie. Na początku, zanim rufa nie zaczęła się unosić, dwie, trzy pary próbowały nawet tańczyć, ale w końcu rufa uniosła się pionowo do góry i wszyscy się stoczyli.

A więc nareszcie z kilkoma dolarami przy duszy wsiądzie w nocny pociąg do stanu Maine. Ach! Te niskie, długie domy, mgła i hangary na mahoniowe łodzie, i słowiki, ale przede wszystkim mężczyźni, bogaci i źle ogoleni, w zabłoconych butach i bez kapeluszy na głowach.

Nie, jednak nie była tam. Została w Nowym Jorku.

Gdy minęła dzieci siedzące na schodach i śpiewające dziwne pieśni o słońcu, bawełnie i Bogu, doleciał do niej odgłos ogromnego miasta. Był przytłumiony. Jak przez mgłę słyszała tupot ludzi i koni, ciężki, nieprzerwany szczęk żelastwa zmieszany z trąbieniem i dzwonieniem oraz chrapliwym dyszeniem jeżdżących machin, które wyrywały drzewa i kopały rowy. Między niebem a ziemią balansowały belki z siedzącymi na nich okrakiem ludźmi, którzy pacykowali je minią. Ludzie zwalali drzewa, cięli je, a wiatr porywał trociny i niósł otwartymi alejami w stronę morza. Czasami rozlegał się kobiecy śmiech, a czasami krzyk rannego robotnika. Nie potrzebowała nawet zbyt dużo czasu, żeby nauczyć się odróżniać krzyk Białego od krzyku Czarnego.

— Wysokość budynków stawała się zawrotna. Miałam wrażenie, że ściany zbiegają się jakby przygięte obcęgami. Zawrót głowy. Wszystko na opak. Niebieska przepaść była na górze! Nie chciałam oślepnąć, więc spuściłam oczy.

Po słonecznej stronie ulicy było za gorąco. Po ocienionym trotuarze hulał chłodny wiatr ciągnący masę odpadków.

— Gdy ma się spuszczone oczy, wtedy się myśli. Myślałam o Mauren i o tym, ile złego było za nią i za mną. Lepiej opuścić Anglię i zniknąć. Mnie się wreszcie udało. Horty, w nowym świecie nowe było przede wszystkim to, że ja nazywałam się Maria Derlanges. Mam nadzieję, że Mauren też się wyrwała. Jeśli nawet wszystko stało się przez jej błąd, to nie powód, żeby ją zaraz wieszać. Nie wiem, czy oni wieszają za takie głupstwa, ale Mauren tego właśnie się obawiała.

Maria zaczęła śpiewać. Wybijała takt uderzeniami szpicruty o wysokie, ciasno zasznurowane buciki.

Czarna myszka żyła tylko trzy dni,
Szara myszka żyła tylko dwa dni,
Biała myszka żyła tylko jeden dzień,
Jakiego koloru była myszka,
Którą ci panowie z Londynu
Powiesili dzisiaj o świcie?

Maria zauważyła, że ta piosenka jest jakby specjalnie ułożona dla Mauren-Myszki, która wślizgnęła się do szatni teatru „Drury Lane” jak do smacznego i pożywnego sera i z tego powodu jest teraz za kratkami. Bóg jeden raczy wiedzieć na jak długo.

— Horty, musi pan wiedzieć, że ten teatr wystawia głównie komedie. Wesołe sztuki wprawiają ludzi w dobry nastrój. Wychodząc popychają się, trącają łokciami, wymieniają zabawne uwagi, a także próbują naśladować głos i ton aktorów. Odbierają okrycia nie zwracając uwagi na to, co im się wkłada na plecy, a już na pewno nie na sposób, w jaki się to robi. Mauren czekała na jakąś gadatliwą, śpieszącą się kobietę, z policzkami zaróżowionymi podnieceniem, roześmianą i gestykulującą. Pomagając jej włożyć palto, wsuwała ręce pod kołnierz i odpinała kolię. Jedyna trudność polegała na tym, żeby tak zabrać klejnot, by nie upadł za gorset ani nie zawadził o gołą szyję. Mauren była zręczna. Kobieta niczego nie zauważała, a Mauren czym prędzej stawiała kołnierz płaszcza, mówiąc:

— Sypie gęsty śnieg. Szkoda, żeby Madame przeziębiła się po tak wspaniałym wieczorze.

Zdarzyło się, że okradziona kobieta wracała już następnego dnia rano w towarzystwie męża czy kochanka. Cały personel teatru gorączkowo przeszukiwał salę, ale oczywiście nie znajdował naszyjnika, gdyż poprzedniego dnia Mauren, opuszczając teatr, przekazała go Marii. Przyjaciółka czatowała na nią pod okapem, wyciągając rękę jak żebraczka oczekująca ostatniej jałmużny tej nocy.

Maria gromadziła całą biżuterię w pudełku po ciasteczkach. Gdy pudełko zapełniało się, szła sprzedać klejnoty.

Najlepszy londyński paser kamieni i metali szlachetnych pochodził z Zurichu. Nazywał się Matheus Schmuggler. Handlował artykułami fryzjerskimi w uliczce za dokami Świętej Katarzyny.

Maria lubiła doki Świętej Katarzyny, podobne do małego jeziorka, które czasami ożywiał majestatyczny ruch wielkiego żaglowca powracającego z Indii. Basen portowy, wciśnięty pomiędzy solidne, surowe domy, wyglądał jak tajemnicza gemma.

Maria szła wąskim nabrzeżem. Wiatr powiewał wstążkami. Wyglądała jak zaaferowana córka kapitańska pośpiesznie niosąca ojcu kawałek ciasta upieczonego w domu. Jednak to, co niosła, to nie było ciasto, lecz biżuteria.

Idąc za radą Mauren, Maria przedstawiła się paserowi jako kobieta, która poznała w Londynie żonatego mężczyznę zapewniającego ją, że wkrótce rozwiedzie się i się pobiorą. Niestety, bez przerwy wyłaniają się komplikacje opóźniające prawną separację tego mężczyzny i jego żony. Maria wyprzedaje dlatego po trochu drobiazgi otrzymane od amanta, aby mieć na życie. Ofiarowywał jej te klejnoty, by skłonić ją do cierpliwości.

Herr Schmuggler nie był na tyle naiwny, by uwierzyć w tę bajeczkę. Maria nie przynosiła do niego takiej biżuterii, którą mężczyzna, nawet zakochany na zabój, obsypuje tak młodą kochankę. Ta historyjka pozwalała paserowi łudzić się, że oddaje przysługę nieugiętej dziewczynie. Stanowiło to miłą odmianę w galerii nędznych, smutnych typów przychodzących i rozkładających przed nim wiecznie te same ciężkie srebra. Herr Schmuggler oglądał kunsztowną robotę i jednocześnie poważnie pouczał Marię o tchórzostwie żonatych mężczyzn, gdy przychodzi im trzasnąć drzwiami małżeńskiego domu.

W sumie spędzili razem sporo czasu na zapleczu sklepu. Pachniało tam lawendą. Składzik zawalony był rozmaitymi kosmetykami, brzytwami, grzebie-

niami oraz niklowanymi maszynkami do strzyżenia. Oszukiwali się nawzajem. Było to coś w rodzaju serdecznej zmowy. Gdy w porcie akurat stawiali żagle na kliprach, białawy blask docierał aż w głąb sklepiku. Rozmawiali o interesach z obojętnością, jak dwoje ludzi z towarzystwa rozprawia o książce, przy czym ani jedno, ani drugie jej nie czytało. Maria za każdym razem uznawała, że jest jej zbyt ciepło, więc rozpinała nieco stanik. To wystarczyło, by paser rodem z Zurichu natychmiast oszacował, że to niezrównana biżuteria, co zresztą mu nie przeszkadzało w dalszych negocjacjach jej dewaluować.

Którejś środy, w południe, Maria zastała sklepik zamknięty. Przed drzwiami przechadzał się policjant. Wyjaśnił, że Herr Schmugglera aresztowano wczesnym rankiem. Policjant ani przez chwilę nie wątpił, kim jest Maria. Oznajmiła bez najmniejszej obawy, że wysłał ją szef, jako praktykantkę, by kupiła trochę esencji gardenii do perfumowania szamponów.

Mauren aż zsiniała, gdy dowiedziała się o aresztowaniu pasera. Schmuggler wszystko wyśpiewa. Zechce udowodnić, że nie zajmuje się podejrzanymi interesami i jest tylko lichym kramarzem pomagającym w potrzebie szacownym osobom, jak właśnie było w przypadku Marii.

— Ależ on nie zna mojego nazwiska! - zaprotestowała Maria. Czuła, że jej także udziela się szaleństwo Mauren.

— Wystarczy twój rysopis. Reszty dokona cierpliwość Scotland Yardu.

Dwie godziny później uciekły z Londynu pierwszym pociągiem odjeżdżającym z dworca Waterloo do Southampton. Od kilku dni lało jak z cebra, więc pozalewało zwrotnice i pociąg jechał wolno. Ze stopni wagonów ściekały do rowów strumienie wody.

Maria i Mauren były jedynymi kobietami w przedziale. Resztę pasażerów stanowili marynarze powracający na statki. Najpierw zachowywały się z ostrożną rezerwą. Udawały że pochłania je ilustrowana powieść, którą Mauren ukradła na dworcu Waterloo. Pociąg wlókł się wyjątkowo, a to zawsze sprzyja wymianie wiktuałów i konwersacji. Rozmowa toczyła się głównie wokół „Titanica” wypływającego w przyszłym tygodniu. Niektórzy marynarze sądzili, że kapitan Smith zrobi wszystko, by odebrać „Mauretanii” błękitną wstęgę. Inni uważali, że - wprost przeciwnie - „Titanic” będzie się wlókł, by zbytnio nie poruszyć żołądków miliarderów. Krytykowali maszynę napędową i zastanawiali się, dlaczego

niskociśnieniowa turbina Parsonsa nadaje się wyłącznie do płynięcia naprzód. Oficer sumitował się wobec dwóch młodych kobiet, że rozmawiają wyłącznie o statku. Przypuszczał, że będą pracować na jego pokładzie. Był przekonany, że zgadł. Prawda, że obie są tymi ślicznymi pokojówkami albo kelnerkami? Ludzie gadają, że na „Titanicu" będzie ich więcej niż na jakimkolwiek transatlantyku kursującym do Nowego Jorku.

Mauren nie zawahała się i najspokojniej w świecie potwierdziła, że obie z przyjaciółkę mają nadzieję zamustrować na „Titanica". Niestety, obawiają się, że teraz jest już za późno. No, ale trudno, jadą do Southampton. A nuż marzenie się spełni?

Oficer pocieszał, że zawsze ktoś się wycofuje w ostatniej chwili. Zaproponował, że zaproteguje Mauren. Jednakże dodał, obrzucają Marię roztargnionym spojrzeniem:

— Panią także, miss, ale oni raczej przyznają pierwszeństwo Angielce.

Pociąg wreszcie dojechał do Southampton. Oficer zaprosił Mauren i Marię, żeby u niego zanocowały. Mieszkał z matką w miłym domku z różowych cegieł przy Lower Canal Walk, między Town Quay i Ocean Dock.

Maria przypuszczała, że Mauren czekała, aż ona zaśnie, żeby pójść do pokoju oficera. Pamiętała skrzypnięcie podłogi, a potem przytłumione śmiechy. Następnego dnia Mauren została zaangażowana na „Titanica" jako nadliczbowa pokojówka. Dla Marii nie znalazło się miejsce.

— To nic - odparła Maria podnosząc głowę. - Dam sobie radę.

Gdy skończy się strajk górników i angielskie statki pasażerskie znowu zaczną bunkrować tony węgla do ładowni, gdy wznowią spokojne rejsy transatlantyckie, wtedy Maria też zamustruje na jeden z tych statków jako pokojówka. Na pewno nie zrobi głupstwa. Nie zapuści się w labirynt doków i nie zniknie w nim, a przede wszystkim zdoła ustrzec się hazardu, jakim są prostytucja i kieszonkowe kradzieże. Nie, Maria wymknie się na pełne morze, do ogromnej Ameryki, o której zresztą nigdy specjalnie nie myślała. Niespodziewanie Ameryka przestała być mitem. Stała się dla niej następnym miejscem, gdzie zastukają obcasy jej bucików.

Resztę pieniędzy, jakie posiadały, Mauren zainwestowała w wynajęcie odpowiedniego pokoju. Ukryła się w nim do dnia zamustrowania na statek.

— Zawsze była bojaźliwa - powiedziała Maria - ale tym razem nieomal oszalała. Nie chciała, żebym wychodziła po jedzenie. Żywiłyśmy się tylko słodzoną herbatą. Jeszcze trochę, a obłożyłaby okna workami z piaskiem, aby zabezpieczyć je przed kulami policjantów.

Maria kupowała wszystkie gazety, jakie wychodziły, i przeglądała je w poszukiwaniu wzmianki o Herr Matheusie Schmugglerze i młodej kobiecie, która sprzedawała mu kradzioną biżuterię. Nic na ten temat nie znalazła, ale Mauren powiedziała, że być może na tym właśnie polega podstęp policji. Maria kupiła też przewodnik po Ameryce. Nie mając nic innego do roboty, czytała po kolei opis każdego stanu. Przy tej lekturze miała wrażenie, że przerzuca katalog reklamowy, w którym odpowiada jej każdy artykuł. Długo wahała się, czy nie urządzić się w Nowym Orleanie ze względu na muzykę i ogromną, czerwoną fasolę, gdyż podczas stosowania herbacianej diety kiszki zaczynały grać marsza, albo w Colorado, gdzie któregoś wiosennego poranku wyłaniały się, wszystkie naraz, pieski ziemne, ponieważ brakowało jej także światła. Pewnego wieczoru, gdy Mauren pogasiła lampy, aby się zdawało, że pokój jest nie zamieszkany, Maria podjęła ostateczną decyzję: jedzie do stanu Maine.

— Dlaczego akurat Maine? - zapytała powątpiewającym tonem Mauren.

— Ponieważ wszystko pogasiłaś i w ciemności nie mogę poszukać innego stanu - odparła Maria.

W przeddzień mustrowania na „Titanica” Mauren zalała się łzami. Już nie chciała wsiadać na statek. Obawiała się, że rozpozna ją któraś z kobiet okradzionych w szatni „Drury Lane” — taka kobieta z łatwością może trafić się wśród pasażerów transatlantyku.

Była rozstrzęsiona. W nocy zdała sobie sprawę z ryzyka, na jakie się naraża. Postanowiła wrócić do Londynu, gdyż tam łatwiej się ukryć.

Mauren, tak jak wielu złodziei, wykazywała wyjątkowo zimną krew jedynie w momencie popełniania przestępstwa, ale potem załamywała się i przemieniała w obrzydliwego tchórza.

Zwróciła klucze od pokoju. Maria i Mauren rozstały się na trotuarze. Żegnały się krótko, prawie jak dwie nieznajome. Mauren odeszła, nie odwracając się. Nawet nie skinęła ręką.

— Szłam High Street aż do oberży „Pod Czerwonym Lwem". Tam skręciłam w lewo i znowu znalazłam się na Lower Canal Walk. Dość łatwo trafiłam do domku oficera. Nie było go, ale jego matka poznała mnie i zaprosiła do środka. Zapytałam ją, czy uważa, że mam jakieś szanse na otrzymanie miejsca Mauren na „Titanicu". Powiedziała, że tak, prawdopodobnie tak. Gdyby chodziło o zastąpienie oficera - na przykład jej syna - armator oczywiście odmówi, ale tu chodzi tylko o pokojówkę. Matka oficera była dużo niższa ode mnie. No, może nie karlica, ale prawie. A jednak miałam wrażenie że spogląda na mnie z góry. Dochodziło wpół do ósmej. Poprosiła mnie, żebym jej pomogła przygotować śniadanie. Obsługiwałam ją. Niczym mnie nie poczęstowała, a ja przecież byłam głodna. To ona nauczyła mnie otwierać prawidłowo jajko w skorupce.

Na kilka godzin przed wyjściem transatlantyku w morze wrzało w biurze White Star w Southampton. Inżynier Thomas Andrews, dyrektor techniczny stoczni w Belfaście, która zbudowała statek, nieustannie domagał się ludzi i środków do załatwienia problemów wynikłych w ostatniej chwili. Chodziło o takie drobiazgi jak na przykład opróżnianie wanien. Andrews sądził, że woda spływa zbyt głośno. Drobiazg? Owszem, ale właśnie do takich detali inżynier przywiązywał taką samą wagę jak do bardziej zasadniczych problemów, jak choćby ogrzewanie kabin drugiej klasy, gdzie w niektórych panowała temperatura jak w cieplarni, a inne natomiast mogły służyć za chłodne spiżarnie. Oprócz wysłuchiwania uzasadnionych wymagań Thomasa Andrewsa, przedstawiciele armatora musieli wychodzić na spotkanie pasażerom z klasy de luxe, którzy przyjechali pociągiem London Southwestern Railway. Trzeba było zakwaterować pierwszą falę imigrantów przepychających się w poszukiwaniu miejsca do spania albo lekarza, który mógłby ich zbadać na pokładzie.

W całym tym zamęcie propozycja Marii - że wsiądzie zamiast Mauren - została uznana za korzystną, ale też wiązała się z pewnymi komplikacjami. Zastąpienie jednej młodej pokojówki przez drugą spowodowało trochę skreśleń w spisach, ale przydział służbowy, uniform, kabina i jadalnia pozostały te same.

Po wyjściu z biura Maria poszła na nabrzeże. Zobaczyła „Titanica". Był gigantyczny, ale mniej kolorowy, niż sobie wyobrażała. Wiatr porywał sadzę i

mieszał ją z drobnym, przenikliwym deszczem, który ściekał czarnymi strużkami po białych, mokrych nadbudówkach. Marynarze wycierali statek grubym płótnem, ale dobrze wiedzieli, że w końcu to łzawe błoto wszystko zapaskudzi. Tu potrzebne były wielkie fale Atlantyku

dopiero one przywrócą statkowi nieskazitelny wygląd. Chwilami „Titanic" przypominał jakiś przeogromny kocioł lub jeszcze dymiący piec ustawiony gdzieś w kącie dziedzińca fabryki, gdzie nikomu nie zawadza. Maria śmiała się sama do siebie na myśl, że zamieszka na tym kolosie i co rano będzie się zabawiać delikatnymi jajkami w skorupkach. Pomyślała, że na całym świecie nie ma rzeczy bardziej niepodobnych do siebie niż „Titanic" i jajko w skorupce.

Kilka dni później w szalupie odpływającej od burty rozdartego statku przypomniała sobie nagle, że o tym myślała.

Maria wróciła do pokoju, w którym obie siedziały zamknięte prawie tydzień, zalewając sobie żołądki o wiele za słodką herbatą licząc na to, że unikną w ten sposób policji. Jednak gospodyni już wynajęła pokój rodzinie serbo-chorwackich emigrantów. Cały dzień szukała wolnego pokoju, ale wszędzie, gdzie się dowiadywała, natrafiała na wywieszkę: „wolnych pokoi brak".

Trochę po siódmej wieczorem zdecydowała się spróbować w hotelu Reda Spithead, też nie bardzo wierząc w powodzenie.

— Nigdy nie spotkałam mężczyzny takiego jak pan, Horty. W pana wieku, owszem, a nawet starszych, ale nigdy tak nieokrzesanych. To właśnie chcę panu powiedzieć. Na pewno domyślił się pan, że Mauren i ja nie tylko sprzedawałyśmy gofry w Dieppe. Mężczyźni nudzą się w nadmorskich kąpieliskach. Rano pływają, potem łykną ze dwa kieliszki porto na rozgrzewkę, a po południu... Jak pan myśli, co robią po południu?

Wszystkim zajmowała się Mauren: ceną za stosunek, ile czasu miał trwać, no i rzeczami ekstra, na które się zgadzałam. Faktycznie godziłam się prawie na wszystko, jeżeli mężczyzna był czysty i choć trochę przystojny. Niemal wszyscy Anglicy są postawni, dlatego wysyłałam Mauren, żeby łapała dla mnie mężczyzn, bo ona przyprowadzała mi przeważnie Anglików.

Gdy zobaczyłam, jak pan schodzi ze schodów, powiedziałam sobie, iż zgodzi się pan, ale pod warunkiem, żeby pokój dzielić razem ze mną i żeby się ze mną kochać... Dlatego zmuszałam się do kichania. To taka sztuczka. Wypróbo-

wałam ją już w Dieppe, gdy Mauren przyprowadzała mi Anglika, a ja nie miałam ochoty go całować. Klient myślał, że to katar i odwracał twarz albo wtulał ją w poduszkę, no i zostawiał moje usta w spokoju.

Dlaczego pan mnie nie macał, gdy weszliśmy na górę oglądać pokój? Patrzałam, jak pan chodzi tam i z powrotem wymachując zamaszyście ogromnymi ramionami i grubymi łapskami. Robił pan gesty, które do niczego nie prowadziły. I mówił pan o surducie. Pan i surdut, o Boże! Znowu zaczęłam kichać, żeby nie parsknąć śmiechem! Czy wykorzysta pan to w swojej historii? Czy opowie pan, jak zdejmuje surdut i wskakuje na mnie? Każdy tak zrobiłby, Horty. Nie mówiliśmy o tym tam na górze, ale mam wrażenie, że taka była niepisana umowa. Jednak zamiast tego pan mruknął, że nie ma najmniejszej ochoty założyć surduta.

Myślałam, że pan woli kochać się w nocy. To mi nawet odpowiadało, gdyż umierałam z głodu. Jakże się nazywa ta przeklęta garkuchnia, do której trafiliśmy? Ach, tak, „Calcutta". W tej knajpie umalowałam wargi. Mężczyźni lubią czerwone wargi, ale pan nie. Dobrze, starłam makijaż. Horty, czy taka uległość nie wystarczyła, żeby pan zrozumiał?

Gdy mi pan zawiązał oczy, a potem skrępował ręce, pomyślałam, że wreszcie zacznie się pan zabawiać. Pan jednak był poważny. Znałam tylko jednego mężczyznę tak poważnego jak pan: mojego ojca, dlatego usnęłam prawie natychmiast. Znowu stałam się całkiem mała. Gdy czegoś się bałam, jakiegoś głupstwa, pająka albo cienia gałęzi, ojciec brał mnie wtedy w ramiona i kładł do łóżka obok siebie. Przypuszczam, że każdy inny ojciec z pewnością wyśmiałby moje przywidzenia, ale mój - nie, nigdy. Pan też nie.

W chwili, gdy zamknęłam oczy i zapadałam w sen, musiałam do pana czuć coś bardzo mocnego. Możliwe, że pana kochałam. No, powiedzmy prawie.

Patrzał pan na mnie, jak spałam? Bo ja tak. Następnego dnia wcześnie rano przyglądałam się panu bardzo długo, ale już nie myślałam o moim ojcu. Już nie był pan poważny i serio. A przede wszystkim przestałam się bać. Dobrze spałam. Chciałam, żeby czas płynął szybciej i żeby już wreszcie być na pokładzie. Pragnęłam, aby statek odpłynął i zaczęło się coś zupełnie innego.

Jednak wtedy, gdy przyniosłam panu tacę ze śniadaniem, wtedy jeszcze byłam gotowa kochać się z panem, gdyby mnie pan

to poprosił. Wiem, nie mieliśmy dużo czasu, ale jestem pewna, że pan robi to raczej szybko. Ja też jestem szybka - to przyzwyczajenie z Dieppe. Zdaje mi się, że skierowałam pana wtedy na właściwą drogę. Powiedziałam, że może mnie pan ukarać. Czy to nie było odpowiednie słowo, żeby trochę podniecić mężczyznę, który zawiązał mi oczy i skrępował ręce? Ale pan, Horty, pan nie jest perwersyjny. Faktycznie to nie wiem, jaki pan jest ani kim pan jest.

Praca na „Titanicu" nie była specjalnie męcząca. Miałam czas myśleć o panu. Nawet w czasie katastrofy w pewnej chwili, gdy wydawało mi się, że nie wyjdę z tego, i gdy biegłam

z rozpędu uderzyłam w zamknięte drzwi, a w korzytarzu było już dużo wody, wtedy pomyślałam o panu: co on by zrobił dla mnie, gdyby tu był?

Potem miałam oczywiście inne zmartwienia. Zapomniałam o panu. Jednak gdy spotykałam ogromnego i trochę zgarbionego, silnego mężczyznę z olbrzymimi, zniszczonymi rękami, wtedy przypominałam sobie o panu. W niektórych dzielnicach Nowego Jorku, zwłaszcza blisko morza i rzeki, jest wielu takich mężczyzn, większość z nich to Czarni. Ale czy to coś zmienia? Tak, myślałam trochę o panu, tylko już nie mogłam przypomnieć sobie pańskiego nazwiska.

Pierwszy miesiąc w Ameryce był raczej ciężki. Spałam w pustym baraku przeznaczonym do rozbiórki, stojącym na rozległym, pochylonym terenie powyżej East River. Pewien dorożkarz kursujący wokół Central Park i odwożący ludzi wychodzących z teatrów na Broadwayu przyprowadzał konia na ten rozległy teren i zostawiał go na noc, żeby się pasł. Tego lata trawa była wyjątkowo sucha, a koń był stary i prawdopodobnie to mu wystarczało. Namówiłam dorożkarza, żeby zabrał mnie ze sobą na Broadway. Chciałam tak jak Mauren ukraść trochę biżuterii roześmianym kobietom wychodzącym z teatrów. To jednak nie takie proste. Udało mi się ściągnąć zaledwie kilka kolczyków. Ale jak je sprzedać, skoro zawsze były nie do pary? Dałam sobie z tym spokój. Poza tym stary koń zdechł i dorożkarz przestał przyjeżdżać na mój rozległy teren.

Dla mnie wszystko to nie była jeszcze Ameryka. Postanowiłam, że w Ameryce będę dopiero wtedy, gdy przyjadę do stanu Maine. Ale tak jak mi się powodziło, nie dałabym rady w Maine. Tam potrzeba pieniędzy. Zarabiałam, jak mo-

głam, to znaczy tak, jak umiałam. Niestety, Mauren nie było ze mną, więc nie załatwiała wszystkiego wcześniej. Sama musiałam to robić.

Szukałam klientów w hallach hotelowych. Nie mogłam przyprowadzić mężczyzny na mój rozległy teren, gdy tymczasem w tych wielkich hotelach było tyle pokoi i wszystkie z łazienkami. W jednym z hoteli spotkałam Kamilę. Zapamiętała mnie z „Titanica". Zaprosiła na kolację. Mężczyzna, z którym podróżowała, zdaje się Duncan, utonął podczas katastrofy. Teraz żyła z Cheapmanem. On też był na „Titanicu", tylko miał szczęście i się uratował. Katastrofa rozdzieliła setki par, ale

połączyła nowe, często dziwne. Dzieci czasami bawią się w wycinanki polegające na dopasowywaniu tułowia krokodyla do szyi żyrafy. Horty, to jest coś podobnego do potopu - dzięki niemu Bóg mógł rozpocząć na nowo nieudany świat.

Cheapman miał poślubić Kamilę jeszcze przed jesienią. Chciało mi się śmiać. Zapytała, dlaczego mnie to śmieszy. Odpowiedziałam, że Cheapman to dziwkarz. A ona na to, że co ja sobie wyobrażam i że kim ja jestem? A ona? Jak mi się wydaje, kim ona jest?

★

Cheapman dołączył do obu kobiet przy deserze. Był zabawny, ale niewulgamy. Do Marii odnosił się wyjątkowo uprzejmie, a nawet podarował jej różę. Może w ten sposób chciał zatrzeć swoje pożałowania godne zachowanie w hotelu Reda Spithead?

Maria opowiedziała o swojej żałosnej siedzibie nad East River. Cheapman nalegał, żeby zamieszkała w apartamencie hotelowym, który zajmował z Kamilą. Zaproponował, żeby została u nich pokojówką, ponieważ to było jej zajęcie na „Titanicu" - pokojówki hotelowe w ogóle go nie zadowalały.

Tak oto Maria Derlanges pojawiła się w życiu Francka W. Cheapmana i kobiety w zieleni, która wkrótce została panią Cheapman - Mrs Kamilą Cheapman. Wzięli ślub we wrześniu w małym kościółku Świętego Marka w Bouwerie.

Mister Cheapman uważał, że tak jak jeździec wysadzony z siodła musi natychmiast wskoczyć ponownie na wierzchowca. Uratowani z katastrofy morskiej

muszą więc wykazywać upór. Zarezerwował dwie kabiny na pokładzie statku płynącego do Liverpoolu i wyruszył w podróż poślubną do Europy z żoną

pokojówką. Rejs przebiegał bez porównania przyjemniej. Oficer odpowiedzialny za pasażerów dowiedział się, że państwo Cheapman i Maria przeżyli katastrofę „Titanica", więc wychodził ze skóry, by zatrzeć niedobre wrażenie tamtego rejsu.

W październikowym świetle Anglia była lekko rudawa. Wszędzie widać było jeźdźców skaczących przez przeszkody

lisy umykające przed psami. Koło Chipping Cambden w Cots- wolds Cheapman kupił dla Kamili malutki domek z jasnego kamienia. Kobieta w zieleni z pewnością nie będzie miała wielu okazji, żeby w nim gościć, ale sam gest Cheapmana wydał się Marii szeroki i godny zakochanego.

Maria pragnęła dowiedzieć się czegoś o Mauren, lecz oczywiście gazety już o niej nie wspominały, jeśli w ogóle kiedykolwiek coś pisały. Nie śmiała zwrócić się do władz. Kto wie, czy nie mieli jej pamięciowego portretu narysowanego według wskazówek Matheusa Schmugglera, wciąż jeszcze przykutego do ściany w komisariacie? Zmieniła nazwisko, ale pozostała jej anielska twarz. Takie twarze widuje się na niektórych świętych obrazach, z tym że ona była aniołem radośnie pogańskim, z łakomymi, zawsze półotwartymi ustami, w których lśniły małe, białe, ostre ząbki, trochę pochylone jak u kota.

Poczuła ulgę, gdy Kamila oznajmiła, że już dość napatrzyli się Anglii. Zachodni wiatr gnał chmury znad Irlandii. Jesień pukała do Cotswolds - padało teraz z nużącą regularnością. Myślała o wyjeździe do Francji, gdzie powinno być jeszcze trochę ładnej pogody.

— Przejeżdżaliśmy przez Boulogne, gdzie Kamila od razu zauważyła wasze afisze. Uprosiła Cheapmana, żeby nas zabrał na spektakl, „Posłuchać, jak o „Titanicu" opowiada ktoś, kto na nim nie był. Ależ to paradne! A do tego wyobraźcie sobie, że ja znam tego człowieka. Wydawało mi się, że to doker albo jakiś zarządca. Nie wiedziałam, że jest klownem, a raczej kimś w rodzaju klowna na opak, bo opowiada smutne historie".

Gdy zjawił się pan na scenie z tym wielkim zdjęciem, Cheapman i jego żona spojrzeli na mnie, ale nic nie powiedzieli. Zaczął pan opowiadać o naszej nocy, o naszej miłości w Sout- hampton. Słuchałam pana z zapartym tchem. Zapomnia-

łam, że w tej historii chodzi o pana i o mnie. Bo też prawdą jest, że nie chodziło o pana i o mnie.

Kim jest ten mężczyzna na tyle zuchwały, że śmie twierdzić, iż przez niego wyłam z rozkoszy? Kim jest ta czarno-biała dziewczyna, nieśmiała i dzika zarazem? Przeniknął i opisywał jej intymność, jej najbardziej sekretne zapachy!

Nie wiem, czy byłabym zdolna do pieszczot, o których pan opowiada. Nie jestem szczególnie wstydliwa. Myślę, że pan to zrozumiał, ale nigdy nie miałam okazji spotkać mężczyzny, który poświęciłby mi całą noc i przez całą noc tak namiętnie mnie pieścił. Zawsze starałam się szybko zadowolić moich kochanków, zawsze się śpieszących. W takich warunkach odkłada się wyobraźnię na nocny stolik obok złotego zegarka tego pana.

A co do tej historii, Horty, to ja pana wcale nie chcę. Dość trudno woybrazić sobie miłość dziewczyny takiej jak ja do mężczyzny takiego jak pan. Przyznaję, wzrusza mnie to, że uważa mnie pan za zdolną do takiej młości. Mauren myślała, że my jesteśmy pozbawione na zawsze tego rodzaju uczuć. Faktem jest, że prawdziwe pożądanie odczuwałam tylko do niej. Zresztą ona wcale nie była bardzo ładna ani szczególnie słodka. Czasami okazywała się gwałtowna i prawie zawsze była nadąsana. Wtedy siedziała w kącie, patrzała na przechodniów i mamrotała niewybredne słowa na ich temat.

Jeśli ją złapali i postawili przed sądem, jestem pewna, że zdrowo oberwie. Nie potrafiła nikogo wzruszyć, z wyjątkiem mnie. Mogę się założyć, że na proces włożyła tę straszną brunatną sukienkę, która w ogóle do niej nie pasowała, bo wyglądała w niej jak stara, chora mniszka. Gdy miałam sześć, a może siedem lat, wpadłam w bagno i ojciec mnie wyciągnął. Oblazły mnie robaki. Wszyscy uważali, że te robale są obrzydliwe. Pfuj! Jak pełzały po jasnej skórze. Ja natomiast gapiłam się na nie zafascynowana. Kiedy spotkałam Mauren, która tego dnia nosiła tę sławetną brunatną sukienkę, przypomniałam sobie tamto robactwo. Miałam ochotę poczuć jej ręce na sobie.

Urwał pan w pół zdania, ale jakie to ma znaczenie. W zmyślonej historii można robić, co się komu żywnie podoba. Podczas trzech nocy na „Titanicu” czytałam powieści nie mające zakończenia i takie, w których zakończenie było od razu na początku. Jedne i drugie sprawiały, że zapominałam o kołysaniu statku, o coraz bardziej przenikliwym zimnie. I o to przecież chodziło. Tylko tego oczekiwałam od romansideł.

Gdy tłum wychodził z teatru, Franek Cheapman przykleił się do mnie w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości, co miał na myśli. Był spocony jak wszyscy tego wieczoru. Jego przesiąknięta koszula zmoczyła mi gors, tak się przyciskał. Wyszeptał: „Pani nie nazywa się naprawdę Derlanges? Czy on to z panią robił naprawdę, a pani z nim? Gdyby nie ta jego zbolała mina w czasie opowiadania... bardziej odpychająca niż co innego. No proszę, moja droga, a wygląda pani na takie grzeczne dziecko...” Śmiał się. Cheapmanowie odeszli i więcej się mną nie zajmowali. Uważali, że stracili pokojówkę, bo myśleli, że pobiegnę za panem.

Po co miałabym biec? Szłam wśród tych wszystkich ludzi poruszonych pana historią, a oni nawet nie oglądali się za mną.

Nikt mnie nie rozpoznał. Był pan aż tak przekonujący! Dziękuję panu za to Horty. Pokojówka z „Titanica” umarła na zawsze. Każdego wieczoru topił ją pan jeszcze bardziej. Lepiej zadbał pan o zniknięcie Marii Diotret niż ja sama, zmieniając nazwisko.

Zamilkła na chwilę. Chwyciwszy długi kosmyk blond włosów, dotknęła nim ust i muskała koniuszkiem języka. Znowu miała chrapliwy głos jak przed zamkniętymi drzwiami hotelu w Southampton. Horty nie lubił tego głosu. Nagle powiedziała:

— Jest jeszcze sprawa pieniędzy. Pan nieźle na tym zarobił. Ja nie mam nic. A więc pan mi da. Będę miała za co wrócić do Ameryki. Ale nie w bagażach Cheapmana. Tym razem muszę dotrzeć do Maine, a oni nigdy tam nie trafią. Potrzebują wielkich miast z wielkimi pałacami pełnymi karciarzy. Ludzie z Maine mają co innego do roboty niż tracenie dolarów na pokera. Prawie cały dzień są pod gołym niebem na łodziach albo na koniach. Widział pan, jak ja teraz dobrze jeżdżę? Zaczęłam w Anglii. Tutaj w mieście jeżdżę jak amazonka ze względu na toalety, ale w Maine będzie mi wszystko jedno, czy zniszczę suknie. Będę jeździła po męsku i wszyscy będą mnie szanowali. Ja też będę się szanowała.

Nauczę się pływać. W Maine nad morzem jest wiele pustych plaż, nie licząc tych wszystkich jezior, gdzie wokół nie ma ani żywej duszy. Będę się kąpała nago. Szkoda czasu na szczotkowanie włosów rano i wieczorem. A zimą, jak ściśnie mróz

trzeba dowozić drewno... No, niech pan zgadnie, jak wyglądają wtedy ręce i paznokcie! Nie szkodzi, a nawet tym lepiej. Nie liczę, że wyjdę za mąż, bo jestem ładna. Jeśli zechce mnie niezbyt piękny mężczyzna, nie będę robiła trudności. Maine powinien być na tyle wspaniały sam w sobie, żeby reszta nie miała żadnego znaczenia.

Horty, ile może mi pan dać? Muszę mieć jak najwięcej. Za trzy dni transatlantyk kompanii Norddeutscher z Bremy zawija do Hawru po emigrantów. Chcę nim popłynąć, dlatego jak najszybciej potrzebuję na bilet na ten niemiecki statek i na konia, którego kupię po przyjeździe do Maine.

Jeśli mi pan nie da pieniędzy, wyśpiewam gazetom całą aferę.

Powiem, że pan kłamał. Dowiedzą się, iż spałam obok pana, ale zupełnie ubrana. Zresztą nigdy nie zgodziłabym się, żeby mnie pan dotknął, ponieważ jest pan tylko starym, brudnym i prostym człowiekiem. Mój Boże, Horty, to przecież prawda. Wystarczy na pana spojrzeć, gdy nie upiększają pana światła teatralnych reflektorów. Ludzie będą na pana wściekli, a zwłaszcza ci, którzy omal się nie popłakali słuchając tego, co pan zmyśla. Nigdy nie wolno nikogo rozczarować po tym, jak się go wcześniej wzruszyło. Ja to panu mówię, dziewczyna lekkich obyczajów. Nawet gdy się wstaje z łóżka i widzi się mężczyznę niezgrabnie podskakującego na jednej nodze, a drugą nogą usiłującego trafić w nogawkę spodni, nawet wtedy nie trzeba się śmiać, lecz trzeba dalej grać rolę zakochanej aż do chwili, gdy zamknie za sobą drzwi nie tylko od pokoju, lecz i od ulicy. Dopóki bowiem mężczyzna nie odejdzie ulicą, dopóty pozostaje klientem, bo może jeszcze wrócić, upokorzyć i skrzywdzić.

Horty, niech mi pan da pieniądze za naszą historię.

Nie, ja nie jestem złodziejką, w każdym razie nie zawsze nią bywam. Mam coś w zamian dla pana.

Franek i Kamila Cheapmanowie wynajęli w Górnym Mieście willę z widokiem na morze. Jeszcze tej nocy w tej właśnie willi Maria ożywi Horty'emu wszystko to, czego nie było w pokoju 28 hotelu Reda Spithead.

Widziała pięć, a może sześć spektakli Horty'ego w „Le Grand Théâtre". Znała na pamięć słowa, które miała wypowiedzieć, wspaniałe i niezwykłe pieszczoty, jakimi powinna go obdarzyć, żeby pozostać w zgodzie słowo w słowo z

wymyśloną przez niego historią. Nie pomyli się. Nigdy żaden mężczyzna nie zapłacił tak drogo za miłość, ale też nigdy Maria nie czuła się tak osamotniona.

— Przypuszczam, że każda dziewczyna na moim miejscu znienawidziłaby pana za to, co pan zrobił, i za to, w jakim świetle mnie pan przedstawił... Myślę, że sądy mają kompetencje do rozpatrywania tego rodzaju spraw. Cheapman radził, żeby tak zrobić: „Dziewczyno, weź adwokata i oskarż Horty'ego. Wyciągnij z niego ile się da, bo zdany jest na twoją łaskę. Masz tysiące świadków". Ja nie mam czasu, a poza tym mogłoby to być dla mnie niebezpieczne. Wahałam się. Karać potrafią nie tylko sądy. Pierwszego wieczoru na placu przed teatrem omal nie zsiadłam z konia i nie podeszłam do pana. Miałam ochotę trzasnąć szpicrutą i splunąć.

Ale żeby uderzyć i upokorzyć, trzeba pogardzać. Horty, ja próbuję, ale nie umiem panem pogardzać ze względu na sposób, w jaki pan opowiada tę historię. Pan tak patrzy na moje zdjęcie. Pan tak pieści dłonią moją nieruchomą figurę przyklejoną do deski, jakby pan mnie naprawdę kochał.

Milczał. Spuścił głowę. Gdy usłyszał, że zdawało jej się, iż on ją naprawdę kocha, uniósł twarz i ośmielił się spojrzeć jej w oczy, ponieważ to była prawda. Zaśmiała się zmieszana:

— Nie wiem, czy jakiś mężczyzna tam, w Maine, zdoła mnie tak pokochać. Przepraszam, powiedziałam, że nie jest pan piękny. Bo to prawda, nie jest pan. Ale mnie jest wszystko jedno. Dam panu miłość, chociaż pana nie kocham. Niech pan nie żąda rzeczy niemożliwej, a będzie właśnie tak. Proszę przyjść do willi. Być może to ja będę z tego miała więcej przyjemności. Horty jestem podłą dziewczyną, bo zawsze wykorzystuję klientów.

A jednak tkwiła w niej wciąż jeszcze ta sama dziecięca naiwność, która ciągnęła ją do stanu Maine, tamtejszych malowniczych łodzi, słowików, koni i do niezbyt uważnych narzeczonych. Z tą naiwnością powiedziała:

— Horty, pieniądze da mi pan dopiero jutro, bo mam do pana zaufanie. Niech pan będzie w willi za godzinę, a ja w tym czasie przygotuję się i będę podobna do Marii w Southampton.

Horty został sam. Myślał o tym, co przed chwilą usłyszał. Zapalił lampę, ale zgasił ją podmuch zamykanych drzwi, a może podmuch wywołany ruchem wielkiego płaszcza do jazdy konnej. Maria gwałtownie zarzuciła go na ramiona wy-

chodząc z garderoby na korytarz. Poustawiał równo małe pudełeczka szminek. Maria, opowiadając, otwierała je po kolei i wkładała w nie palce, a potem mazała po lustrze. Teraz ślady na zwierciadle wyglądały jak zaschła krew. Podniósł z podłogi sztuczne wąsy. Bawiła się także nimi, przykładając do brwi, aby wyglądać kosmato. „Teraz jestem podobna do pana, Horty" - powiedziała ze śmiechem. Taka już była. Często śmiała się, mimo że mówiła o sprawach poważnych. Ona jest jeszcze taka młoda - pomyślał. Zauważył, że zgubiła jedną rękawiczkę. Próbował ją wciągnąć na rękę, ale rękawiczka była o wiele za wąska na jego zdeformowaną dłoń. Od wewnętrznej strony zobaczył wszytą amerykańską metkę. Przycisnął rękawiczkę do twarzy i powąchał. Pachniała koniem. Może to jest dominujący zapach w Ameryce?

No tak, wszystko poustawiane jak przedtem. Teraz mógł stąd odejść, na zawsze opuścić garderobę i teatr.

Było mu obojętne, czy Maria dopomagała w kradzieży, czy sama była złodziejką, czy prostytutką. Wszyscy ludzie mają trochę podobne charaktery. On też był taki. Przez pięćdziesiąt dwa lata musiał okraść wielu ludzi. Nie, naturalnie że nie z biżuterii. On kradł chwile radości. Za każdym razem, gdy mówił Zoe: nie, nie kupuj tego czy owego i nie idź tu czy tam — okradał ją z radości. Zoe też umiała mówić: nie. Ona okradała go w ten sam sposób. Obydwoje natomiast, jako para, zachowywali się jak złodzieje radości wobec tych wszystkich, którzy prosili ich o jakąś przysługę, o odrobinę ich czasu, o to, by przyszli dzielić radość albo zmartwienie.

Słowo: niewinność słyszy się wszędzie. Jawi się wszędzie, ale nie oznacza ono nic realnego, lecz chyba tylko piękne marzenie, na które pozwalają sobie ludzie w nadziei, że może spełni się któregoś dnia. Podobnie wierzymy, że wśród gwiazd istnieją inne żywe istoty, wyżej rozwinięte niż my i sprawiedliwsze, które przybędą na pokładzie gigantycznego pojazdu i wytłumaczą nam to, czego nie rozumiemy. Tak więc, jeśli nie ma niewinnych, to i nie ma winnych. Jest tylko rojowisko mniej lub bardziej niebezpiecznych indywiduów. W tym rojowisku jedni drugim w różny sposób zadają cierpienia. Jedyną prawdziwą walutą wymienną ludzi w odróżnieniu od pieniędzy jest cierpienie. Pod tym względem wszyscy są bogaci. A żyć znaczy po prostu kontrolować się w każdym momencie, czy cierpienia, jakie zadajemy lub jakich doznajemy, są do wytrzymania, czy też nie. I prawdę mówiąc, nikt nic na ten temat nie wie.

Horty zawsze tak myślał. Nikogo nie oskarżał i nikogo nie rozgrzeszał. Obserwował ludzi swojej ulicy, swojej warstwy, swoich czasów jak człowiek oparty łokciami o balustradę mostu

spoglądający na wartką rzekę zdążającą od źródeł do ujścia. Przymknął oczy i milczał. Tego wieczoru czuł się silny i szczęśliwy, ponieważ nie musiał osądzać Marii.

Wyszedł z teatru. Na ulicy sztormowy wiatr zatykał dech w piersi.

TLR

TO BYŁ zimny sztorm. Odsłonił gwiazdy, zamiast je zakryć. Po niebie pędził wiatr bez chmur. Wył nieustannym szumem w alejach skierowanych w stronę oceanu. Księżyc w pełni lśnił białawym blaskiem, a szarawe cienie na jasnej tarczy świadczyły

prawdzie martwego kamienia.

Reda była wzburzona. Z czarnego, rozkołysanego otwartego morza wystrzeliwały bryzgi. Krótkie grzywy załamywały się z suchym trzaskiem jak odgłos walących się ściętych drzew. Zwykle wiatr porywał pianę, ale tej nocy grzebienie fal zapadały się razem z nimi. Wydawało się, że powietrze umykało poziomo

zgromadziło się w przestrzeni między morzem a niebem. Horty miał wrażenie, że zaraz się udusi.

Na statkach bulaje kabin palaczy, mieszczące się tuż nad linią wodną, zwykle ciemne o tej porze, teraz jarzyły się światłami. Ludzie wstawali i ubierali się w pośpiechu, zaniepokojeni rozkołysem sięgającym aż w głąb portu i obijającym statki

o nabrzeża, do których cumowały. Gwizdki bosmańskie wzywały do zakładania podwójnych cum. Jakiś kabotażowiec zerwał łańcuch kotwiczny i dryfował z wiatrem. Na innych statkach oficerowie uczepieni relingów dawali mu wściekle znaki, żeby się oddalił. Mały statek najwidoczniej nie mógł uruchomić maszyny i manewrować. Poprzestał jedynie na włączeniu syreny. Brakowało mu ciśnienia pary, więc syrena wydała ostatni chrapliwy gwizd i zamilkła. Światła kabotażowca ciemniały powoli, aż zgasły. Nic się nie dało zrobić. Strzępy sinej piany chlupały dookoła, gdy fale uderzały o statek. Na pokładzie dwunastu przerażonych ludzi wzywało pomocy.

Nie padało, a Horty i tak przemókł, nim uszedł sto metrów. Nadstawił plecy w kierunku wiatru jak żagiel i regulował wysiłek w zależności od podmuchów, pozwalając się popychać.

Był jedynym przechodniem w mieście.

Czerwone latarnie na ulicy Solidor zostały pogaszone. W taką pogodę nawet w burdelach nie spodziewano się już nikogo. Dziewczęta skorzystały z tej gratki - taki huragan! - i położyły się wcześniej. Jednak na poddaszu spoza pozamykanych okiennic sączyło się jeszcze światło. Dziewczyny leżały na brzuchach po dwie lub trzy w jednym łóżku: podwijając długie poły tiulowych peniuarów, czytały lub malował brwi i rzęsy sadzą.

Zeppe zainstalował się w pensjonacie „Pod Dwoma Konikami Morskimi". Był to jedyny budynek na ulicy nie afiszujący się jako hotel na godziny. A jeśli nawet był nim, wszystko odbywało się na tyle dyskretnie, że można było spać. Nie mąciły spokoju ani kawalkady bosych stóp, ani stłumione śmiechy, ani odgłos napełnianych nocników.

Kaszel męczył go tak bardzo, że zaczynał podejrzewać, czy kiedykolwiek zniesie długą drogę do Wenecji. Przespane minuty liczył tak skrzętnie, jakby zarządzał swoją niewielką fortuną.

Gdy Horty wszedł do pokoju, Zeppe akurat podgrzewał wodę na napar z maku i czarnego bzu.

— Źle się czuję Horty, całkiem źle. Zdaje się, że będzie lepiej, jeśli pójdzie pan wezwać lekarza.

— Jest sztorm Zeppe. Dziś w nocy żaden lekarz nie wyjdzie z domu z powodu napadu kaszlu.

— Ja nie tylko kaszlę, lecz mam duszności. Zawsze bałem się umrzeć w podróży, całkiem sam w hotelu, a czuję, że właśnie to mnie czeka.

Horty spojrzał na niego z litością. Zeppe jeszcze o tym nie wiedział, że widzą się ostatni raz. I oto podczas, tego ostatniego spotkania Horty powie i zrobi coś takiego, że Zeppe nie zachowa o nim dobrych wspomnień. Szkoda, bo ostatecznie nie zachowywał się wcale tak źle. Zawsze pilnował, żeby Horty'emu nie zabrakło wina. Tej nocy Horty nie odczuwał już potrzeby upicia się.

— Niech mi pan da pieniądze - powiedział Horty.

Zeppe drgnął i przycisnął do wychudłego ciała poły za krótkiej koszuli:

— Jakie pieniądze?

— Te, które pan ma. Wszystko, co panu zostało.

— To nie jest zabawne - stwierdził Zeppe.

Zdążył już nakryć głowę wielkim ręcznikiem, żeby nie uciekała para z naparu do inhalacji. Kruszył aromatyczne liście do miski z wrzątkiem. Dokerowi przyszło do głowy, że Zeppe wygląda jak stara baba i zrobiło mu się przykro.

— Przykro mi - odpowiedział Horty - ale potrzebuję wszystkich pieniędzy na bilet do Ameryki i na konia zdolnego dogalopować do Maine. A to trochę kosztuje.

Horty mówił tak bardzo bez sensu, że Zeppe zrozumiał, iż nie żartuje. Z przesadną uwagą obserwował okruchy ziół opadające na dno miski. Nie śmiał spojrzeć prosto w twarz Horty'emu, bo obawiał się jego wzroku.

— To dla Marii - wyjaśnił łagodnie.

Wtedy Zeppe krzyknął:

— Maria nie żyje! Jeśli jest jakiś duch, to Zoe nim manipuluje! A Zoe ma wszystkie pieniądze, których pan sobie odmawiał. Chce pan wiedzieć ile?! Policzyłem! Wszystko uczciwie załatwiłem! Co pan sobie wyobraża?!

— Zeppe - błagał Horty - niech pan się pośpieszy. Niech pan daje wszystkie pieniądze, jakie pan tu ma. Nie wiem, ile czasu zajmie mi droga do willi. Ona tam na mnie czeka. Zdaje się, że to daleko stąd, a w dodatku jest sztorm. Obiecała, że będziemy razem, aż zawyją syreny o wpół do szóstej, ale nie dłużej. Musi uciec, zanim Cheapmanowie wrócą z partii kart. Zwykle gra przeciąga się do świtu. Czas, który teraz przez pana tracę, jest stracony na zawsze.

Zeppe usiadł na rozmamłanym łóżku. Chwycił dłońmi głowę

tak zastygł pod ręcznikiem śmiesznie opadającym mu na oczy. Dygotał z gorączki, ze strachu, ze świadomości swego tchórzostwa. Co miał zrobić? Człowiek, który dał się wyrzucić woltyżerkom, nie mógł nagle zacisnąć pięści i wyprostować się, by stawić czoło komuś wyglądającemu tak strasznie jak doker.

— Pieniądze - powtórzył Horty. - Wstąpię do lekarza. Poproszę, żeby przyszedł pana zbadać.

— Mówił pan, że nie zechce - szepnął Zeppe spomiędzy dłoni przyłożonych do twarzy.

— Powiem, że Giuseppe Brassatto, znany organizator widowisk, wymiotuje krwią. To coś więcej niż kaszel.

— Zamilcz, człowieku - wybełkotał Zeppe. Zaplótł palce, jakby zaklinając nieszczęście.

Rzeczywiście obawiał się, że zacznie pluć krwią. Śledził plwociny z jeszcze większą uwagą, niż liczył i przeliczał banknoty. A to robił niestrudzenie! Czy ktoś mógłby zrozumieć — myślał Zeppe - rozpaczliwe położenie, w jakim się znalazł tak daleko od Wenecji? Wzruszyło go, że Horty mimo wszystko chce go przedstawić jako „znanego organizatora widowisk". Znakomity nagłówek na wizytówkę. Gdy wreszcie znajdzie się w domu, każe je wydrukować na brystolu z takim nagłówkiem z lewej strony u góry lub zamiast „znany" wstawi „international". Od czasów Marco Polo jego współobywatele dobrze widzieli tych, którzy opuszczali Wenecję jako nędzarze, a powracali do miasta opromienieni zagranicznymi sukcesami.

W końcu powiedział, że pieniądze są w kopercie pod nogą szafy, pod pstrokatym chodnikiem położonym zamiast dywanu.

Horty gorączkowo rozerwał kopertę i liczył banknoty. Było ich z pięćdziesiąt. Czy wystarczy na statek „Norddeutscher"

konia zdolnego donieść Marię z Nowego Jorku do stanu Maine?

Jeśli to nie wystarczy, weźmie resztę od Zoe. Maria powiedziała, że może poczekać do następnego dnia, ale tej nocy nie chciał przyjść z pustymi rękami. Ona upiększa się, a on przez ten czas uczyni ją bogatą i wolną. W takiej wymianie jest coś sprawiedliwego, prawie harmonia. Podobała mu się taka wymiana.

— Adieu, Zeppe. Wielka fotografia została na scenie. Niech pan o niej nie zapomni. Nie zabierze jej pan do Wenecji, dlatego lepiej ją spalić. Tylko niech jej pan nie zostawia w teatrze. Skończy się na tym, że ktoś dorysuje jej wąsy albo i co innego.

Nie powiedział tego na głos, ale przypomniał sobie, co Sciarfoni robił przed pierwszym portretem Marii. Powiększenie mimo że trochę nieostre mogło zwabić któregoś z tych tajemniczych mężczyzn, w większości byłych marynarzy, zatrudnionych za kulisami teatru do manipulowania kablami podnoszącymi i opuszczającymi malowane płótno dekoracji.

— Profanacja. Tak, tak - zakasłał Zeppe i znowu zanurzył twarz w dłoniach.

Mówiąc to, być może nie miał na myśli fotografii do spalenia, lecz wielkie palce Horty'ego nieustannie przerzucające banknoty. Pomimo wspólnie spędzonych miesięcy, mężczyźni nie zżyli się ze sobą, a w dodatku rozstawali się w niezgodzie.

Już na trotuarze Horty spojrzał do góry na fasadę pensjonatu „Pod Dwoma Konikami Morskimi". Na tle firanki rysował się profil Zeppego. Włoch wkładał czerwony uniform. Prawdopodobnie chciał w nim wystąpić przed lekarzem, który walcząc z wichurą przyjdzie uśmierzyć kaszel, o ile Horty nie zapomni wstąpić do doktora i zastukać do jego drzwi. Zdaje się, że Zeppe był przekonany, iż Horty dla niego to zrobi. Istotnie, właśnie owo zaufanie, a nie żadne inne argumenty skłoniły dokera, żeby poświęcił Zeppemu kilka minut z tej jakże ważnej nocy. Na rogu ulicy Lices obudził doktora Burela. Poczekał pod oknami, aż się ubierze. Słyszał, jak przeklinał. Widział również jego zrezygnowaną sylwetkę niknącą w ciemności.

Doker walczył z wiatrem, bo tym razem miał go przeciw sobie. Szedł ulicą Grotte-de-Fingal wiodącą do szerszych alei Górnego Miasta.

Spojrzał na morze. Kabotażowiec, który niedawno zdryfował, w końcu osiadł na ławicy piasku nazywanej La Marguette. W czasie dobrej pogody łatwo z niej zejść, ale w taką noc jak ta wejście na mieliznę odbyło się z morderczą siłą. Statek przełamał się i gubił ładunek. Z tak daleka nie można odgadnąć, co to było. Sądząc ze sposobu, w jaki „to" pływało wysoko na powierzchni, Horty przypuszczał, że rozpoznaje worki z pszenicą, a raczej z owsem nie z pszenicą. Silny jak zawsze prąd porywał worki, a być może raczej paki przypominające worki, i niósł je w stronę „babskiego portu". Jeśli żandarmi nie będą interweniować, jutro rano po odpływie będzie co zbierać.

Zazwyczaj kobiety bez większego trudu potrafiły ciągnąć zmoczone paki po algach i mokrym piasku, natomiast wciągać je wyżej po burcie statku - o, to co

innego. Dlatego bardzo często zostawały na plaży. Siadały na łupach i gadały, czekając na pomoc mężczyzn.

A gdyby tak Horty im pomógł? Byłby to oczywisty znak, czytelny dla wszystkich w Dolnym Mieście, że pragnie powrócić do Zoe.

Zbliży się piaszczystym wybrzeżem i wyłoni przed Zoe tak, jakby wyszedł z morza. Dzień będzie już w pełni i nic nie zostanie z nocy. Noc była przecież czasem Marii. Była jej czasem, od kiedy zaczął opowiadać tę historię.

Zoe zobaczywszy go, poderwie się, a jej włosy rozwieje wiatr. Zrobi tylko kilka kroków. Horty też ją widzi. Zoe jest urocza, gdy waha się między furią i dąsami oraz gdy wydyma usta. Ona prawdopodobnie zawoła, żeby poszedł do diabła, bo tyle miesięcy dawała sobie radę bez niego. Ma dość siły, aby pozostało tak na zawsze.

Teraz z kolei wstaną inne kobiety. Otoczą Zoe i odprowadzą na bok, gdzie szeptem przemówią jej do rozsądku. Ulica La Villemarque nie lubi dramatów. Nie lubią ich nawet pobożne kobiety zgięte w łzawych uroczystościach Wielkiego. Piątku, szeleszczące w nawie u Świętego Andrzeja w Wielkanoc albo w wigilię Bożego Narodzenia.

— Wróć do niego, Zoe. Nie odpycha się mężczyzny, który przybywa z tak daleka.

— Co znaczy z daleka? Z objęć dziewczyny! Niech się do mnie nie zbliża. Ja stąd czuję, że cuchnie miłością!

— Z miłością jest tak jak ze śmiercią - jej zapach wietrzeje.

— Nie chcę, żeby mi o niej opowiadał.

— On się przymknie. Dobrze wiesz, że nie jest gadatliwy.

— Acha! Jeszcze czego! Opowiadał o tej dziewczynie całymi godzinami. Już od miesięcy tym żyje! Mam w domu w pudełku jego pieniądze, żebym o tym pamiętała.

— To skończone. Ten jego zły duch, Włoch, odjechał. Widzieli go, jak szedł na dworzec z walizką w garści. Zresztą i tak zmienili program w teatrze. Teraz grają operetkę.

— Jeżeli on tamtą przestał kochać, to czy mnie pokocha?

— Mężczyzna jest tylko do tego, żeby kochał. A ty byłaś z monsieur Simeonem z miłości?

— Nie. Ja to robiłam dla Horty'ego, żeby dostał dźwig i przestał nadwerężać krzyż. Oczywiście, że nie przeżyłam miłości z Simeonem. A teraz tego chcę. Batylda mnie rozumie.

— Będziesz to miała. Jeżeli nie przyjmiesz swojego męża, to, jak myślisz, do czego będzie zdolny dziś w nocy?

Kobiety na piaszczystym brzegu tak pokierują Zoe, że znajdzie się naprzeciw Horty'ego. A on powie jej po prostu:

— Ile worków nazbierałaś? Daj, zaniosę je do domu. Chyba napaliłaś w piecu? Trzeba będzie to wszystko wysuszyć, tak Zoe, tak moja mała.

Biegł środkiem opustoszałych uliczek, żeby uniknąć spadających dachówek i blaszanych kominów zrywanych z dachów wichurą. Włosy ociekały mu deszczem. Horty śmiał się i myślał o tym, co dobrego na pewno zdarzy się jutro rano. W dodatku on jeden może to sobie wyobrazić.

Wsunął rękę do kieszeni i sprawdził, czy ma pieniądze zabrane Zeppemu. Banknoty przemokły i już się rwały.

Potrzebował prawie dwie godziny, by dotrzeć do willi, w której czekała Maria.

Dom był dwupiętrowy z poddaszem. Wichura dęła tutaj tak samo wściekle jak w dzielnicach na dole. Jednak wydawało się, że willa, dzięki swej okazałości, zmusza wiatr do ucichnięcia, podobnie jak stanowczy głos uspokaja rozszalałego psa.

Willa stała za podwójnym żelaznym ogrodzeniem na końcu lekko zakrzywionej alei wysadzanej niskimi, mocnymi drzewami. Jej nazwę wypisano ozdobnymi czarnymi literami na płycie z białego marmuru.

Willa nazywała się Espagnole.

Nazwę swą zawdzięczała zapewne temu, że w przedsionku, u szczytu dwóch kolumn na wpół osadzonych w murze, znajdowały się rzeźby przedstawiające

głowy byków. Każdy byk trzymał w pysku pierścień z płonącą latarnią z grubymi szkłami chroniącymi płomienie. Byki tak mocno ściskały je w pyskach, że prawie nie kiwały się pod wpływem wiatru.

Dół białego muru zdobił fryz z toledańskiej mozaiki, z ożywionymi deszczem błękitnymi i żółtymi rozetami.

Między bykami, na dziewięciu stopniach drżały martwe liście. Schody prowadziły do głównego wejścia - do masywnych drzwi z ciemnego drewna.

Maria powiedziała Horty'emu, żeby wszedł do willi bez pukania. Oprócz niej nie będzie nikogo... Nie będzie jej się chciało schodzić na dół tylko po to, aby otworzyć drzwi, a może nie będzie jeszcze całkiem gotowa? A może woli, żeby stanął jak wryty na jej widok?

Horty zgadywał, jak będzie ubrana: w czarno-biały uniform czy w toaletę pożyczoną od Kamili?

Może wybierze suknię w kolorze zielonych migdałów? Jemu było wszytko jedno. On przychodził tylko po to, żeby widzieć i przyciskać Marię nagą.

Powiedziała mu, że zostawi przy wejściu lichtarz z zapaloną świecą. Rozglądał się, ale go nie znalazł. Widocznie zapomniała o tym zaprzątnięta przygotowaniami. To nie miało znaczenia, gdyż willa była rzęsiście oświetlona. Wszędzie stały świeczniki i lustra, w których odbijało się światło. Było bardzo ciepło od ognia płonącego w kominkach. Każdy pokój miał własne palenisko z zapasem wonnych polan z drzew owocowych, przyciętych dokładnie na miarę.

Horty po raz pierwszy znalazł się w domu burżuazji. Ciepło wszędzie światło - co za różnica między piękną willą Espagnole a mieszkaniami przy ulicy La Villemarque. Gdyby nawet Zoe rozpaliła do białości oba piece, nigdy nie uzyska takiego aksamitnego ciepła. Tutaj ściany, tapety, parkiety, meble, wszystko nim promieniowało. Wydzielało ciepło, a nie pochłaniało jak u niego w domu. Tam wszystko chłonęło ciepło, a ze ścian i tapet sączyła się wilgoć tak przenikliwa jak mgła spowijająca Dolne Miasto nieustannym półmrokiem.

Nie wiedział, gdzie oczekuje go Maria. Pomyślał, że ta niepewność stanowi część uroczej gry, do której ona go zaprasza.

Szedł przez pokoje wypełnione wspaniałymi przedmiotami i przerażającą ciszą.

Chwilami przystawał wzruszony urodą jakiegoś bibelotu. Nie zawsze wiedział, do czego służył. Co prawda zgadywał, że większość z nich to przyrządy nawigacyjne, ale z floty już dziś nie istniejącej. Gdy muskał je końcami palców, zdarzało się, że wprawiał w ruch instrumenty, które oscylowały lub wirowały z cichym klik-klak.

Zawrócił z drogi, którą przed chwilą przemierzył. Rozglądał się za kominkiem. Szukał płomienia nie nazbyt wielkiego

odrobiny przeciągu. Znalazł to, czego potrzebował, w pokoju, w którym stał nakryty obrusem stół na ośmiu nogach, z kolekcją pozłacanych dzbanów ustawionych rzędem. Klęknął przy kominku i rozłożył na podłodze wilgotne banknoty. Chciał, aby trochę podeschły, zanim ofiaruje je Marii. Dziwiło go, dlaczego tak nalegała, żeby dał jej pieniądze. Z łatwością mogłaby stąd coś ukraść i opłacić podróż statkiem „Norddeutscher", i jeszcze kupiłaby najlepszego konia wierzchowego w Nowym Jorku. A może i tak coś ukradła, nie wiedząc, ile Horty jej przyniesie?

Gdy banknoty prawie wyschły, Horty wygładził je starannie dłonią, złożył i związał szeroką czerwoną wstążką z delikatnym deseniem liści ostrokrzewu zwisającą z jakiegoś koszyka. Chyba kupiono ją z myślą o Bożym Narodzeniu. Tak, z tą wstążką pieniądze przypominały trochę upominek. W każdym razie nie wyglądały tak ordynarnie jak goły plik banknotów rzucony na łóżko. Tej nocy wszystko powinno być piękne.

Węzeł wstążki przypominał mu, jak związywał nadgarstki Marii na schodach manufaktury Harston and Harston. Ogarnęło go pragnienie zobaczenia i dotknięcia dziewczyny, pragnienie tak gwałtowne, że musiał się opanować, by nie rzucić się naprzód z okrzykiem: Mario! Mario! Zawołał ją najciszej, jak tylko mógł. Nie odpowiedziała. Wszedł na schody. Jego dłoń zostawiała na poręczy wilgotny ślad.

Na piętrze znajdowało się siedem pokoi. W pierwszych sześciu nie znalazł Marii. W siódmym też nie, ale na dywanie i na rozebranym łóżku zobaczył rozrzucone czarne ubranie. Podniósł halkę i przyłożył do twarzy. Wzburzył się tak mocno, że omal się nie rozpłakał.

W tym cienkim, chłodnym kawałku jedwabiu tkwiło prawdziwe życie Marii. To ono go tak wzburzyło. Otępiały od jazdy pociągiem, od wina, od jazgotu Ze-

ppego każdego wieczoru natykał się na wielką, nieruchomą fotografię. Spojrzenie na fotografii, i tak już nieostre, blakło w miarę upływu czasu. Pamiętał, jak cierpiał, myśląc, że dziewczyna zginęła. Ale nie zdawał sobie sprawy, do jakiego stopnia to cierpienie go spustoszyło. Teraz wreszcie to zrozumiał.

Zawołał jeszcze raz:

— Mario! Tutaj jestem! Mam pieniądze! Niech pani już teraz przyjdzie! Nawet jeśli pani nie jest jeszcze gotowa! Przecież pani wie, że mnie to nie robi różnicy!

Nasłuchiwał. Czekał. Cisza. Maria wciąż bawiła się w chowanego. Horty już stracił ochotę do zabawy.

Na prawo od łóżka zobaczył półotwarte drzwi do łazienki. Sączyło się z niej migotliwe światło, zapewne lampy naftowej ze źle wyregulowanym knotem. Horty pomyślał, że Maria poszła zmoczyć włosy, gdyż chciała im nadać taki sam nieokreślony kolor i taki sam zapach deszczu jak w Southampton.

Wszedł.

Maria leżała w wannie. Jedno ramię zwisało na zewnątrz, aż poza biały fajans, skurczone, jakby rozpaczliwie próbowała wstać. Znalazła się w tej pozycji chyba po krótkim poślizgnięciu. W dalszym ciągu zanurzała się w wodę po tym, jak jej kark uderzył w miedziany kran. Na kranie pozostało jeszcze kilka blond włosów. Miała zamknięte powieki. Możliwe, że zamknęła oczy w chwili, gdy wkładała stopy do wody, z góry przewidując przyjemność, jaką jej sprawi ta kąpiel. Usta były otwarte. Na pewno chciała krzyknąć, ale rysy nie zdradzały przestrachu. Nawet jeśli miała czas pomyśleć, że poślizgnęła się i zrobi sobie krzywdę, nie wiedziała przecież, że się zabije.

Woda już całkiem wystygła. Horty'emu przyszła do głowy absurdalna, lecz kategoryczna myśl, że musi rozgrzać Marię.

Włożył ramię pod barki dziewczyny, bo chciał wynurzyć jej twarz. Wtedy zobaczył, że Maria ma złamaną szyję. Jej głowa poleciała do tyłu i pozostała w dziwnej, przemieszczonej pozycji. Ogarnęło go przerażenie. Jęczał. Bardzo cichym głosem wzywał swoją żonę. Tej nocy Zoe była jedyną żywą istotą, która mogła zrozumieć, w jaką bezdenną otchłań wpadał. Dziko zapragnął, żeby Zoe przyszła, podała mu małą i zniszczoną rękę, ale pewną, i żeby go przytrzymała.

W tej właśnie chwili Zoe, przytulona do wielkiego ciała Batyldy, odkrywała nową przyjemność.

Horty pomyślał, że może i mógłby znieść bez wycia widok utopionej Marii, bo przecież przez tyle czasu tak właśnie ją sobie wyobrażał. Ale z tą złamaną szyją? Z wykręconą głową? Wyglądała ohydnie. Wydobył ramię spod jej zesztywniałych i lodowatych barków i pozwolił dziewczynie znowu zanurzyć się pod wodę. Był to jego ostatni świadomy uczynek. Potem ogarnęło go coś dziwnego. Nawet nie wiedział, kim był.

Maria powiedziała, że mogą zostać razem aż do wpół do szóstej, bo o tej godzinie syreny obwieszczają otwarcie doków i składów, ruszają parowe dźwigi.

Czekał skurczony obok wanny do wpół do szóstej. Od czasu do czasu mechanicznym ruchem dotykał przezroczystej wody, w której kąpała się Maria. Woda wydawała mu się coraz zimniejsza, ale prawdopodobnie było to złudzenie. Zbierało mu się na wymioty, ale nie wymiotował.

Dokładnie o wpół do szóstej, gdzieś w oddali zaczęły przeraźliwie ryczeć syreny.

Horty nachylił się, dźwignął zwłoki Marii i wziął je na ramiona. Dziewczyna była ciężka. Chyba z powodu wody, która wlała się otwartymi ustami w jej ciało.

Kiedy Horty opuszczał willę Espagnole, było jeszcze ciemno. Porywy wiatru stłukły jeden z kloszy zwisających z pysków kamiennych byków. Kawałki szkła zmieszane z martwymi liśćmi błyskały w świetle księżycu Wichura przycichła. W resztkach nocy i wiatru pokrzykiwały ptaki.

Ten list pozostał bez odpowiedzi. Albo Zeppe nigdy nie dotarł na via del Ghetto albo postanowił zapomnieć o epizodzie z pokojówką z „Titanica".

Gdy wybuchła wojna i „Le Grand Théâtre" został zamieniony na koszary oddziałów brytyjskich przybyłych walczyć we Francji, marynarze z „Home Fleet" zarekwirowali fotografię. Ustawili ją na plaży jako tarczę do strzelań ćwiczebnych dla małej, szarej kanonierki.

Chaufour-Southampton-La Roche wrzesień 1990

TLR

Oficyna Wydawnicza „Kalliope"

01-365 Warszawa,, ul. Kruszyńska 34 Wydanie I (po zmianie okładki)

Skład i łamanie: „Phototext", W7arszawa Druk: Wojskowe Zakłady Graficzne, Warszawa Oprawa: Łódzkie Zakłady Graficzne, Łódź